

e-terroryzm.pl

WYZWANIA

TERRORYZM

ZAGROŻENIA

BEZPIECZEŃSTWO

DYLEMATY

OCHRONA

DONIESIENIA

SPRAWOZDANIA

ANALIZY

O potrzebie odrobienia ukraińskich lekcji

str. 15

str. 7

Wot, taka wojna...

Ocena i prognoza sytuacji na Ukrainie

str. 18

str. 4

Szarża lekkiej brygady XI

„Multikulti” – nieudane wyzwanie bezpieczeństwa międzynarodowego?

str. 19

str. 36

Obleżenie Vukovaru

Geopolityka	str.
○ Szarża lekkiej brygady XI.....	4
K. KRAJ	
○ Wot, taka wojna.....	7
W. KOŹMIC	
○ O potrzebie odrobienia ukraińskich lekcji	15
K. KUBIAK	
○ Ocena i prognoza sytuacji na Ukrainie.....	18
W. WIELICZKO	
○ „Multikulti” – nieudane wyzwanie bezpieczeństwa międzynarodowego?.....	19
M. EL GHAMARI	
Historia	
○ Sylwetka Jana Mazurkiewicza (1896-1988)	23
R. WITAK	
○ Dobij mnie!.....	32
A. BEDNARCZYK	
○ Oblężenie Vukovaru	36
J. GÓRNIAK	
Rozmowa	
○ „Dwójkarz” – płk Włodzimierz F. Gulin.....	48
K. MROCZKOWSKI	
Bezpieczeństwo	
○ Interwencja policjanta... ..	56
J. SWÓŁ	
Edukacja	
○ Książka obca studentowi?.....	62
J. SWÓŁ	
Warto poznać	
○ Nielegalowie – zawodowcy i amatorzy.....	66
○ Mannerheim. Prezydent, żołnierz, szpieg.	78
○ Wpływ oględzin na wykrywalność sprawców zabójstw	81
○ Historia Legii Cudzoziemskiej... ..	83
Sprawozdania	
○ Bojowy Stres Pourazowy w ujęciu historycznym i współczesnym	85
Felieton	
○ Zapomniane miejsca naszej chwały – Powstańcza mogiła z Osjakowa	86
K. KUBIAK	

Redakcja

Biuletyn redagują:

Przemysław Bacik
 Hanna Ismahilova
 Jacek Kowalski
 dr Kazimierz Kraj
 Tobiasz Małysa
 Natalia Noga
 Kamil Pietrasik
 Piotr Podlasek
 Anna Rejman
 dr Jan Swół
 Bernadetta Stachura-Terlecka
 Robert Witak
 Ewa Wolska-Liśkiewicz
 Anna Wójcik

Skład techniczny: Tobiasz Małysa
Administrator www: Bernadetta Stachura-Terlecka

INSTYTUT STUDIÓW
 NAD TERRORYZMEM

WYŻSZA SZKOŁA
 INFORMATYKI I ZARZĄDZANIA
 z siedzibą w Rzeszowie



Publikacja jest bezpłatna, a zespół redakcyjny oraz Autorzy nie odnoszą z niej korzyści materialnych. Publikowane teksty stanowią własność Autorów, a prezentowane poglądy nie są oficjalnymi stanowiskami Instytutu Studiów nad Terroryzmem oraz Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania.

Artykuły poruszane w czasopiśmie służą celom edukacyjnym oraz badawczym. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za inne ich wykorzystanie.

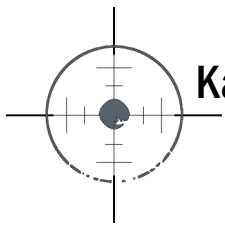
Zespół redakcyjny tworzą pracownicy Katedry Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Instytutu Studiów nad Terroryzmem Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie oraz skupieni wokół tych jednostek znawcy i entuzjaści problematyki.

Adresy i kontakt:

- Poczta redakcji biuletynu:
redakcja@e-terroryzm.pl
- Strona internetowa biuletynu:
www.e-terroryzm.pl
- Instytut Studiów nad Terroryzmem:
www.terroryzm.rzeszow.pl
- Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania:
www.wsiz.rzeszow.pl

Fotografia na okładce:

UK Ministry of Defence, Gaz Faulkner,
www.defenceimages.mod.uk / <https://www.flickr.com/photos/defenceimages/4642334638/>



Kalendarium

- 2015.02.27. Nigeria:** Co najmniej 32 osoby zginęły, a kilkadziesiąt zostało rannych w wyniku serii zamachów terrorystycznych w północnej Nigerii. W mieście Biu terrorysta wysadził się w powietrze na dworcu autobusowym (zginęło 17 osób). Kolejne zamachy miały miejsce w Jos w pobliżu dworca autobusowego (zginęło 15 osób). Zamachów dokonali islamiści z Boko Haram.
- 2015.02.22. Ukraina:** W wyniku zamachu bombowego dokonanego w Charkowie w pierwszą rocznicę Euromajdanu zginęły 3 osoby, a 10 zostało rannych. Zamachu dokonali prorosyjscy separatyści.
- 2015.02.22. Syria:** W zamachu bombowym dokonanym przez terrorystę, który użył karetki wypełnionej materiałami wybuchowymi zginęły 4 osoby, kilkadziesiąt zostało rannych. Zamach miał miejsce w centrum Qardaha – miasta w prowincji Latakia z której wywodzi się prezydent baszar Al-Assad.
- 2015.02.17. Afganistan:** 20 policjantów zginęło w samobójczym zamachu. dokonanym przez terrorystów, którzy zdetonowali ładunki wybuchowe w punkcie kontroli bezpieczeństwa na terenie jednostki policji. Do ataku doszło w Pul-i Alam – na wschodzie Afganistanu.
- 2015.02.14. Dania:** W wyniku strzelaniny w centrum stolicy zginęły 3 osoby, a 5 zostało rannych. Zamachowiec otworzył ogień do uczestników debaty w kawiarni, następna strzelanina miała miejsce przed synagogą.
- 2015.02.10. Niger:** W wyniku zamachu bombowego na przygraniczne miasto w Nigrze zginęło 5 osób a kilkanaście zostało porwanych. Zamachu dokonali džihadyści z Boko Haram.
- 2015.02.09. Irak:** 15 osób zginęło, a ponad 30 zostało rannych w rezultacie zamachów bombowych w Bagdadzie i okolicach. Jeden zamach miał miejsce w punkcie kontrolnym, w szyickiej dzielnicy Kadimija (zginęło 13 osób, ponad 30 rannych), drugi atak miał miejsce na przedmieściach stolicy, gdzie zginęły 2 osoby.
- 2015.02.01. Syria:** W wyniku wybuchu bomby w autobusie w Damaszku zginęło 7 osób, a 20 zostało rannych. Ofiarami byli głównie libański pielgrzymi.

 **Marco Szczepanik**

Szanowni Czytelnicy!

Miesiąc luty bieżącego roku obfitował w wiele wydarzeń o charakterze politycznym, militarnym, czy mających znamiona terroryzmu. Redakcja miesięcznika stara się nadażać za wydarzeniami, zwracając uwagę na te, które mogą mieć wpływ na bezpieczeństwo kraju. Od miesiący poruszamy problematykę wydarzeń rozgrywających się na Ukrainie. Staramy się nie iść szlakiem utartym przez większość mediów, polityków, ekspertów i innych uważających się za znawców zagadnienia. Tylko w sporze, w dyskusji, w zderzaniu się argumentów możemy oceniać sytuację na Ukrainie. Toczona wojna informacyjna, nieprecyzyjne przekazy, brak w pełni wiarygodnych informacji na temat sytuacji u naszego sąsiada wymaga szerokiej, ale merytorycznej dyskusji, a nie wygłaszanych ex cathedra „niepodważalnych” prawd.

Miesięcznik rozpoczynamy artykułami poświęconymi problematyce ukraińskiej. Rozpoczyna Kazimierz Kraj felietonem z cyklu *Szarża lekkiej brygady*. Kolejny artykuł autorstwa znawcy problematyki ukraińskiej Wojciecha Koźmicy, pt. *Wot, taka wojna...* pozwoli Czytelnikom zapoznać się z codziennością funkcjonowania ochotniczego batalionu *Sicz* i sytuacją na froncie w okolicach Kramatorska i Słowiańska. Profesor Krzysztof Kubiak pisze *O potrzebie odrobienia ukraińskich lekcji* przez nasze siły zbrojne. Blok ukraiński zamyka prognoza generała Walerija Wieliczko nt. rozwoju sytuacji na Ukrainie z marca zeszłego roku.

Przerzucając kolejne kartki miesięcznika natkniemy się na interesujące poglądy Magdaleny El Ghamari przedstawione w artykule *„Multikulti” – nieudane wyzwania bezpieczeństwa międzynarodowego*.

W dziale *Historia* Robert Witak w znakomity sposób kreśli sylwetkę generała brygady Jana Mazurkiewicza ps. Radosław.

Kolejnymi artykułami nawiązujemy do problematyki wojny domowej, jakże aktualnej w świetle tego, co się dzieje na Ukrainie. Są to dwa artykuły, pierwszy autorstwa Adama Bednarczyka pt. *Dobij mnie!* i drugi Jakuba Górnika *Oblężenie Vukovaru*.

Krzysztof Mroczkowski w rozmowie pt. *„Dwójkarz” – płk Włodzimierz F. Gulin* przedstawia Czytelnikom postać tytułowego bohatera, człowieka o nietuzinkowej osobowości i takim życiorysie.

Ostatnie trzydzieści stron miesięcznika wypełniają artykuły niezwodnego Jana Swóła poświęcone problematyce interwencji policyjnej i ocenie życia się z książką przez studentów oraz recenzje interesujących książek autorstwa Mariusza Łacińskiego, Roberta Witaka oraz Jana Swóła.

Jest również relacja ze studenckiej konferencji naukowej *Bojowy Stres Pourazowy w ujęciu historycznym i współczesnym*.

Kontynuujemy cykl autorstwa Krzysztofa Kubiaka o zapomnianych miejscach naszej chwały. Tradycyjnie numer zamyka felieton *Starszego dzielnicowego*.

Przed nami kolejne wyzwania stawiane przez zmieniającą się sytuację w sferze bezpieczeństwa międzynarodowego oraz rosnące zagrożenie terrorystyczne.

Drodzy Czytelnicy w imieniu zespołu redakcyjnego życzę miłej lektury.

Zapraszam do lektury.

Za zespół

 **Kazimierz Kraj**

Minął już miesiąc od napisania poprzedniego felietonu. Gdy wysłuchuję debat polityków oraz ekspertów omawiających wydarzenia na Ukrainie, zaczynam powątpiewać w ich profesjonalne podejście do sprawy. Trudno jest podczas programów telewizyjnych, czy pisania artykułów prasowych wszechstronnie wyczerpać temat. Ale nie należy go słycać ponad miarę. Trwale można się porozumieć, wtedy, gdy strony konfliktu i ich suflerzy wezmą pod uwagę interesy wojujących ze sobą stron. Żaden konflikt, szczególnie wewnętrzny, nie jest wynikiem tylko jednostronnych działań. Jest wypadkową zaszczości historycznych, różnego rodzaju resentymentów, umiejętności politycznych przywódców, splotu przypadkowych wydarzeń, niewiedzy o faktycznej sytuacji militarnej i politycznej, przeceniania własnych sił, niedoceniań, lekceważenia oponenta, brakiem przewidywania następstw decyzji politycznych, uwzględniania stanu poglądów społeczeństwa i wielu innych czynników.

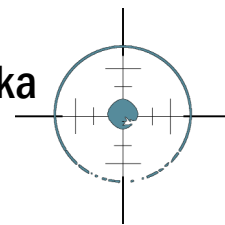
Wszystkie wymienione powyżej elementy, oraz te, które nie wymieniłem stały się przyczyną konfliktu na Ukrainie. Przypomnijmy sobie parcie Unii Europejskiej do podpisania umowy z Ukrainą. Na ołtarzu nawet złożono Julię, Tymoszenko, aby tylko marionetka Kremla, jak się teraz określa Wiktora Janukowicza złożyła podpis pod umową stowarzyszeniową Ukrainy z UE. „Wielcy” europejscy politycy, z polskimi na czele, nie zastanawiali się nad konsekwencjami podpisu lub jego braku pod umową stowarzyszeniową

Jako politolog stoję na stanowisku, że w XXI wieku nadal walczy się o strefy wpływu. Ich posiadanie umacnia pozycję polityczną państwa na arenie międzynarodowej. Jednego umacnia, drugiego osłabia. Moim zdaniem zasady geopolityki nadal są aktualne. Czy prędo do podpisania umowy stowarzyszeniowej politycy nie brali pod uwagę reakcji Rosji? Jeżeli tak, to tylko źle świadczy o ich politycznych kwalifikacjach.

Szarża lekkiej brygady XI



Z kolei rozbudzenie nadziei na lepsze życie wśród Ukraińców, niemające pokrycia w rzeczywistości, było jednym z czynników wybuchu Euromajdanu. Zanim Ukraina będzie gotowa do wstąpienia do UE, miną w mojej opinii, dwa dziesiątki lat. Nawet, dla Ukrainy ze stanem gospodarki i państwa z 2013 r. Rzekomo polityka Rosji jest anachroniczna, nawiązuje do przebrzmiałego dziewiętnastowiecznego *koncertu mocarstw*. Teraz jest XXI wiek i tak się nie postępuje. Myślę, że odstępstwem od *koncertu mocarstw*, był ubiegłowieczny system dwóch bloków politycznych, który zakończył się wraz z rozpadem Związku Radzieckiego. Wydawało się, że nastąpił wymarzony *Pax Americana*, dominacja wybranego państwa – Stanów Zjednoczonych. Uływ lat pokazał, że USA nie są w stanie strawić owoców końca zimnej wojny i dwublokowości. Prymat Stanów Zjednoczonych wyraźnie został zakwestionowany pamiętnego 11 września 2001 r. Czym różni się współczesna polityka międzynarodowa, od podobno przebrzmiałego *koncertu mocarstw*? Różnorodne alianse, w zależności od potrzeb, np. w kwestii ataku na Irak nieusankcjonowanego przez ONZ. Różnica, to jedynie większa ilość państw uczestniczących międzynarodowych rozgrywkach, duża ilość organizacji międzynarodowych

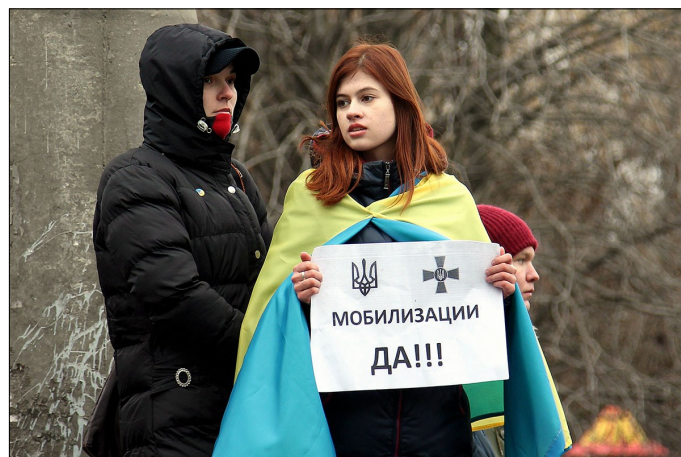


Szarża lekkiej brygady XI

w porównaniu do XIX wieku oraz globalizacja, ale ta już występowała w Europie po Kongresie Wiedeńskim. Zmieniły się technologie. Teraz zamiast kanonierek używa się samolotów i rakiet samosterujących, aby wymusić posłuszeństwo. Niemiecki badacz Andreas Heinemann – Gründer napisał, że w wyniku wydarzeń na Ukrainie nastąpiła rewizja zachodniej dominacji w stosunkach międzynarodowych. Władimir Putin pierwszy raz otwarcie zakwestionował prawo USA i UE do rozszerzania własnej strefy wpływów na byłe republiki radzieckie.

Uzupełniając Gründera podkreślam, że problem Ukrainy oprócz wewnętrznych uwarunkowań jest ściśle związany z geopolityką, poszerzaniem stref wpływów, osłabianiem potencjalnych konkurentów i tych, którzy nie chcą się podporządkowywać polityce zainteresowanych mocarstw.

Obiektywnie trzeba stwierdzić, że my tzn. NATO przybliżaliśmy się do granic Federacji Rosyjskiej przyjmując do Paktu Północnoatlantyckiego Litwę, Łotwę i Estonię. Jak mogli to oceniać rosyjscy politycy? A kwestia tarczy antyrakietowej, rzekomo skierowanej przeciwko potencjalnym rakietom irańskim uderzającym w USA. Każdy, kto spojrzy na globus, wie że system antyrakietowy w Polsce raczej nie przechwytywałby rakiet lecących na USA z Iranu, bo musiałby obejmować swoim zasięgiem sporą część Federacji Rosyjskiej. A wycofanie się USA z porozumienia z ZSRR z 1972 r. (którego następcą jest FR) o ograniczeniu systemów antyrakietowych. Jak mogli to zrozumieć Rosjanie, czy jako miły gest czy próbę uzyskania przewagi militarnej? To niektóre z posunięć, które musiały zastanawiać Rosję. **Podkreślam, że ta ostatnia nie jest niewinnym i nieskazitelnym uczestnikiem stosunków międzynarodowych. Też ma wiele grzechów na sumieniu.** Ale to nie ona przybliżała się do granic UE, lecz to Europa Zachodnia oraz NATO, poprzez przyjmowanie nowych członków nieustannie zbliżały się ku jej rubieżom. Jak mówi Stanisław Ciosek, nie próbowano na serio włączyć Rosji do demokratycznego świata. *Zapadnicy stra-*

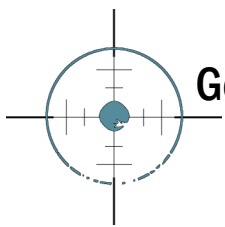


cili wpływu, gdyż nie mogli nic zaferować swoim rodakom. Zabawa w *śmieszne szarpanie tygrysa za wąsy* zmieniła się w zabawę *targanie tygrysa za wąsy jest zarazem śmieszne i straszne. Il okazało się, że jest страшно.*

Jedno z ważniejszych haseł Euromajdanu – Ukraina bez oligarchów okazało się bez pokrycia. Poprzednicy Poroszenki umacniali korupcyjny i oligarchiczny system polityczno – gospodarczy na Ukrainie, lecz obecny prezydent poszedł krok dalej. Wzmocnił wpływ oligarchów powołując ich na gubernatorów, pozwalając na tworzenie prywatnych armii (batalionów) i prywatyzując tę dziwną operację antyterrorystyczną.

Obywatel trzech państw: Ukrainy, Cypru i Izraela sławny Igor Kołomojski, jest gubernatorem Obwodu Dniepropietrowskiego, spędzającym większość czasu w Szwajcarii. On i pozostali oligarchowie mają własnych deputowanych do Rady Najwyższej we wszystkich frakcjach parlamentarnych, na czele z ugrupowaniami Jaceniuka i Poroszenki. Pojawiają się głosy, że to oligarchowie widząc, że nie można pokonać *opołtceńców*, uznali, że w swoim własnym interesie trzeba się z nimi porozumieć i na dokładkę ułożyć z Władimirem Putinem, mając w pamięci losy rosyjskich oligarchów.

Przyspieszenie wydarzeń poprzez pośrednictwo Stanów Zjednoczonych (*cytat z wypowiedzi prezydenta Obamy*) w przejściu władzy z rąk Janukowicza, do-



prowadziło dramatycznego rozlewu krwi na wschodzie Ukrainy i utraty Krymu. A prognozy nie są optymistyczne. Ukraina to państwo upadłe, podtrzymywane kroplówkami pomocy finansowej i kredytów.

Na Twitterze doradca ministra obrony narodowej ogłasza, że wysyłamy instruktorów dla szkolenia podoficerów armii ukraińskiej. Podniecamy się siedemdziesięcioma instruktorami angielskimi oraz kilkoma amerykańskimi para medykami. To przecież nie zmieni sytuacji. Tak samo, jak dostarczanie broni. Reżimowe władze Wietnamu Południowego aż nadto miały broni i co. Klęska. Bo armia nie miała morale, które w takim konflikcie jest bardzo ważne. A co z morale armii ukraińskiej? Czy kilkudziesięciu instruktorów je podniesie. Śmiem wątpić. Rozstrzygnięcie militarne nie wchodzi w grę, gdyż w mojej opinii mogłoby doprowadzić do konfliktu w Europie. Pozostaje jedynie rozwiązanie pokojowe. Nad jego wdrożeniem powinni pracować politycy, których decyzje doprowadziły do obecnej sytuacji. Ukraińcy, francuscy, niemieccy, polscy i oczywiście rosyjscy. Ale także przedstawiciele *opółczenia*, gdyż wiara, że separatystami są jedynie agenci wywiadu rosyjskiego, specnazowcy oraz kryminaliści, jak twierdzą niektórzy nasi dziennikarze nie wytrzymuje krytyki. Bez poparcia lokalnych społeczności nie powstałyby republiki doniecka i ługańska. Ci co byli za nową władzą na Ukrainie nie zmienili zdania. Tak samo, ci co uznali ją za samozwańczą, mogli się tylko utwierdzić w swoim przekonaniu podlegając w ramach operacji antyterrorystycznej ostrzałowi artyleryjskiemu oraz bombardowaniom z powietrza. Słowiańsk, Kramatorsk i inne miejscowości „wyzwolone” przez armię ukraińską pewno bez większej wrogości przyjęłyby oddziały *opółczenia* (zob. artykuł *Wot taka wojna*).

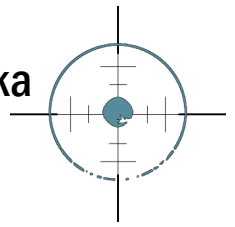
Na zakończenie kilka słów o informacji ogłoszonej przez władze Ukrainy, w tym przez prezydenta Petra Poroszenkę. Ogniem snajperów na Majdanie miał kierować bliski współpracownik prezydenta Putina – Władysław Surkow, pomijając brak kwalifikacji

zawodowych w tej materii, nie wyobrażacie sobie państwo, że np. aby doradca polityczny prezydenta Baracka Obamy, kierował ogniem snajperów np. podczas obalania Hosniego Mubaraaka w Egipcie. Przypomnijmy sobie idiotyczną, ale rozpowszechnianą informację na temat rzekomego otrucia przez Gleba Pawłowskiego, ówczesnego doradcę Władimira Putina, Wiktora Juszczenki jednego z przywódców tzw. pomarańczowej rewolucji, czyli starcia oligarchów o władzę i pieniądze w 2004 r. Gdy w kwietniu 2005 r. byłem w Akademii Pedagogicznej w Krakowie na spotkaniu m.in. z Glebem Pawłowskim, który występował ręką w rękę z przedstawicielami opozycji rosyjskiej (***Sojusz Sił Prawicowych, którego jednym z liderów był Borys Niemcow***), padło w stosunku do niego pytanie w tej sprawie. Ten były dysydent z czasów ZSRR, o ile pamiętam się roześmiał i stwierdził, że nie mógł otruć Juszczenki, ponieważ widział go jedynie na ekranie telewizora.

Proszę Szanownych Czytelników o krytyczne czytanie tekstów, w tym moich. Wnikliwe analizowanie informacji na temat konfliktu na Ukrainie, sięganie do różnych źródeł w celu wyrobienia sobie własnego zdania. Nie bezkrytyczne przyjmowanie poglądów, które przekazują nam media tzw. głównego nurtu (masowe) oraz występujący w nich politycy, eksperci, generałowie i wszyscy zabierający głos w tej sprawie, na zasadzie czarno – białego schematu. Bo to jak zostanie rozwiązany kryzys na Ukrainie jest ważne przede wszystkim dla mieszkańców tego państwa, ale również dla nas szeregowych obywateli Polski. Nie tylko polityków.

Każdy z nas ma prawo do własnego zdania, osobistej oceny omawianej sytuacji w oparciu o własną wiedzę, doświadczenie i to co podpowiadają mu własne przemyślenia i wnioski.

Niestety zgodnie z rosyjskim powiedzeniem *nie wkłada się wszystkich jajek do jednego koszyka*, czynimy to uparcie. Jaki będzie skutek zobaczymy?



WOJCIECH KOŹMIC

Wot, taka wojna...

Donbas. Ponure i depresyjne terytorium. Krnąbrny kraj, który zawsze uważał się za element nie do końca pasujący do Ukrainy. Dumny Donieck, Makiejewka, Ługańsk i inne miasta. Dumni mieszkańcy wierzący w swoją siłę i moc wschodniego regionu Ukrainy. Donbasu nikt nie rzucił i nie rzuci na kolana. Donbas zawsze będzie triumfował. Taka mentalność, takie przekonanie siedzące w głowach wielu mieszkańców. Bezkrzesne drogi przecinają ukraińskie obwody. Wielkie przestrzenie wprowadzają w stan rozmyślań nad historią Ukrainy, jej obecną złożoną sytuacją i niepewną przyszłością.

Ukraińskie drogi od zawsze były przedmiotem złych wspomnień osób wracających z podróży samochodowych. Teraz jest jednak pewna zmiana. Dziury, które od zawsze wyklinano, powstały w czasach pokoju. Świeże wyrwy i leje już w czasie wojny. Przetoczyła się ona w zeszłym roku przez Słowiańsk i Kramatorsk. Teraz pojawiły się na drogach wiodących na Mariupol, Debalcewo, Stanicę Ługańską.

Jesteśmy niedaleko Słowiańska. Ja i dwóch towarzyszy z pewnego ukraińskiego oddziału. Towarzyszą mi w podróży przez niewielki fragment wschodniej Ukrainy. Trzech chłopaków, dwa kałasznikowy i jeden aparat. Przyjeżdżających do miasta wita betonowy



napis – *Słowiańsk*. Teraz przybrał on niebiesko-żółty kolor. To stosunkowa nowa moda na malowanie nazw miejscowości i oznaczanie przynależności danego terenu.

Przy pobliskim przejeździe kolejowym bawią się psy. Obok przemykają prywatne samochody. Czasem przejeżdża sprzęt wojskowy. Na jednym ze słupów ktoś przymocował wieniec. Ktoś tu zginął, choć nie wiadomo, w jakich okolicznościach. Krajobraz okolic siłą rzeczy narzuca oczywiste skojarzenia. W promieniu kilometra duża część domów jest zniszczona, bądź w najlepszym przypadku jedynie uszkodzona. Kikuty drzew odcinają się wyraźnie na tle połaci śniegu. Śnieg przysypał okopy i schrony. Trzeba uważać, aby nie skreślić nogi w jakiejś dziurze powstałej po wybuchu większego pocisku.

Zerwany most

Niedaleko znajduje się skromny posterunek, który został ustawiony przy mostach prowadzących do jednego ze strategicznych obiektów. Kilku chłopaków, stara ciężarówka i jedno niewielkie stanowisko ogniowe. Złudne wrażenie, że ktoś tu czegoś pilnuje, a to



coś jest w sposób wystarczający zabezpieczone. Chłopaکی stoją, bo taki mają rozkaz, ale widać, że sami nie do końca wierzą w sens istnienia swego posterunku. Podjeżdża cywilny samochód z rodziną, która przynosi siatkę wypełnioną jedzeniem. Niespodziewani goście zapewniają, że tyle produktów mogą raz na tydzień spokojnie im przywieźć. Stwierdzają także z pełnym spokojem, że za wyświadczoną pomoc, tam gdzie mieszkają ktoś może nawet wrzucić im do mieszkania granat. Wszyscy rozumieją się bez słów, nikogo nie dziwią nowe warunki życia. Każdy rozjeżdża się w swoją stronę. Za oknem miga jakiś pozytywny napis o Donieckiej Republice Ludowej. Od niebiesko-żółtego napisu na wjeździe do Słowiańska dzieli nas może kilometr.

Podjeżdżamy na położony w pobliżu pontonowy most. Betonowa konstrukcja starego wysadzonego mostu, którego kikut stoi obok, jest teraz namacalnym sygnałem, że tu toczyły się ciężkie boje. Obok rozłożyli się ukraińscy żołnierze, którzy dzień i noc pilnują, aby i ta nowa przeprawa nie podzieliła losu swego poprzednika. A noce są tu niespokojne. Wojskowy, który podjechał informuje nas, że w nocy ktoś w pobliżu strzelał. Kto, gdzie, w jakim celu? Nie wiadomo. Jesteśmy kilkadziesiąt kilometrów od linii frontu, ale spokój jest bardzo złudny. Społeczeństwo jest podzielone i nie każdy tu patrzy na ukraińską armię jak na gwaranta bezpieczeństwa. Jedziemy dalej, za sobą zostawiamy zerwany most.



Wot, taka wojna...

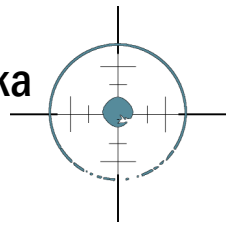


Podziały

W czasie złej pogody Donbas jeszcze bardziej sprawia wrażenie regionu, z którego należy jak najszybciej uciekać. Szare jest wszystko; domy, drogi, krajobraz. W tę szarość wtapiają się ludzkie twarze. Łatwo wpaść w przygnębienie.

Jesteśmy w Kramatorsku. Po ulicach miasta przemieszczają się pojazdy wojskowe. Widać zarówno lekkie jak i ciężki sprzęt. W mieście znajduje się ukraiński sztab, czuć mocno niedaleki przecież front. Mimo to życie wydaje się toczyć normalnie. Sklepy są otwarte, restauracje też, ludzie stoją - jak zwykle - na przystankach tramwajowych czekając na rozklekotany pojazd. Pomnik Lenina częściowo pomalowany w barwy Ukrainy jest bardziej humorystycznym faktem niż znamię historycznych wydarzeń.

Pod punktem mobilizacyjnym ukraińskiej armii tworzy się na kilka godzin oddzielny mały „front walki” pomiędzy zwolennikami i przeciwnikami mobilizacji. Obie grupy przekrzykują się swoimi hasłami, które często są identyczne. Jedna strona krzyczy: – *My przeciwko wojnie!* Druga z uśmiechem odkrzykuje: – *My też przeciwko wojnie!* Nikt nie chce śmierci i walki, ale zupełnie odmienne jest rozumienie przez przedstawicieli obu tych grup sensu powoływania do wojska nowych osób i ogólnie celowości działań wojen-



Wot, taka wojna...

nych. Jest tu trochę ironii, trochę agresji, ale ogólnie jest spokojnie. Ładu pilnują wzmocnione siły porządkowe. Protest uliczny na Ukrainie jest stałym elementem krajobrazu politycznego. Dwie niewielkie grupy wyrażające swoje poglądy są zjawiskiem tak standardowym, że za chwilę mało kto o nich pamięta. Niedużo wiece, jakie stale odbywają się w Kramatorsku są jednak ważne z innego powodu. Patrząc ludziom boku na ludzi, którzy biorą w nich udział widzi się nie tyle samych manifestantów, ile w głęboi - gruncie rzeczy - podział społeczeństwa. Naprzeciw siebie stoją dwie grupy, które zupełnie inaczej widzą i przyszłość regionu, i całego państwa.

Rok temu Kramatorsk, jako jedno z pierwszych miast wschodniej Ukrainy zostało zajęte przez siły separatystyczne i stosunkowo długo znajdował się pod ich kontrolą. Patrząc z daleka wydawało się, że przetoczenie się frontu przez ten fragment Donbasu może doprowadzić do większych zmian w podejściu miejscowej ludności do podmiotowości Ukrainy. Choć w porównaniu do późniejszych walk miasto specjalnie nie ucierpiało, to mogło by się zdawać, że brak jakiejś rzeczywistej zmiany na plus wraz z pojawieniem się sił separatystycznych wzmocni pozycję Kijowa. Życie wróciło na stare tory, ale większe zmiany jednak nie nastąpiły. Zakorzenione w głowach style myślenia i system wartości pozostał praktycznie bez zmian. Ten, kto był za Ukrainą, takie stanowisko zachował. Ci, którzy widzieli w siłach separatystycznych swoich



wybawców i obrońców dalej wspominają z sentymentem na tamten okres, żeby nie powiedzieć, że wyczekują z wytęsknieniem powrotu chłopców z trójkolorowymi szewronami.

Podziały - to słowo, które od roku jest często używane do opisu relacji międzyludzkich na Ukrainie. Linie podziału wyznacza stosunek do aneksji Krymu czy też działań zbrojnych, jakie toczą się w Donbasie. Popsuły się stosunki w wielu rodzinach, zerwane zostały przyjaźnie. Bezpośrednia obserwacja wschodu Ukrainy unaocznia także podziały zaistniałe w większej skali. Uświadamia także, że różnice nie maleją, ale w wyniku wojny cały czas się zaostrzają. Niewidoczny front walki, w czasie tego konfliktu bodaj najważniejszy, tak naprawdę znajduje się w ludzkich głowach.

Tydzień po tym wydarzeniu Kramatorsk został ostrzelany z wyrzutni rakiet. Byli ranni i zabici. Pewnie znowu wszyscy będą mówili, że są przeciwko wojnie...

W batalionie „Sicz”

Wczesny styczniowy poranek na dworcu w Kijowie. Między zwykłymi podróżnymi kręci się wielu żołnierzy w oczekiwaniu na swój pociąg. Jedni zmierzają w ramach rotacji do domów, inni jadą na front. Mieszają się barwy i fasony mundurów, co tylko po-



średnio świadczy o różnorodności oddziałów. Armia ukraińska, która tworzy się praktycznie na nowo – w toku walk, jakie prowadzi w Donbasie nie jest monolitem. Na froncie jest i regularne ukraińskie wojsko i tzw. bataliony ochotnicze. Jedne z nich są podporządkowane Ministerstwu Obrony, kolejne podlegają Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, a oddziały Prawego Sektora podporządkowują się chyba jedynie Sztabowi Generalnemu.

Zadaniem karkołomnym jest zrozumienie całej tej chaotycznej struktury. Ktoś gdzieś wyliczył, że batalionów ochotniczych jest ponad 35. Ich nazwy – z zasady szumne, ale liczebność rozmaita. Jakiś oddział może być nazywany „batalionem”, ale w praktyce będzie miał liczebność kompanii. To problem znany od czasów Majdanu, kiedy to „sotnie majdanowskie”, też nie zawsze były prawdziwymi sotniami.

W kierunku Donbasu zmierzam szybkim ekspresem. Połączenia kolejowe od samego początku były deficytowe, jednakże w tym przypadku wypełnienie pociągu jadącego na Donbas budzi uznanie. Gdyby nie liczni żołnierze rozsiani po wagonach można by powiedzieć, że nareszcie ten typ pociągów cieszy się na Ukrainie dużym powodzeniem. W powrotnej drodze pociąg też będzie wypchany pasażerami. Ludzie cały czas uciekają z terenów objętych wojną...

Droga z dworca kolejowego do centrum Słowińska prowadzi obok zaniedbanych bloków i budynków, które kiedyś określano mianem fabryk. Nieznośną

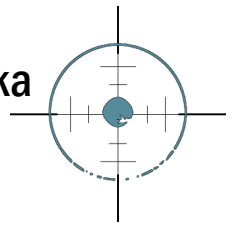


Wot, taka wojna...



szarość ożywiają wiaty przystankowe, które ktoś pomalował w narodowe barwy Ukrainy. Na jednym z murów widnieje przekreślona flaga Rosji i dopisek – *śmierć separatystom*. Teraz takie napisy widnieją tu i ówdzie, ale kiedyś pewnie było zupełnie inaczej. W zeszłym roku podczas spaceru tą trasą natknąłem się na dwóch chłopaków z kałachami, którzy niespiesznie patrolowali okolicę. To był pierwszy zauważalny znak, że sytuacja w Donbasie zaostrza się. Po obecności w Słowińsku „zielonych ludzików” i walkach, jakie toczyły się o miasto zostały widoczne gdzieś tam zniszczenia. W sumie wiele osób mogłoby stwierdzić, że nie różni się ona bardzo od zdegradowanych w pokojowych czasach innych miejscowości Donbasu. I tu i tu dziury, wypalone wnętrza, bark szyb w oknach i ogólne dziadostwo. W sumie wszystko do siebie podobne.

Baza batalionu to dawny akademik jednej z tutejszych uczelni. Kilka rozrzuconych budynków, obok trochę betonowych bloków i opon. Na bramie skrót do bardzo popularnego ostatnimi czasy hasła *Putin wypierdalaj*. Chłopaki z batalionu „Sicz” siedzą w niej już kilka miesięcy. Zaadaptowali odpowiednio pomieszczenia akademika; kuchnia działa na ich potrzeby, a pod nią – w podziemiach – uruchomili strzelnicę. Jest też posterunek wartowniczy, ale taki bardziej pro forma.



Wot, taka wojna...

Dostaję łóżko w byłym gabinecie lekarskim. Na łóżkach rozrzucony sprzęt wojskowy, pod łóżkami broń, amunicja i granaty. Jakieś instrukcje i przepisy sanitarne cały czas wiszą na ścianach. Dokumenty oddziału leżą w przeszkolonej szafce, w której kiedyś były zapewne lekarstwa. Śmieję się w myślach, że teraz można tu czuć się naprawdę bezpiecznie.

Ołeksander, to dowódca batalionu. Były najemnik, służył w Iraku i w Afryce, do końca mego pobytu wśród jego ludzi nie będzie mówił zbyt wiele o swoim wcześniejszym życiu. Sam zagaja rozmowę, że słyszał o naszym GROM-ie. Czy ich zna osobiście – nie wiem. Wie o wspólnej służbie Polaków i Ukraińców w Iraku, nie omieszkuje przytoczyć przykładu pewnego kiepskiego zachowania, jakiegoś polskiego dowódcy. Pokazuje szewron Ukraińskiego Ochotniczego Korpusu, który jest zbrojnym ramieniem osławionego Prawego Sektora – to, jak powiada, prezent od samego Dmytro Jarosza. Wysoki, mocno zbudowany, bez słów wzbudza potężny szacunek. Cieszy się bardzo dużym autorytetem u swoich ludzi, wszyscy bez wyjątku potem to potwierdzają. Mówi o zasadach panujących w oddziale. Co wolno, czego nie, na co zwrócić uwagę. Rozmawiamy o tym czy chcę jechać na front. Teoretycznie jest taka możliwość, by pojechać w jedno z bardzo zapalnych miejsc, gdzie chłopaki z batalionu trzymają kilka pozycji. Trochę pechowo się składa, że właśnie ruszyła ofensywa sił separatystycznych, a artyleria bije na całym froncie.



Moje późniejsze rozmowy o wojnie z chłopakami będą miały różny przebieg. Śmiejemy się wspólnie z sytuacji, w której ktoś z oddziału został ranny w tyłek odłamkiem własnego pocisku. O wiele większa powaga towarzyszy dyskusjom o samej walce i ryzyku. Każdy z chłopaków spytanych o możliwość wyjazdu na pierwszą linię odradza mi tę podróż. Przytaczają argumenty o niebezpieczeństwie, ryzyku i wszelkich możliwych trudnościach. Często padają barwne opisy drogi dojazdowej do stanowisk położonych na linii frontu. Jest ona pod ciągłym ostrzałem snajperów i artylerii. Auto musi jechać na pełnej szybkości, czy to dzień czy noc. Wybuchy pocisków rozrywających się za pędzącym autem oznaczają wojenne szczęście. Po dojechaniu na stanowiska trzeba siedzieć po piwnicach. Taka wojna. Jedni strzelają, a drudzy liczą, że pociski będą pudłowały. Żenia, doświadczony chłopak stwierdzi: – *Wiesz, jak czasem strzelają to nie dasz rady dolecieć do łazienki tylko srasz do siatki. Wot, taka wojna, niewdzięczna, śmierdząca i niewidoczna w telewizyjnych obrazach.*

O samej walce rozmawiamy mało albo wcale. Nie dopytuję, wiem, że jeśli będą chcieli coś powiedzieć to na pewno sami opowiedzą. To nie jest temat, który wszyscy chcą rozpamiętywać. Część z nich zresztą pewnie jeszcze nie walczyła. Nie każdy, kto nosi mundur nadaje się na pierwszą linię. Przy wyborze ludzi



kierowanych na front liczy się przede wszystkim ich charakter i opanowanie. Pasza ma pewnie z 40 lat i pochodzi z Kijowa. Świetnie gotuje i zawsze jest gotów ugościć smacznym jedzeniem w swoim pokoju. On, wraz z kilkoma chłopakami, śpi w czymś, co przypomina dawną salę dla chorych. Białe kotary, o ile tylko są rozciągnięte, przysłaniają wojskowy sprzęt. Pasza nie tylko świetnie gotuje, ale i zawsze proponuje coś do wypicia. Wódka, spirytus na mandarynkach, do tego marynowane pomidory, konserwy, słonina i frytki. - *Słyszałeś awanturę dzisiaj* – pyta mnie pewnego razu. - *Słyszałem* – odpowiadam. - *A wiesz kto ją zrobił?* - *Nie wiem* - odpowiadam. - *Ja!* – Pasza dumnie wypina pierś i wbija we mnie pewny wzrok z prześmiewczym uśmiechem. - *Ja zrobiłem zadymę, bo mi drużynę rozpiardolono! Przyjechał jeden z oficerów, wybrał sobie chłopaków ode mnie, zabrał na front i pojechał. Kurwa jego mać, kurwa jego mać!* – dodaje wzburzony. Zresztą Pasza klnie non stop więc słyszy ode mnie, że jest specjalistą od kurew. Śmieje się na głos. Takie żarty są tu na porządku dziennym. Pijemy z metalowych kubków to co jeszcze znalazło się pod stołem. On dalej nie może przeboleć tego co się wydarzyło.

Wojna wciąga nawet wtedy, kiedy jej nie widać i nie słyhać. Na stołówce oddziału pracują miejscowe wolontariuszki. Przychodzą regularnie, aby gotować chłopakom. Jedna ze starszych kobiet podwija rękaw i pokazuje skutki ostrzału. Potężna blizna, jaką ma na

Wot, taka wojna...

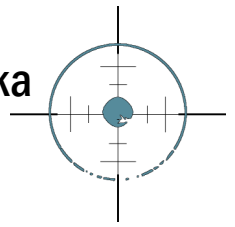


ręce jest ewidentnie śladem rany powstałej od jakiegoś odłamka. Widzi, że ślad po ranie robi na mnie wrażenie, więc pokazuje drugą rękę, na której widnieje podobny ślad. - *No to zobacz trzecią* – mówi – i podnosi bluzkę. Na plecach jest kolejna blizna, która na pewno nigdy już nie zniknie. Moja rozmówczyni uśmiecha się i dodaje: - *Czwartej już ci nie pokażę*. I odchodzi do swoich obowiązków. Trzeba przecież ugotować i wyżywić te kilkadziesiąt zarośniętych, dojrzałych, naznaczonych życiem twarzy. Jest barszcz ukraiński, ziemniaki, kasza, ryż. Wszystko smaczne i zawsze dobrze przyrządzone. W sąsiedniej sali hula wiatr. Nikt nie wstawił nowych szyb...

Inna wolontariuszka, młoda dziewczyna, która uśmiecha się filuternie do chłopaków, opowiada o okresie, kiedy miasto było pod kontrolą sił separatystów. Pokazuje mi na komórce zdjęcia barykad zrobione z ukrycia. Za coś takiego w najlepszym przypadku groziła utrata komórki, w gorszym przypadku - pobicie, przetrzymywanie w jakiejś piwnicy, a może i rozstrzelanie. Teraz się z tego wszystkiego śmieje. Opisuje jak na początku próbowano zdobywać informacje o uzbrojeniu przeciwnika. Ktoś miał gdzieś podjechać, obejrzeć jaką bronią dysponują załogi separatystycznych blok-postów.

Słuchamy tej opowieści razem z Mykołą. To niski, krępy chłopak pochodzi z Donbasu. Zostawił żonę,





Wot, taka wojna...

kilkoro dzieci i poszedł walczyć. W pierwszy czy drugi dzień mojego pobytu w batalionie łapie mnie i prosi o zrobienie zdjęcia. Spotykamy się znów pod koniec i zaprasza mnie, abym zobaczył jego znalezisko. Dopiero co wyłowił z rzeki Maxima, ciężki karabin maszynowy, który produkowano od początku XX w. do końca II wojny światowej. Zatopili go wcześniej wycofujący się separatyści. Teraz karabin jest czyszczony i naprawiany. Mykoła uśmiecha się zawadiacko i pozuje przy swoim skarbie. Pewnie będzie chciał go wykorzystać przeciwko poprzednim właścicielom.

Chłopaki w oddziale pochodzą z różnych stron. Z Zachodniej Ukrainy, z Kijowa, z Odessy, z Charkowa, z Doniecka. Żaden z nich nie jest ubezpieczony na wypadek ran czy też śmierci. Państwo dało im broń, czasem mundur. Społeczeństwo dba o to, aby dowozić im jedzenie i podstawowe produkty umożliwiające codzienne funkcjonowanie. Służą, bo tak im nakazuje przysięga albo tak potoczyło się ich życie. Część z nich to ukraińscy nacjonaliści, inni to osoby, które po prostu chcą walczyć za swój kraj, bez dorabiania do tego jakiejś większej ideologii. Po twarzach widać, kto jest kto. Opanowanie, nadrabianie miną, powaga. Wszystko to od razu wyczytuje się z twarzy chłopaków. Wielu chodzi z przypasanymi do ud pistoletami Makarowa. Może dla wielu to sposób na podbudowanie swojego ego, a może i zwykła ostrożność. Mykole – temu od Maxima – ktoś w czasie pożaru ukradł kałacha i nóż myśliwski.



Z mundurami i całym pozostałym wyposażeniem, to też cała historia. Nie ważne jaki, ale ważne żeby mundur był. Przypomina to trochę sytuację z Majdanu, gdzie znaczenie wielu osób rosło wraz z ubraniem przez nich dowolnego m munduru. Jak ktoś miał wojskową odzież od razu, był kimś. Więc Ukraińcy biegną po froncie w różnorodnych mundurach, do których wyposażenie pochodzi od wolontariuszy albo zostało zakupione gdzieś za granicą w większej partii. Jadą więc na front w Donbasie mundury w kamuflażu amerykańskim i brytyjskim; popularne są niemieckie panterki. Niedawno pojawiła się kanadyjska odzież wojskowa. Chłopaki w batalionie chodzą w multicamie uszytym przez polską firmę Helikon. Pytam kilku z nich czy ten mundur jest ok – słyszę w odpowiedzi, że jest niezły, tak można uśrednić ich opinie. Hełmy są włoskie, ale widzę



i polskie ochraniacze kolan. Zresztą charakterystyczna polska „pantera” dość często jest spotykana w różnych ukraińskich oddziałach.


Śledzenie profili w sieciach społecznościowych, w kontekście zaopatrzenia ukraińskiej armii jest i budujące, i dobijające. Skala mobilizacji społecznej jest bardzo duża i podstawowe wyposażenie wojskowe jest nadsyłane na Ukrainę z całego świata, w tym dużej mierze z Polski. Jadą na wschód polskie bluzy, kurtki-bechatki, buty, śpiwory i inne elementy wyposażenia. Z drugiej strony zaopatrywanie poszczególnych oddziałów po kilkanaście sztuk takiego, lub innego sprzętu i ekwipunku tworzy wrażenie całkowitej przypadkowości kanałów zaopatrzenia armii i scedowania podstawowych zadań w tym zakresie przez państwo na społeczeństwo. Nie dziwi potem widok oddziałów, których umundurowanie jest pochodną ich pierwotnego ogólnowojskowego umundurowania i wyekwipowania, dostaw wolontariuszy i prywatnych zakupów poszczególnych żołnierzy.

Rozmawiamy któregoś dnia o zaopatrzeniu batalionu i o tym, jak inne znane oddziały zbierają pieniądze na swoje potrzeby. Chłopaki siedzą na wschodzie więc nawet do końca nie wiedzą, że na Majdanie stoi od dawna samochód przy którym pieniądze zbiera wolne datki batalion „Donbas”, a w jednym sklepów kijowskich sklepów z militariami stoi specjalny pojemnik przeznaczony na wpłaty dla pułku „Azow”. Chłopaki kiwają głowami, widzą namacalne różnice. Ich batalion

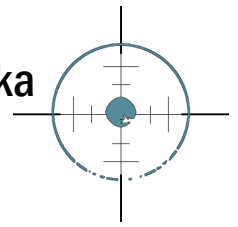


jest powiązany z Partią Swoboda, więc partia w jakiś tam sposób wspiera ich finansowo, ale potrzeby są przecież ciągłe i bardzo duże. Dodają, że Swoboda nie jest teraz lubiana przez władze więc i to odbija się pośrednio na wsparciu dla ich batalionu.

Całą rozmowę toczyliśmy w kuchni. Większość z produktów, które znajdują się na stołach to oczywiście zasługa dobrego serca wolontariuszy, którzy zaopatrują oddział. Jeśli takiej pomocy by nie było to armia walczyłaby głodna. Tak po prostu. Państwa albo nie stać albo istniejąca sytuacja jest wygodna dla określonych struktur ministerialnych. Na jednym z plastikowych pudełek znajduję napis: *Drodzy synkowie, modlimy się za Was i czekamy abyście cali wrócili do domu. Życzymy wam zwycięstwa. W pudełku słonina z czosnkiem.* To zdanie mówi wszystko. Można nic więcej nie pisać o istocie wojny.

 Fot. Autor





KRZYSZTOF KUBIAK

O potrzebie odrobienia ukraińskich lekcji

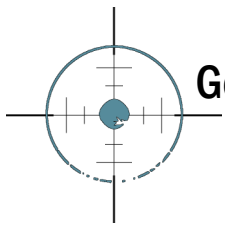
Konflikt na Ukrainie analizowany był z rozmaitych punktów widzenia, jednakże wśród wielu podejmujących tę tematykę autorów jedynie nieliczni podnieśli zagadnienie stanu moralnego ukraińskich sił zbrojnych w chwili rozpoczęcia przez Rosję agresywnych działań na Krymie. Zwykle problem ten zbywano ogólnikiem, że: „Ukraińcy nie chcieli się bić, a wielu z żołnierzy zawodowych, służących zwłaszcza w Marynarce Wojennej, emocjonalnie (lub interesownie) silniej związanych było Moskwą niż z Kijowem”. Było to generalnie słuszny „opis z natury”, który jednak w znikomym jednak stopniu tłumaczył przyczyny tego fenomenu.

W momencie rozpoczęcia konfliktu armia ukraińska znajdowała się w istocie w wyjątkowo złej kondycji, która wykluczała podjęcie przez nią efektywnych działań bojowych. Materialne przyczyny tego stanu rzeczy są dobrze opisane, warto jednak również przyrzeć się, równie ważnym, a może nawet kluczowym dla wyjaśnienia sytuacji czynnikiem pozamaterialnym. Przede wszystkim zarówno ukraińska kadra oficerska i podoficerska, jak i szeregowi żołnierze nie wierzyli w realność scenariusza zakładającego, że kiedykolwiek ruszą oni do prawdziwej walki. To zaś było rezultatem powszechnego w społeczeństwie, funkcjonującym w warunkach siermiężnej korupcyjno-oligarchicznej stabilizacji, przekonania, że konflikt zbrojny, wojna z sąsiadem ze wschodu jest po prostu niemożliwa. Jeżeli zdecydowana większość społeczeństwa uznała otwartą konfrontację orężną za niemożliwą, to zbrojne zwanie z Rosją znajdowało się daleko poza horyzontem prognostycznym nie tylko zwykłych obywateli, ale przeważającej więk-

Obecnie na Ukrainie możemy obserwować działania wojsk naszego potencjalnego przeciwnika. Lekcję tę otrzymujemy przy tym za darmo, w związku z czym nie wykorzystanie jej byłoby zaniechaniem wymagającym bardzo surowej kary.

szości elit. Owe przekonanie to rezultat ugruntowanego wśród Ukraińców w okresie zarówno carskim, jak i sowieckim przekonania o szczególnym historycznym powiązaniu ich losów z dziejami Wielkorusów, co możliwość definicji wyklucza możliwość walki między dwoma „bratnimi słowiańskimi narodami”.

Przekonanie o braku zagrożenia (analogiczne z wszechobecnym w naszym życiu publicznym przeświadczeniem, że NATO stanowi antidotum na wszystkie zagrożenia wojskowe, a UE stanowi panaceum na ekonomiczne – taki jest efekt kilkunastu lat prowadzonej z Polakami „pracy wychowawczej”) skutkowało lekceważeniem stanu sił zbrojnych przez kolejne ekipy sprawujące Ukrainie władzę w niepodległej. Rządzący mieli ponadto inne jeszcze powody, by wojsku nie ufać. W pewnym uproszczeniu przyjąć można, że opcja „promoskiewska” nie akceptowała ukraińskich znaków, sztandarów i języka, zaś opcja „europejska” nie mogła uporać się z zaszłością wynikającą z sowieckiej proweniencji wojska. Obie frakcje, działając w tym przypadku ramię w ramię, obawiały się jednocześnie rzeczywistego wzmocnienia możliwości sił zbrojnych, gdyż rodziło się to ewentualność pojawienia nowego gracza w nie do końca stabilnej, ale rządzącej się znanymi regułami, rzeczywistości politycznej.



W rezultacie doszło do ewidentnego wynaturzenia ukraińskiej armii. Ze struktury zorganizowanej, szkolonej i utrzymywanej po to – by w przypadku zaistnienia takiej konieczności – bronić interesów państwa w krwawej konfrontacji zbrojnej, lub utrzymując wysoki poziom gotowości bojowej do takiej sytuacji nie dopuścić (odstrasząca funkcja sił zbrojnych) przeistoczyła się ona w strukturę socjalno-biznesową. Kadry zawodowej („pracującej” a nie „pełniącej służbę”) gwarantowała ona określony, stały, choć niski, poziom bezpieczeństwa bytowego i możliwość zarabkowania w sposób może nie do końca legalny, lub całkowicie nielegalny, ale za to powszechnie akceptowany. Oczywiście owe „dodatkowe możliwości” uzależnione były od miejsca zajmowanego w służbowej hierarchii, wobec czego pragmatyka awansowa również została „skomercjalizowana”. Na wyższe stanowiska wyznaczano nie tych oficerów, którzy legitymowali się stosownymi kompetencjami, ale tych, których stać było na poczynienie odpowiedniej „inwestycji”. Demoralizacja dotknęła również szeregowych, (którzy również nie pełnili służby, lecz mówiąc kolokwialnie „szwejkowali”) starając się przetrwać okres służby wojskowej możliwie najmniejszym wysiłkiem.

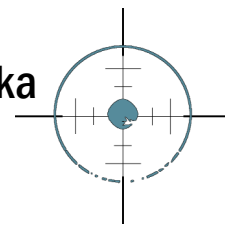
W takiej sytuacji szkolenie na wszystkich szczeblach, od pojedynczego żołnierza, poprzez szkolenia taktyczne drużyny, plutonu i pododdziałów wyższego szczebla, aż do szkolenia taktyczno-operacyjnego sztabów i dowódców było zbędne, gdyż – z punktu widzenia beneficjentów tego patologicznego systemu - prowadziło do rozpraszania uwagi i marnotrawienia zasobów. Sprowadzono o je zatem do przedsięwzięć o charakterze pokazowo-teatralnym nie mającym wiele wspólnego z rzeczywistym treningiem bojowym. W wojsku nie wdrożono żadnego racjonalnie

O potrzebie odrobienia ukraińskich lekcji

zaplanowanego i konsekwentnie zrealizowanego programu modernizacji. O zakupach decydowały bowiem nie rzeczywiste potrzeby sił zbrojnych, ale interesy poszczególnych producentów działających bądź bezpośrednio, bądź za pośrednictwem agresywnych grup cywilnych i wojskowych lobbyistów. W biznesowo-militarnej rzeczywistości Ukrainy na niepotrzebne uznano również utrzymywanie zorganizowanej i licznej rezerwy, która okazała się warunkiem kluczowym, gdy konflikt przybrał charakter długotrwałej konfrontacji na wyniszczenie pochłaniającej nie tylko zasoby materialne, ale również ludzkie. Były więc ukraińskie siły zbrojne typowym „wojskiem ośmiogodzinnym” ze znacznie rozbudowaną „szarą strefą”

Potrzebne są pogłębione studia nad taktyką stosowaną przez secesjonistów oraz wspierających ich Rosjan, analizy możliwości używanego w działaniach uzbrojenia i rozważania nad generalnym obrazem „ukraińskiego pola walki” (by wspomnieć takie fenomeny jak renesans roli artylerii, znikomą rolę lotnictwa wsparcia w warunkach silnego nasycenia obszaru walk środkami przeciwlotniczymi).

Wszystkie te słabości obnażył toczący się konflikt. Na Krymie Ukraińcy nie walczyli, gdyż – ujmując rzecz najbardziej generalnie – nie byli mentalnie przygotowani na konfrontacje z Rosjanami, od wachtowego na okręcie w Sewastopolu poczynając, zaś na kierownictwie państwa kończąc. „Zdecydowane” gesty oporu, w zamyśle patetyczne, okazywały się w świetle faktów po prostu maskowaniem obecnej na wszystkich szczeblach indolencji i defetyzmu. Gdy konflikt przeistoczył się w secesję regionów donieckiego i ługańskiego sytuacja z groteskowej przeistoczyła się w dramatyczną.



O potrzebie odrobienia ukraińskich lekcji


Rozpaczliwa niekompetencja i brak podstawowych kwalifikacji dowódczych skutkowały podjęciem działań, dla których inspiracją były bardziej popularne filmy wojenne niż jakikolwiek kurs taktyki wyniesiony ze szkoły wojskowej wsparty choćby krótką praktyką poligonową. Rezultat objawił się w postaci utraty terenu i bardzo wysoki strata w ludziach. Antidotum na ewidentne braki armii regularnej oraz niewydolność (a w zasadzie brak) systemu mobilizacyjnego miały być ożywione „patriotycznym duchem” bataliony ochotnicze. Eksperyment ten również zakończył się fiaskiem. Bataliony często już od chwili swego formowania uwikłane były w rozgrywki oligarchów, ale przede wszystkim okazały się mało przewidywalne w warunkach bojowych, co zasadniczo obniżało ich wartość. Kolejnym problemem z nimi związanym jest powszechnie występujące maruderstwo i angażowanie się żołnierzy w rozmaite, „poza bojowe” przedsięwzięcia o zdecydowanie merkantylnym charakterze. Nie bez przyczyny obecnie zamierza się część z nich rozwiązać, a część wcielić do sił regularnych lub przeorganizować w scentralizowaną Gwardię Narodową.

W toku konfliktu armia ukraińska zmieniała się i zmienia nadal na lepsze. Ewolucja zachodzi jednak bardzo powoli, a pewne fundamentalne słabości, jak na przykład niewydolność systemu mobilizacji rezerw, nie zostały pokonane. Najbardziej bolesny jest jednak fakt, że lekcja ta została opłacona olbrzymią daniną krwi, gdyż czas pokoju, w trakcie którego możliwe było profesjonalne przygotowanie armii do boju został na Ukrainie całkowicie zmarnotrawiony.

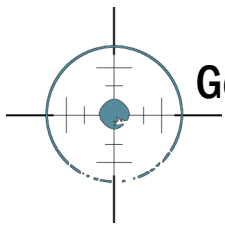
Konflikt na Ukrainie wymaga przeprowadzenia starannych analiz, gdyż mimo ograniczonego (w wyniku decyzji podejmowanych na Kremlu) charakteru rozgrywa się on w realiach geograficznych zdecydowanie bliższych Polsce niż Irak i Afganistan, będące w ciągu ostatnich kilkunastu lat miejscami zdobywania realnych bojowych doświadczeń przez żołnie-

rza polskiego. Potrzebne są również pogłębione studia nad taktyką stosowaną przez secesjonistów oraz wspierających ich Rosjan, analizy możliwości używanego w działaniach uzbrojenia i rozważania nad generalnym obrazem „ukraińskiego pola walki” (by wspomnieć takie fenomeny, jak renesans roli artylerii, znikomą rolę lotnictwa wsparcia w warunkach silnego nasycenia obszaru walk środkami przeciwlotniczymi). Wszak to właśnie obecnie na Ukrainie możemy obserwować działania wojsk naszego potencjalnego przeciwnika. Lekcję tę otrzymujemy przy tym za darmo, w związku z czym nie wykorzystanie jej byłoby zaniechaniem wymagającym bardzo surowej kary.

Niezwykle istotne są jednak również doświadczenia dotyczące przygotowania obronnego społeczeństwa, ale przede wszystkim wniosek sprowadzający się do potrzeby gruntownego przebudowania i zwiększenia efektywności systemu mobilizacyjnego. Armia zawodowa ma oczywiście swoje silne strony. Dysponuje ona znacznym zaczepnym potencjałem destrukcyjnym, ale jest wyjątkowo mało odporna na straty personelu, których poziom w warunkach obrony własnego terytorium byłby zapewne zasadniczo wyższy niż podczas operacji ekspedycyjnych.

Jak trafnie zauważył John Ferris armia złożona z zawodowych profesjonalistów „przypomina skorupki jajek uzbrojone w młotki, zdolne wyrządzać szkody, lecz same nieodporne na nie”. Podstawowym sposobem eliminacji owej „genetycznej” słabości armii zawodowej jest budowa efektywnego systemu mobilizacji rezerw i ich absorpcji przez siły operacyjne. Dla Polski jest to bodajże najważniejszy wniosek płynący z ukraińskiego konfliktu. 

Rozbudowana wersja tekstu, jaki ukazał się pierwotnie na stronie internetowej Fundacji Polskie Forum Bezpieczeństwa



Ocena i prognoza sytuacji na Ukrainie generała majora KGB ZSRR Walerija Nikołajewicza Wieliczko

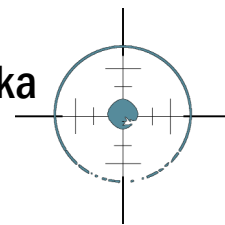
Redakcja miesięcznika przedstawia poglądy, ocenę oraz swoistą prognozę rozwoju sytuacji na Ukrainie autorstwa generała majora KGB ZSRR Walerija N. Wieliczko. Pogląd na sprawy ukraińskie generał przedstawił na prośbę Kazimierza Kraja z naszej redakcji. Wyraził zgodę na jej opublikowanie. Czekaliśmy rok na publikację, gdyż opinię otrzymaliśmy w dniu 3 marca 2014 r. Tekst generała W. N. Wieliczko został przetłumaczony dosłownie, z zachowaniem stylistyki używanego przez niego języka. Notka odzwierciedla ówczesne poglądy środowiska (jego części), które reprezentuje autor, prezydent Klubu Weteranów Organów Bezpieczeństwa Państwowego, ale również przez lata członek Rady Konsultacyjnej przy Dyrektorsze Federalnej Służby Bezpieczeństwa, członek Rady Konsultacyjnej Głównego Zarządu Spraw Wewnętrznych miasta Moskwa, członek - korespondent Akademii RAEN. Ten wysoce kontrowersyjny tekst jest pierwotnym źródłem wiedzy o sposobie patrzenia na problem ukraiński rosyjskiego establishmentu, szczególnie tego wywodzącego się ze struktur siłowych (militokracji, jak pisze O. Krysztanowska). Dlatego po roku od jego otrzymania postanowiliśmy go opublikować, choć może wywoływać kontrowersje. Czytelnicy nie powinni go utożsamiać z poglądami członków redakcji lub innych instytucji.

(...) Zdumiewające jest, że Zachód nie pojmuje, że w Kijowie przeszedł faszystowski przewrót. Do władzy doszli potomkowie bojowników OUN – UPA, którzy są gotowi powtórzyć zbrodnie swoich przodków. Najbardziej działania Rosji powinni popierać Polska oraz Izrael. No z ich strony, jak na razie – milczenie. Jutro te szumowiny znajdą współpracowników wśród neonazistów Europy, których w jest tam wystarczająca ilość. I my zobaczymy majdany na placach Niemiec, Francji, Polski, Rosji i innych państw. Jako wojskowy, który przeszedł gorące punkty ZSRR i szeregu innych państw, jestem przeciwny działaniom bojowym na terytorium bratniego kraju, lecz te szumowiny boją się tylko siły. Na podstawie decyzji Procesu Norymberskiego oraz powojennych decyzji ONZ ci ludzie – to przestępcy. I z nimi należy się porozumiewać, ale aresztować i sądzić za przewrót państwowy, za zabójstwa funkcjonariuszy organów ochrony porządku prawnego – Berkutu i milicjantów. Uwzględniając, że 20 lat z przy pomocy Juszczenki i przy

bierności Krawczuka, Kuczmy i Janukowicza na Ukrainie odbywało się intensywne pranie mózgu młodzieży w duchu Bandery i Szuchewicza. Myślę, że potrzebny będzie nie jeden rok, żeby temu pokoleniu Ukraińców opowiedzieć prawdę o bestialstwie nacjonalistów. Zachodnia Ukraina jeszcze długo będzie nienawidzić Rosjan, Polaków i Żydów. Jedyne warianty dla nas wszystkich – pomóc Południowemu – Wschodowi (Ukrainy – tłum.) i Krymowi samookreślić się. I wcale nie obowiązkowo wchodzić w skład Rosji. Niezbędne jest stworzenie trzech państw – Zachodnią (przyjazną Rosji) i Południowo – Wschodnią Ukrainy, samodzielne państwo – Krym z Odessą, Mikołajewem, Chersoniem i itd. Na Zachodniej Ukrainie przeprowadzić demokratyczne reformy, debanderyzację, a także obiektywne śledztwo siłami państw europejskich przestępstw, dokonanych w czasie Euromajdanu, pociągnąć do odpowiedzialności jego organizatorów oraz wykonawców. Wobec bandyty Jarosza w Rosji już została rozpoczęta sprawa karna i on będzie ścigany w ramach poszukiwań międzynarodowych. A ja bym, jak Skorzeny wobec Mussoliniego, wykorzystał nasze służby specjalne, wywiózł go z Kijowa do Moskwy, żeby nie mógł on uniknąć kary, tam go osądzić lub przekazać międzynarodowemu trybunałowi. Stanowczo trzeba zakazać prawem międzynarodowym na terytorium Ukrainy i pozostałych państw funkcjonowania organizacji nacjonalistycznych, faszystowskiej retoryki i symboliki (przy sposobności również w krajach nadbałtyckich). Zreorganizować system nauczania i wychowania młodzieży na bazie wartości ludzkich, prawdy o przeszłości.

Prowadzić aktywny informacyjny atak w środkach masowego przekazu z prawdziwymi informacjami o przeszłości OUN – UPA, II wojnie światowej itp. A najważniejsze porozumieć się na świecie w sprawie precyzyjnego zdefiniowania pojęć - terroryzm, faszyzm, nazizm, nacjonalizm, demokracja i wolność, nie dopuszczać do stosowania podwójnych standardów w dyplomacji. Należy na poziomie ONZ i społeczeństwa świata osądzić tych polityków Europy i USA, którzy wzięli udział w rozpaleniu majdanu, nie dopuszczać ich w przyszłości do międzynarodowej działalności politycznej. Oni się już tak poważnie się skompromitowali, żeby można im było wierzyć w przyszłości.

 **Walerij N. Wieliczko**



MAGDALENA EL GHAMARI

„Multikulti” – nieudane wyzwanie bezpieczeństwa międzynarodowego?

Analiza doświadczeń historycznych w obecnych czasach wskazuje na to, że współczesne wyzwania bezpieczeństwa są w dalszym ciągu fazy ciągłych przemian. Wobec zjawiska powstawania i rozwoju państw zauważyć można negatywną tendencję do generowania się konfliktów czy też zjawisk i zdarzeń kryzysowych. Wydarzenia z ostatnich lat jedynie potwierdzają tą tezę. Staliśmy się obserwatorami wojen i konfliktów lokalnych takich jak: Czeczenia, Irak, Libia, Afganistan, Kosowo itd. Uwarunkowania geopolityczne Europy u schyłku XX wieku i początku XXI sprawiły, że nie istnieje nic cenniejszego w środowisku międzynarodowym od jednej z podstawowych wartości jakim jest bezpieczeństwo – zarówno w wąskim jak i szerokim rozumieniu. Dzięki mnogości przeprowadzanych analiz oraz wyciąganych wniosków z poszczególnych konfliktów występujących na całym globie, wynika niezmiernie istotna kwestia, mianowicie współdziałanie – kooperacja i współdziałanie organizacji i instytucji pozamilitarnych oraz komponentów wojskowych.

Zauważa się, że coraz większa liczba uczestników (cywilnych i wojskowych) angażuje się w operacje pokojowe prowadzone w kraju i poza jego granicami. Jest to o tyle ważne i niezbędne, gdyż pojawienie się konfliktu i jego dynamiczny przebieg powoduje rozpad państwa, podział społeczeństwa, niekontrolowany wzrost liczby uchodźców, wysiedlenia, zniszczenia infrastruktury i dóbr materialnych i ogólny chaos we wszystkich dziedzinach życia. Dlatego też niezbędnym staje się przeprowadzenie operacji pokojowej - zaliczanej do drugiego rodzaju działań militarnych odmiennych od wojny.

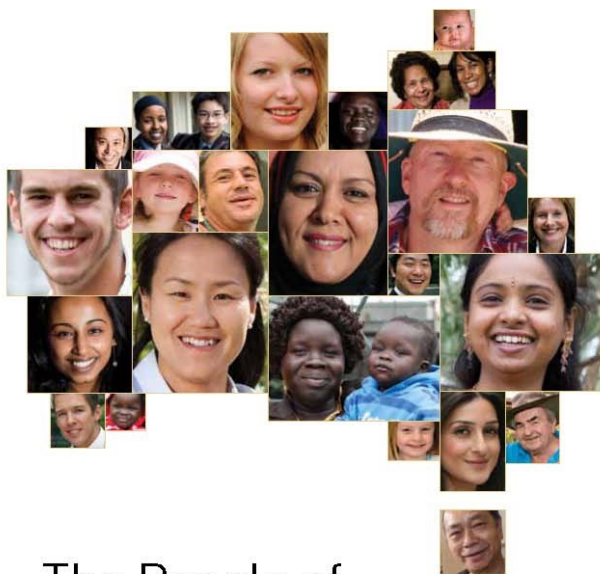
Na tej podstawie, zasadnym jest określenie wyzwań bezpieczeństwa, które warunkują prowadzenie współczesnych misji, operacji, a co za tym idzie i polityki państwa.

Z uwagi na tą problematykę, autorka wychodzi z założenia, iż jednym z podstawowych wyzwań współczesnego bezpieczeństwa jest międzykulturowość, którą należy rozpatrywać w aspekcie cywilnym oraz wojskowym. Jednakże, czy nie jest to jeden z najbardziej zaniechanych aspektów współczesnego bezpieczeństwa?

Międzykulturowość to zarówno system społeczny jak i pojęcie badawcze, które jest stosunkowo nowe, mimo iż od setek lat jest praktykowanym sposobem życia wielu społeczeństw na całym świecie. Kształtując swoje definicje oraz istotę, od wielu lat międzykulturowość stała się dziedziną wiedzy, która jest przedmiotem badań i opracowań teoretycznych. Co ważniejsze należy podkreślić, że to właśnie jej wymiar praktyczny ma największy wpływ na kształtowanie się współczesnych społeczeństw oraz system ich funkcjonowania.

Wytworzenie oraz podtrzymywanie odpowiedniego systemu postaw społecznych w czasie prowadzonej operacji jest istotą międzykulturowości w określonym środowisku działania. Polega ona na wzmacnianiu wewnętrznych dyspozycji uczestników operacji do nawiązywania oraz podtrzymywania dialogu. Niezmiernie ważnym aspektem dla uczestników operacji jest zdawanie sobie sprawy z istnienia tych samych aspektów, które stanowią istotę międzykulturowości (poziomy sytuacji międzykulturowej, problematyczności sytuacji międzynarodowej, relatywizmu kulturowego, różnic kulturowych, różnic kulturowych utrudniających, a czasami nawet uniemożliwiających bezkonfliktowe kontakty, efektu oddziaływania kultur oraz różnic kulturowych, zjawiska integrowania różnic innego lub obcego w przeróżnych sytuacjach, kategoryzowania).

Komunikacja interpersonalna uczestników operacji polega na stałym przygotowaniu do zmienności sytuacji oraz nie rozpatrywaniu problemów w kategoriach granic jak też nie traktowaniu różnic jako cechy wykluczającej. Różnice oraz różnorodność kultur i to nawet w najbliższym nam sąsiedztwie sprawia, iż jesteśmy konfrontowani z odmiennymi systemami wartości a to może rodzić dylematy i nieświadome nieporozumienia, gdyż do oceny innych przykładają się z reguły swój katalog wartości. Formy i mechanizmy zachowań społecznych powodowane są różnicami i mnogością kultur - to co w jednej kulturze jest oczywiste w innej - nawet jak się okazuje w kulturze sąsiedzkiej, nie jest już tak oczywiste i zrozumiałe. Jeszcze dziwniejsze są nasze



The People of AUSTRALIA

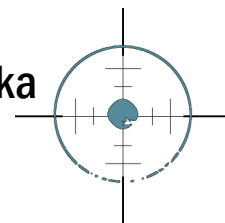
Australia's Multicultural Policy

Międzykulturowość to zarówno system społeczny jak i pojęcie badawcze, które jest stosunkowo nowe, mimo iż od setek lat jest praktykowanym sposobem życia wielu społeczeństw na całym świecie.

Fot. K. Lundy, <https://www.flickr.com/photos/lundyk/5449910217>

„Multikulti” – nieudane wyzwanie bezpieczeństwa międzynarodowego?

reakcje gdy prowadzimy jakiegokolwiek działania poza granicami Europy, gdzie najdrobniejszy gest może czasami obrazić lub też rozśmieszyć rozmówcę lub współpracownika. Każda interakcja międzyludzka czy też normy zachowań opierają się na określonych zasadach, które wyznacza etyka. Uczestnicy operacji reagowania kryzysowego są dosyć specyficzną grupą badanych. Ich interakcje nie są formą dobrowolnych kontaktów. Mają określone zadania do wykonania, które nie mogą być wypełnione bez poznania drugiego człowieka. W sytuacji operacji kryzysowej ten drugi człowiek jest z innego obszaru kulturowego, włada innym językiem i wyznaje inną religię i system wartości. Zaś każda z religii ma wiele odłamów i sekt, których dogmaty bardzo różnią się od podstawowych założeń. Antropolog Mircea Eliade dzieli ludzi na religijnych, żyjących w tzw. czasie świętym ustanowionym przez Bogów oraz ludzi świeckich, którzy odnajdują siebie w teraźniejszości historycznej. Nie każdy człowiek, którzy żyje w państwie, w którym dominuje określone wyznanie musi być człowiekiem religijnym. Dlatego też należy zrobić wszystko co jest możliwe, by się wzajemnie zrozumieć i porozumieć. By tego dokonać należy określić, czym są odmienności (różnice kulturowe), lub też czym się charakteryzuje nasza kultura i czym może się różnić od pozostałych. Ważne jest, by nie traktować swoich przekonań jako jedynych możliwych oraz prawdziwych. Nie można stać na stanowisku, że nasze tradycje, kultura oraz wierzenia są najlepsze. By zdefiniować różnice kulturowe należy poznać własną kulturę, tradycje, obyczaje oraz zasady powszechnego funkcjonowania w społeczeństwie. Ponadto należy zdawać sobie sprawę ze swoich oczekiwań dotyczących tego, jak inni ludzie powinni myśleć i postępować. Po tym dopiero można zacząć zastanawiać się czym są różnice kulturowe. Rozpatrując problematykę wyzwania jakim jest właśnie międzykulturowość, należytem jest zwrócenie uwagi na różnice kulturowe odmiennych społeczeństw. Różnice dotyczą następujących komponentów:



- stosunku do zasad etycznych,
- prawa,
- zasad wynikających ze zobowiązań międzyludzkich (uniwersalizm a partykularyzm),
- stosunku do jednostki i grupy (indywidualizm a kolektywizm),
- sposobu zachowania (powściągliwość a emocjonalność),
- sposobu postrzegania świata (wycinkowość a całościowość),
- sposobu wyznaczania statusu społecznego (osiąganie a przypisywanie statusu),
- stosunku do czasu,
- stosunku do otoczenia,
- sposobów obchodzenia uroczystości,
- religii,
- języka,
- zachowań społecznych,
- zakazów oraz nakazów.

Badania przeprowadzone przez autorkę wykazały, iż w dalszym ciągu przedstawione powyżej kwestie są często niezrozumiałe dla uczestników operacji.

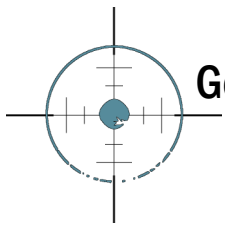
Niezwykle ważną kwestią kulturową jest rola oraz pozycja kobiet w religii. Z badań wynika, że na tym tle dochodzi do dużej liczby konfliktów i nadal jest to wyjątkowa kwestia, z którą spotykali się uczestnicy operacji w Afganistanie i Iraku. Ponadto, jednym z najważniejszych oraz najbardziej restrykcyjnych do przestrzegania różnic kulturowych jest stosunek do świąt religijnych w Koranie. Oczywiście nie brakuje go również w chrześcijaństwie.

Tak samo istotny jest stosunek wyznawców danej religii do innych, ich autorytety religijne oraz tolerancja. W kontekście prowadzenia operacji reagowania kryzysowego, ważne jest by nie zrazić do siebie oraz nie znaleźć się w niekomfortowej sytuacji w czasie obowiązującego święta muzułmańskiego lub wchodząc do miejsca świętego, objętego czcią.

Wiele osób z cywilizacji europejskiej zastanawia się nad powodem noszenia odmiennych ubrań, zbytniego okrywania się lub noszenia brody w krajach muzułmańskich. Wszystko to wynika z określonych zasad koranicznych oraz wytworzonej przez setki lat tradycji. Aspekty, które nie pojawiły się w Koranie są sprostowane oraz opisane przez *fatwy*. Dotyczy to tatuaży, aborcji czy też noszenia brody, biżuterii lub innych ozdób.

Sposób poruszania się, pewność siebie czy też sposób ubierania się nie jest tak sprecyzowany w religii chrześcijańskiej jak w Islamie. Może dlatego też są to kwestie, które są dziwne lub po prostu inne dla społeczeństwa europejskiego. Trudno wytłumaczyć fakt, okrywania się kobiet dla przyciągnięcia mężczyzny. Cały świat muzułmański został skonstruowany w oparciu o dualizm społeczny. Oddzielny świat kobiet i mężczyzn jest normą, która jest powszechnie przyjęta w krajach muzułmańskich. Jest to bardzo ważne, by zrozumieć te zasady i się do nich dostosować, w szczególności dotyczy to trwających operacji reagowania kryzysowego oraz ich uczestników. Należy nie tylko zdać sobie sprawę z przyjętych norm społecznych ale z roli zakazów oraz nakazów w Islamie. Wiedza ta umożliwi uniknięcie niekomfortowych sytuacji oraz konfliktów na tym tle.

Znajomość różnic społeczno – kulturowych w obrębie każdej cywilizacji jest nieodłącznym aspektem funkcjonowania w społeczeństwie wielokulturowym oraz prowadzeniem należytych decyzji w obszarze bezpieczeństwa państwa. Co więcej, związana jest bezpośrednio z pełnieniem zadań w obszarze cywilizacji muzułmańskiej. Istota przyjaźni, małżeństwa, pozycja osób starszych oraz potrzebujących opieki, relacje w rodzinie czy też zasady zerwania związku małżeńskiego oraz prawo w religii muzułmańskiej jest niezwykle ważne i może być przydatne każdego dnia wykonywania zadań w obszarze operacji reagowania kryzysowego. Ponadto nikt nie jest w stanie przewidzieć w jakiej znajduje się sytuacji i jaka wiedza okaże się przydatna. Oczywiście można zarzucić temu stwierdzeniu, że nie da się wiedzieć wszystkiego oraz wymagać



od wojska wszechstronności. Jednakże nikt nie wymaga głębokiej specjalistycznej wiedzy na te tematy, wystarczy ogólny światopogląd oraz odpowiednie szkolenie, które ma za zadanie przygotować członków operacji do pełnienia swoich obowiązków.

Różnice kulturowe, a nawet obyczajowe sprawiają, że niektóre wymogi kulturowe stawiają pewne warunki, przykładowo nogi, biust a nawet ramiona muszą być zakryte. Dotyczy to nie tylko kobiet, ale również i mężczyzn. Może w krajach europejskich nie jest to tak odczuwalne z uwagi na wolność oraz otwartość, lecz w niektórych miejscach na świecie nawet „podbiegnięcie”, może być niestosowne.

W czasie prowadzenia operacji w odmiennym kulturowo środowisku, pewnych rzeczy należy się wystrzegać i na nie uważać. Przykładem może być negatywne wyrażanie się na tematy religijne, nietolerowanie świąt, lub też przerywanie modlitwy lub wchodzenie w butach do obiektów sakralnych.

Wymienione różnice kulturowe mają takie same znaczenie zarówno dla osób prowadzących międzynarodowe interesy jak i osób funkcjonujących w społeczeństwie. Natomiast uczestnicy operacji powinni przede wszystkim zdawać sobie sprawę z różnic kulturowych i edukować się w tym zakresie. Dla nich bowiem, w niektórych sytuacjach może to być kwestia życia lub śmierci. Powodzenie prowadzonych działań może czasem zależeć od obowiązujących na obcym kulturowo terytorium zasad.

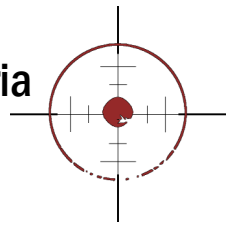
Uczestnicy operacji muszą również radzić sobie ze zróżnicowaniem wielokulturowym. W teorii zjawiska wielokulturowości występują trzy odmienne modele radzenia sobie ze zróżnicowaniem kulturowym. Pierwszy z nich to model negatywny. Fizyczna likwidacja mniejszości polega na wyniszczeniu konkurującej o terytorium lub dominację mniejszości. Model ten nie ma prawnego ani społecznego zastosowania do uczestników prowadzonej operacji. Czyszczenie etniczne oznacza wygnanie słabszej, niekoniecznie mniej licznej grupy ze wspólnie zajmowanego teryto-

rium. Podejście to również nie jest stosowne podczas operacji wielonarodowych. Drugi to model pośredni, bowiem asymilacja dla osób z różnych kultur może być odbierana jako zjawisko negatywne lub pozytywne. Wszystko zależy od tego jak się odbywa i jakimi metodami. Może polegać na przymusowym lub dobrowolnym upodobnieniu się mniejszość do większości. W kontekście negatywnym może nastąpić pozbawienie mniejszości prawdo własnego języka, kultury, tradycji oraz obyczajów. Zaś w kontekście pozytywnym może mieć pokojowy charakter dobrowolnej i stopniowej asymilacji z dominującym społeczeństwem. Trzeci model to pokojowe radzenie sobie z różnicami kulturowymi. Usankcjonowany pluralizm etniczny oznacza w tym wypadku realizację liberalnej zasady *żyj i pozwól żyć innym*, co zapewnia pewien zakres swobód. Integracja obywatelska polega na połączeniu systemu społeczno – kulturowego przy poszanowaniu prawa do różnicy.

W większości uczestnicy operacji we wzajemnych kontaktach stosują model *usankcjonowanego pluralizmu etnicznego*. Wynika to również z kontekstu sytuacji, ponieważ przebywanie w obcym kulturowo kraju, więcej ich łączy niż dzieli. Uczestnicy operacji wielonarodowej utożsamiają się ze sobą, gdy już poznają się wzajemnie oraz rozumieją.

Konkludując należy podkreślić, że przedstawiony, jeden z aspektów „międzykulturowości” jako jednego z wyzwań współczesnego bezpieczeństwa nie został w pełni wyczerpany i prawdopodobnie zawsze będzie można jeszcze coś dodać. Należałoby pokazać całokształt nieudanej polityki szkoleniowej w tym obszarze oraz jej znaczenie wobec bezpieczeństwa międzynarodowego oraz prognozowania potencjalnych zagrożeń państwa.

 **Magdalena El Ghamari**



ROBERT WITAK

Od Legionów do ZBoWiDu. Sylwetka Jana Mazurkiewicza (1896-1988)

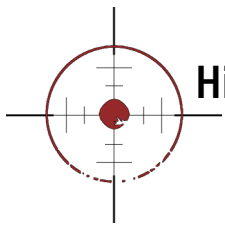
Jan Mazurkiewicz urodził się 27 sierpnia 1896 r. we Lwowie, choć rodzina związana była ze Złoczowem, gdzie na świat przyszło rodzeństwo Jana. Jego ojciec Bazyli prowadził w Złoczowie warsztat bednarSKI, a matka, Franciszka z. d. Lebrand, prowadziła dom i opiekowała się dziećmi. W Złoczowie Jan spędził dzieciństwo i uczęszczał do szkoły powszechnej, a potem do gimnazjum, gdzie zetknął się z działalnością konspiracyjną i patriotyczną. W 1911 r. rodzina Mazurkiewiczów przeniosła się do Lwowa. W VII Gimnazjum Miejskim Jan aktywnie brał udział w życiu politycznym, rozbijając sklepy niemieckie i należąc do Organizacji Młodzieży Niepodległościowej "Zarzewie" a następnie do „Strzelca”^[1].

Po wybuchu I wojny światowej, jeszcze w sierpniu 1914 r. kompania „Strzelca”, do której należał Jan wyjechała ze Lwowa do Krakowa. Po zakwaterowaniu w Oleandrach strzelców przeszkolono i wysłano do Królestwa Polskiego, do Legionów. Mazurkiewicza wcielono do 4. kompanii I baonu, dowodzonej przez por. Władysława Dygata. Szlak bojowy batalionu wiódł od Anieli na, przez Laski, po Dęblin, gdzie zarządzono odwrót, w czasie którego Jan zachorował. Po wyjściu ze szpitala trafił do batalionu marszowego kpt. Leona Berbeckiego w Nowym Targu. 18 grudnia nastąpiła reorganizacja oddziałów polskich, w wyniku której Mazurkiewicz został przydzielony do I batalionu por. Kazimierza Kuby-Bojarskiego w 1. pp. Mjr. Edwarda Rydz-Śmigłego. W czasie bitwy z Rosjanami pod Łowczówkiem (22-25 XII 1914) I batalion został zdziesiątkowany, a jego dowódca poległ. Sam Mazurkiewicz został ranny w nogę i wraz z Władysławem Karasiem trafił do rosyjskiego szpitala w Tarnowie^[2].

Kiedy jeńcy wydobrzeli, mieli zostać wywiezieni w głąb Rosji. Jednak w czasie przejazdu przez Lwów

rodzeństwo Jana „wykradło” obu jeńców z transportu i ukryło ich w mieście. Do czasu zdobycia miasta przez Austriaków (22 VI 1915) obaj pracowali dzięki podrobionym dokumentom. Potem Mazurkiewicz i Karaś wrócili do 1. pp. Legionów. Oddział walczył pod Kukłami i Kamieniuchą (27 X 1915), gdzie Jan został ranny i trafił do szpitala w Piotrkowie. Po rekonwalescencji ukończył kurs podoficerski ze stopniem sierżanta i trafił latem 1916 r. do batalionu zapasowego w Kozienicach, a następnie do 6. pp. III Brygady Legionów na Wołyniu. Jak uważa Stanisław Mazurkiewicz, skierowanie Mazurkiewicza do 6. pp. miało przyczynić się do zmiany profilu pułku na „modłę «pierwszobrygadową»”^[3]. Za walki pod Sitowicami Mazurkiewicz został po wojnie odznaczony orderem Virtuti Militari V klasy.

Po ogłoszeniu aktu 5 listopada 6. pp. odesłano do Zajeziera pod Dęblinem, a Mazurkiewicz odbył kurs podoficerski i został podchorążym. Po kryzysie przysięgowym poddani austriacy trafili pod rozkazy Komendy Legionów, a z polecenia Piłsudskiego mieli rezygnować ze służby. Drugą formą protestu było powoływanie rad żołnierskich. Sierż. pchor. Jan Mazurkiewicz wybrany został w lipcu 1917 r. przewodniczącym Rady Żołnierskiej 6. pp. Wobec takiego obrotu spraw 20 sierpnia na inspekcję przybył brygadier Józef Haller, zastając na miejscu rodzący się bunt. Haller zobowiązał się odesłać podania o zwolnienie do dowództwa armii austriackiej, a niedługo później skierowano pułk do Pikulic pod Przemyślem, by tam go rozwiązać i odesłać ludzi do wojska austriackiego, a sierżantów Mazurkiewicza i Kazimierza Kierkowskiego aresztowano. Śledztwo w sprawie buntu się przeciągało, obrońcami mieli być dr Herman Lieberman i dr Marek, ale więźniów czekała abolicja. Po zwolnieniu, w listopadzie 1917 r. Mazur-



kiewicz trafił 13. Feldjägerbatalionu w Bustiahaza na Węgrzech. Znając warunki traktatu brzeskiego Mazurkiewicz postanowił uciec do Hallera na rosyjską stronę. W czasie postoju oddziału w Płoskirowie na Podolu, Mazurkiewicz skontaktował się poprzez Henryka Muszkiet-Królikowskiego z lokalną siatką POW. W nocy z 4 na 5 marca 1918 r. żołnierze uciekli i po kilku dniach trafili pod rozkazy Hallera, początkowo do artylerii, a potem do 13. pp. Po bitwie pod Kaniowem (11 V) Mazurkiewicz przedostał się do Kijowa, gdzie wstąpił do POW. W organizacji poznał przyszłą żonę – Jadwigę Szreder, pochodzącą z okolic Ostrowca Świętokrzyskiego^[4].

Mazurkiewicz „Zagłoba” wraz ze swymi towarzyszami wszedł w skład Oddziału Lotnego powołanego przez Komendę Naczelną III POW w Kijowie. Oddział Lotny, którym od czerwca do października dowodził Mazurkiewicz, atakował transporty niemieckie, wysadził most kolejowy pod Popielnią, a także próbowali infiltrować oddziały austriackie, by pozyskać stamtąd żołnierzy dla wojsk polskich nad Donem. Pod koniec października POW zmobilizowała ludzi i utworzyła 2 oddziały partyzanckie, z których jeden objął „Zagłoba”. Po walkach z Ukraińcami w okolicach Brodów i Sznyrowa, w grudniu 1918 r. Mazurkiewicz przedostał się do Lublina, gdzie wstąpił do Wojska Polskiego. Już jako podporucznik skierowany został do Oddziału II Dowództwa Frontu Wołyńskiego, gdzie został kurierem. Później pełnił funkcję oficera informacyjnego przy 13 DP w rejonie Berdyczowa i odpowiadał za bezpieczeństwo frontu do rozpoczęcia ofensywy 25 kwietnia 1920 r. Atak sowiecki zmusił Polaków do odwrotu, w czasie którego Mazurkiewicz zachorował i trafił do szpitala w Piotrkowie. Po wyzdrowieniu, w czasie bitwy nad Niemnem skierowano go do sztabu 4. armii, którym kierował mjr Stefan Rowecki^[5].

Po pokoju ryskim Mazurkiewicz odkomenderowany został do Torunia, by tam organizował placówkę Oddziału II (wedle jego słów uczyć wywiadu miał Jana Żychonia). Następnym miejscem pobytu rodziny Mazurkiewiczów był Lublin, gdzie Jan, po wystąpieniu

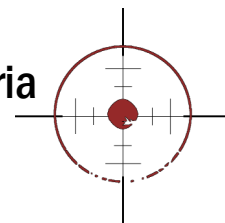
z wojska, próbował sił jako przedsiębiorca. Zapewne nie szło mu najlepiej i wrócił do wywiadu gdzieś w latach 1923-1924. Objął kierownictwo Samodzielnego Referatu Informacyjnego przy DOK II w Równem, a jego zastępcą był Wincenty Medyński. Mazurkiewicz zajmował się zwalczaniem radzieckiej dywersji, ale i prowadził akcje odwetowe jak wypad na siedzibę GPU w Szepietówce, co budziło kontrowersje^[6].

W czasie zamachu majowego Mazurkiewicz wyjechał z meldunkiem sytuacyjnym do stolicy. Tam spotkał Piłsudskiego i został skierowany do 7 Pułku Piechoty Legionów w Chełmie, by ściągnąć go do Warszawy. Po przejęciu władzy przez Piłsudskiego, Mazurkiewicz odkomenderowany został na staż liniowy do 44. pp w Równem na trzy lata^[7].

W marcu 1931 r. kpt. Mazurkiewicz przeniesiony został do Związku Strzeleckiego na stanowisko inspektora obszaru północno-wschodniego w Wilnie. Tym samym znacznie poprawiły się jego warunki bytowe, ponadto nadano mu stopień ppłk. ZS. W 1934 r. Mazurkiewicz odbył kurs dowódców batalionu w Centrum Wyszkolenia Piechoty (CWP) w Rembertowie i został skierowany na staż do 22. pp w Siedlach na stanowisko dowódcy kompanii, a później batalionu. W stopniu majora został odkomenderowany wiosną 1938 r. do CWP, gdzie został wykładowcą^[8].

We wrześniu 1938 r. Mazurkiewicz wyjechał do Bielska-Białej, gdzie wziął udział w akcji dywersyjnej na Zaolziu jako organizatora grupy „Bielsko” Legionu Zaolziańskiego^[9]. Pod koniec listopada Mazurkiewicz wyjechał (jako sekretarz poselstwa Jan Molski) przez Wiedeń do Budapesztu wraz z grupą oficerów pod dowództwem ppłk. Józefa Skrzydlewskiego. Celem wyjazdu była koordynacja akcji dywersyjnych na Rusi Podkarpackiej^[10].

Latem 1939 r. Mazurkiewicz zaangażowany został w przygotowanie dywersji na wypadek wojny w ramach prac Ekspozytury 2. Odmówił jednak wzięcia udziału w szerszej akcji na terenie Gdańska^[11] i został skierowany na południe – miał zająć się przedpołem armii „Kraków” i rejonem, Nowego Targu^[12].



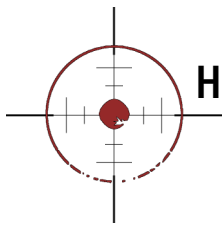
Tuż przed wybuchu II wojny światowej Mazurkiewiczowie znaleźli się w Warszawie. 7 września nastąpiła ewakuacja rodzin pracowników Sztabu Głównego. Stanisław Mazurkiewicz podaje wersję o wyjeździe pociągiem przez Siedlce wraz z Medyńskim, Milanowskim i Karasiem. Trasa ewakuacji miała wieść dalej przez Kowel i Łuck do Brodów, skąd samochodami pojechano do Buska do samochodów. Z Buska Mazurkiewicz z rodziną wyjechał do miejscowości Niżne Berezne, gdzie dotarł 16 września^[13]. Wersja ta jednak nie zgadza się z podaną przez mjr. Edmunda Charaszkiwicza, jakoby mjr Włodzimierz Dąbrowski, mjr Jan Mazurkiewicz i kilku innych oficerów wraz z działaczami prometejskimi pojechali samochodami najpierw do Brześcia, a potem do Buska (mjr Mazurkiewicz) i do Lwowa (mjr Dąbrowski)^[14].

W Niżnem Berezne 17 września wedle relacji S. Mazurkiewicza, jego ojciec podzielił pieniądze z jakimś majorem (tak że połowę funduszy wzięła grupa uchodząca do Rumunii)^[15] i powołał Tajną Organizację Wojskową. Po rozdzieleniu się Mazurkiewicz udał się w kierunku Lwowa, ale od napotkanej w Stanisławowie 10 Brygada Kawalerii dowiedział się, że droga na Lwów zamknięta i postanowił udać się na Węgry^[16]. Z relacji Charaszkiwicza wynika, że na polecenie płk. Józefa Smoleńskiego podzielił on ludzi na trzy grupy (mjr. Ankersteina, mjr. Mazurkiewicza i kpt. Kamila Munkiewicza) celem organizacji konspiracji w kraju^[17]. Jan Mazurkiewicz granicę węgierską przekroczył 19 września w Tatarowie. Został uratowany z internowania przez konsula w Ungwarze Jana Urbańca. Tymczasowo zamieszkał w konsulacie, po czym wyjechał do Budapesztu. Tam powstała komórka konspiracyjna, w skład której wchodził Mazurkiewicz, kpt. Wincenty Medyński, kpt. Antoni Gajl-Kot, kpt. Władysław Karaś, kpt. Jan Mielczarski, por. Bolesław Jarmułowicz, kpt. Władysław Guttry oraz NN. Pomocy udzielał oficerom attache wojskowy ppłk Jan Emisarski. W Budapeszcie koordynowano prace kurierów oraz szlaki przerzutu ludzi. Z tych ostatnich skorzystali m.in. gen. Kazimierz Sosnkowski

czy płk Stanisław Maczek. Wśród wysłanych do kraju znaleźli się m.in. Zbigniew Bączkowski (w Warszawie odkrył, że Milanowski już montuje konspirację) oraz Witold Waligórski „Chwalibóg” (miał skontaktować się z rodziną Machayów i zorganizować szlaki kurierskie na Podhalu)^[18].

Sam Mazurkiewicz w październiku pojechał do Paryża, ale nie uzyskał audiencji u nikogo kompetentnego, więc po trzech tygodniach wrócił na Węgry, ale używając fałszywego paszportu. Mazurkiewicz zostawił we Francji jakieś pismo, w którym krytykuje władze za brak działania w zakresie walki w kraju. Już po jego powrocie na Węgry z przysłano list, w którym proszono go, by organizował łączność z krajem i przyznawano mu autonomię działania^[19].

Na terenie Węgier „Zagłoba” działał zupełnie samodzielnie do lutego 1940 r., kiedy to powołano Bazę „Romek”, której pracownicy musieli dopiero wdrożyć się do pracy. W związku z tym mimo przesłania do Paryża zestawienia likwidacyjnego Grupy Dywersyjnej „Zagłoby”, Mazurkiewicz faktycznie nadal kierował działalnością konspiracyjną, tym bardziej że komendant bazy, płk Alfred Krajewski („Polesiński”), nie był obeznany z konspiracją. Mazurkiewicz, formalnie zastępca Krajewskiego do spraw kontaktu z krajem, zdominował działalność Bazy również dzięki kontroli nad finansami konspiracji^[20]. W marcu 1940 r. Mazurkiewicz „Zagłoba” - „Sęp” złożył raport, w którym krytykował stosunki panujące na Węgrzech i w Paryżu, a za który został odwołany z Bazy „Romek”. „Sęp” dostał polecenie wyjazdu do Syrii, gdzie formowała się Brygada Strzelców Karpackich. Mazurkiewicz nie zgodził się na to i poprosił gen. Sosnkowskiego o zwolnienie z ZWZ. Jak sugeruje S. Mazurkiewicz, raporty jego ojca nie dochodziły do rąk Sosnkowski, a były zatrzymywane przez otoczenie generała, które planowało przeprowadzić jakąś rozgrywkę personalną i wysłać do Budapesztu kogoś na rozmowy z „Sępem”. Z powodu włączenia się Włoch do wojny ani ów wysłannik nie dotarł, ani Mazurkiewicz nie mógł wybrać się do Paryża, by zoba-



czyć co się dzieje. Dlatego też w czerwcu 1940 r. Mazurkiewicz znalazł się w Polsce jako Jan Socha, właściciel firmy zbierającej złom na potrzeby Rzeszy^[21].

Tymczasem od października 1939 r. w Warszawie konspirację tworzył por. Milanowski ps. „Tallin”, który wtajemniczył m.in. dawnych peowiaków Ignacego Kąsiela (ps. „Bolek”, „Skiba”) i adw. Stanisława Zienkiewicza (ps. „Wolski”), którego mianował komendantem Okręgu TOW Warszawa-Miasto. Kąsiela znał jeszcze z walki o Kresy, a Zienkiewicz wraz z żoną należał do Sekcji Pogotowia Obywatelskiego. Z kolei komendantem Okręgu TOW Warszawa-Województwo mianowano Wienczysława Wisłockiego, przedwojennego sekretarza Związku Zawodowego Pracowników PKP, poznanego jeszcze za czasów kijowskiej KN-III. Sam Milanowski kierował wówczas Komendą Główną TOW, a więc nadzorował okręgi w Radomiu i Krakowie, kontaktował się z komendantem Mazurkiewiczem oraz dowództwem ZWZ w Polsce. Drugą ważną osobą w kierownictwie krajowego TOW był Antoni Gajl-Kot (ps. „Nina”), który przybył do Polski w grudniu 1939 r., przynosząc pieniądze, za które m.in. uruchomiono restaurację^[22].

Komendantem krakowskiego Okręgu TOW był początkowo „Witold”, „Chwalibóg” - płk Witold Waligórski, później „Wiktor” - mjr Kowalski, a po nim „Jarema” (wcześniej w Warszawie „Skóra”) - płk Stefan Tarnawski. Tymczasowo, gdy „Sęp” wizytował Kraków, obowiązki komendanta pełnił tam Eugeniusz Machay ps. „Zygmunt”, profesor biologii, były pracownik Seminarium Nauczycielskiego w Białymstoku. Z kolei TOW na Podkarpaciu organizował Zenon Sobota, prawdopodobnie powiązanemu z Oddziałem II przed wojną.^[23]

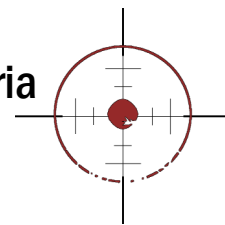
TOW w Radomiu zapoczątkował Gajl, jednak prace przejął od niego Józef Rybicki (ps. „Maciej”), który przeszedł w lutym 1940 z ZWZ do TOW. Gajl otworzył w Radomiu dobrze prosperującą restaurację.^[24]

Sam Mazurkiewicz po przybyciu do kraju przeprowadził inspekcję TOW w Krakowie, Radomiu i Warszawie, a 20 lipca 1940 r. spotkał się z gen. Stefanem Roweckim, co zaowocowało porozumieniem

dającym TOW autonomię pod warunkiem uzgadniania akcji z kierownictwem ZWZ. Łącznikiem został mjr Franciszek Niepokólczycki, szef Związku Odwetu (ZO), a prywatnie znajomy „Sępa” z kijowskiego POW. Na mocy nieformalnego porozumienia z gen. Roweckim, TOW współpracowała z ZO i faktycznie nadzorowała akcje sabotażowe i dywersyjne, uwalniając (przez swą niezależność) komendanta ZWZ od odpowiedzialności za akcje.^[25]

TOW, podobnie jak inne organizacje, doświadczyła aresztowań. W listopadzie 1940 r. W czasie łapanki w Józefowie wpadł Milanowski, jednak nie został rozpoznany, nie wiadomo też kiedy zginął. W styczniu 1941 r. w Radomiu aresztowano Gajla, po czym zmarł on w areszcie w niejasnych okolicznościach. Po ujęciu Gajla zaczęły się masowe aresztowania w mieście, które dotknęły członków Lotnych Oddziałów Bojowych. W końcu w kwietniu tego roku Niemcy ujęli Wisłockiego, komendanta Okręgu Warszawa-Województwo. W związku z represjami i wyspą w krakowskich komórkach ZWZ, na mocy decyzji Roweckiego „Sęp” od połowy 1941 r. nadzorował lub kierował dywersją w Okręgu Krakowskim ZWZ oraz na Rzeszowszczyźnie.^[26]

Józef Rybicki został przeniesiony z Radomia do Warszawy w czerwcu 1941 r. I objął stanowisko komendanta Okręgu TOW Warszawa-Miasto. Funkcję tę pełnił do scalenia TOW z AK w marcu 1943 r. Natomiast stanowisko komendanta Okręgu Warszawa-Województwo po wisłockim objął por. Fryderyk Zoll^[27]. Jak przypuszcza S. Mazurkiewicz, jego ojciec dysponował w tym czasie szerokimi uprawnieniami, na mocy których ingerował w obsadę ZWZ, choć formalnie nie był jego członkiem. Według przypuszczeń autora, „Sęp” mógł być inspektorem Komendy Głównej na południowym obszarze ZWZ. Tajne uprawnienia nadane przez Roweckiego miały obejmować również rozmowy z ugrupowaniami „sanacyjnymi”, mjr. Wacławem Lipińskim, a także Konfederacją Narodu Bolesława Piaseckiego^[28].



Współpraca TOW z ZWZ-AK stopniowo ulegała zacieśnianiu, czego dowodem stało się wcielenie TOW do AK na mocy rozkazu Roweckiego z 15 marca 1943 r. Jednak nie cała organizacja przeszła w szeregi AK. Poza nią znalazł się pion polityczny, który nadal podporządkowany był Mazurkiewiczowi, ale i część żołnierzy^[29]. Nie wiadomo, co stało się z ludźmi nie przyjętymi do Kedywu.

Wcielenie TOW do AK wiąże się z odchodzeniem podziemia od koncepcji powszechnego powstania ku walce dywersyjnej, co wynikało między innymi z braku szans na pomoc aliantów dla insurekcji. Bez wsparcia z zewnątrz, w oczach planistów, powstanie nie mogło zakończyć się sukcesem. Prowadzeniem bieżącej walki (dywersją, sabotażem i odwetem) miało zająć się powołane w styczniu 1943 r. Kierownictwo Dywersji (Kedyw), na którego czele stanął płk Emil Fieldorf „Nil”. Formalnie Kedyw podlegał komendantowi Roweckiemu, faktycznie jednak nadzór pełnił jego szef sztabu płk Tadeusz Pełczyński. Z czasem Kedyw zaczął stopniowo usamodzielniać się dzięki temu, że jednocześnie produkował sprzęt, szkolił ludzi oraz kierował oddziałami bojowymi^[30].

Równoległe do tworzenia się koncepcji Kedywu powstał projekt organizacji „Nie”. Jego inicjatorzy, Mazurkiewicz, Antoni Sanojca i Kazimierz Tumidajski, mieli powiadomić KG AK, a gen. Rowecki przekazać pomysł do Londynu. Mimo informacji o opracowaniu statutu i wysłaniu go Sosnkowskiego, brak jednoznacznych dowodów na przelanie koncepcji na papier. Pomyślowcy „Nie”, czerpiąc z doświadczeń legionowych, doszli do wniosku, że w razie nadejścia Sowietów niemożliwe będzie utrzymanie w konspiracji całego aparatu AK (czy choćby Kedywu), dlatego też niezbędne jest powołanie trzymanej w ścisłej tajemnicy nielicznej organizacji. Stosunek gen. Roweckiego wobec „Nie” rozpatrywać można przez pryzmat obsady dowództwa Kedywu, gdzie znaleźli się ludzie z rodowodem peowiacko-legionowym, a także postawę komendanta AK po ujawnieniu przez Niemców zbrodni katyńskiej, kiedy to

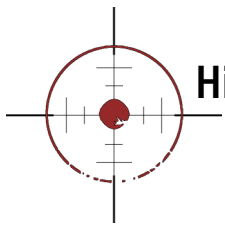
Rowecki pisał o konieczności podjęcia decyzji czy ZSRR jest sojusznikiem czy wrogiem. Trudno jednak stwierdzić do czego dążył gen. Rowecki, ponieważ jego aresztowanie przekreśliło ewentualny zwrot AK przeciw Sowietom. Zastopowaniu uległy również rozmowy z Konfederacją Narodu i ugrupowaniami sanacyjnymi^[31].

Zmiana na stanowisku premiera i Naczelnego Wodza nie przyczyniła się do wykrystalizowania postawy wobec ZSRR, a w wyniku przygotowań planu „Burza” Kedywu podporządkowano komendantom okręgów, przez co stały się one jednostkami uderzeniowymi. Oddziały dyspozycyjne przyjęły formę wojskową i zostały przekształcone w bataliony takie jak np. „Zośka” czy „Parasol”. Odejście od koncepcji pionu dywersyjnego w AK na rzecz decentralizacji i zmiany formy walki przekierowały prace Armii Krajowej ponownie ku akcji powstańczej^[32].

W związku z sytuacją na froncie wschodnim, na przełomie lat 1943 i 1944 odżyła koncepcja „Nie”. Jej realizację powierzono płk. Fieldorfowi, którego na stanowisku szefa Kedywu KG zastąpił ppłk Mazurkiewicz - „Radosław”. W nowej roli Mazurkiewicz musiał przekształcić oddziały bojowe o różnej proveniencji, składowie, opcji politycznej i wartości w jednostki wojskowe, a jednocześnie prowadził działania dywersyjne^[33].

W opracowywaniu plan „Burza” żołnierze Kedywu nie brali udziału i nie mieli wpływu na przydzielanie zadań. Planiści wyznaczyli Kedywowi dwa zadania: osłona KG i Delegata Rządu, a także bycie w dyspozycji dowódcy AK. Tym samym dla Kedywu nie przewidziano zadań stricte bojowych, a zarazem podporządkowywał Kedyw zarówno płk. „Monterowi” jak i gen. „Borowi”^[34].

Zgrupowanie „Radosław” (Brygada Dywersyjna Broda 53; Batalion Czata 49; Batalion „Miotła”; Batalion „Parasol”; Batalion „Pięść”; kompania „Kolegium A”) rozpoczęło walkę jeszcze przed godziną „W”. 1 sierpnia ok. godz. 16.30 pod fabrykę Kamlera na Woli, miejsce postoju Komendy Głównej, podjechała niemiecka ciężarówka, którą posterunek ubezpieczający obrzucił granatami. W odpowiedzi na to Niemcy



z pobliskiej „Gęsiówki” próbowali zaatakować fabrykę, lecz kontruderzenie Batalionu „Zośka” zatrzymało Niemców. Koncentrację Zgrupowania kontynuowano. Już po wybuchu powstania ludzie „Radosława” walczyli na Woli, wypełniając rozkazy Mazurkiewicza wobec braku szczegółowych dyrektyw płynących od „Montera”. W pierwszych dniach sierpnia, wobec nieosiągnięcia oczekiwanych rezultatów, ważyły się losy powstania – iść do Kampinosu czy zamknąć się w mieście. „Radosław” opracował plan przebicia do Puszczy i wyprowadzenia tam Komendy Głównej wraz z Delegatem. Plan ten nie został jednak zrealizowany, a Zgrupowanie „Radosław”, na mocy decyzji Mazurkiewicza nie próbowało samodzielnie przebijać się do Kampinosu^[35].

Kontratak niemiecki z 5 sierpnia przyniósł ze sobą rzeź Woli i panikę wśród mieszkańców. Żołnierze Zgrupowania nie mieli wystarczających sił, by przeciwstawić się Niemcom ani odpowiedniej ilości broni, by wyposażać cywilów. W tym czasie ludzie „Radosława” starali się utrzymać linię obrony opartą na cmentarzach na Woli, ponieważ KG AK rozważała plan wyjścia do Kampinosu opracowany przez Mazurkiewicza. Tymczasem pogarszało się morale powstańców z powodu niedoboru broni i amunicji, a także losu i zachowania ludności cywilnej. Ostatecznie plan wycofania do Puszczy Kampinoskiej porzucono, KG AK i Delegat wycofali się na Stare Miasto oraz postanowiono bronić cmentarzy na Woli w oczekiwaniu na odsiecz z Puszczy^[36].

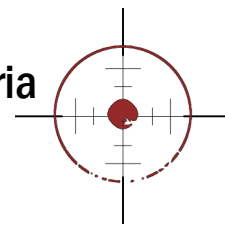
W czasie walk na Stawkach w dniach 11-12 sierpnia Zgrupowanie „Radosław” dzielnie się broniło, jednak jasne stawało się, że długo Woli nie da się utrzymać, tym bardziej że płk Wachnowski, dowódca Grupy „Północ” i zwierzchnik Mazurkiewicza, zabierał z Woli kolejne oddziały, tworząc z nich obronę Starego Miasta. „Radosław” został ranny 11 sierpnia, jednak mimo to próbował wpłynąć na przebieg obrony, kontaktując się z również rannym „Borem”. Mazurkiewicz sprzeciwiał się zamykaniu powstańców na niewielkim

obszarze (np. Starym Mieście), optując za mobilnością i aktywną walką, a nie defensywą za barykadami^[37].

Po wycofaniu się Zgrupowania z Woli na Stare Miasto w połowie sierpnia i nieudanych próbach odsieczy z Puszczy Kampinoskiej napór niemiecki na starówkę okazał się na tyle duży, że władze postanowiły przenieść się do Śródmieścia stolicy. Wiedząc o planie przebicia się Grupy „Północ” śladem Komendy Głównej, „Radosław” postanowił przerwać rekonwalescencję i wrócić do swoich żołnierzy. Mazurkiewicz znajdował się w gronie oficerów, którzy negatywnie oceniali pomysł przebijania się do Śródmieścia. Zgodnie z przewidywaniami akcja z 31 sierpnia skończyła się fiaskiem i Grupa „Północ” przeszła do defensywy i ewakuacji kanałami. Tym samym Starówka upadła^[38].

Zgrupowanie „Radosław” zostało skierowane w rejon Śródmieście-Południe, gdzie zamiast odpoczynku czekało kolejne zadanie bojowe – obsadzenie obszaru od skarpy wiślanej, po Sejm, Muzeum Narodowe i most Poniatowskiego ale i obronę pobliskiego Czerniakowa. Właśnie na Czerniakowie w pierwszej połowie września odbudowywano Zgrupowanie i przygotowano dzielnicę do obrony^[39]. W połowie września, w czasie walk o Czerniaków, „Radosław” nawiązał kontakt ze zwiadowcami 1. DP gen. Zygmunta Berlinga i przekazał im list z żądaniem zrzutów broni, a także ostrzelania pozycji niemieckich ogniem artylerii. Mimo przeprawy „berlingowców” (która nie została uzgodniona z „Radosławem”), 20 września Mazurkiewicz, widząc bezsens dalszej obrony przyczółka na Solcu, rozkazał swoim ludziom wycofać się kanałami na Mokotów^[40].

Płk Józef Rokicki (ps. „Karol”), dowódca obrony Mokotowa utrzymywał dzielnie swój odcinek, jednak „Radosław” nie wierzył w możliwość utrzymania się i 25 września wystosował do gen. Komorowskiego pismo z prośbą o zwolnienie żołnierzy przewidzianych do przyszłych prac specjalnych. „Bór” niezwłocznie wyraził zgodę, po czym resztki Zgrupowania ewakuowały się do Śródmieścia kanałami^[41].



Wraz z upadkiem powstania rozpoczęło się przechodzenie do nowej konspiracji. Byli żołnierze Kedywu i Zgrupowania zdążyli ukryć się pod Warszawą i w okolicach Częstochowy. Mazurkiewicz został awansowany do stopnia pułkownika 2 października, a 3 października wyszedł ze stolicy w kolumnie ludności cywilnej. Wkrótce odłączył się od niej i zakonspirował w okolicach Warszawy. Mazurkiewicz kontynuował odbudowę Kedywu KG AK zapoczątkowaną przez jego podwładnych^[42].

Równolegle trwała rozbudowa organizacji „Nie” kierowanej przez gen. Fiedorfa. W świetle relacji syna „Radosława” członkostwo jego ojca w „Nie” jest bardzo niejasne, czego przykładem jest zdanie: „Płk „Radosław” odnosił się z dużą rezerwą do tego okresu swojej działalności. Nie był nawet pewien, czy otrzymał jakąś formalną nominację na tak wysokie stanowisko w organizacji „Nie”^[43]. Tymczasem o fakcie, iż był komendantem Obszaru Centralnego „Nie” znajdziemy informację nawet we wspomnieniu pośmiertnym^[44]. Z kolei Tadeusz Żenczykowski wprost pisał o tym, że „Radosław” swe dawne oddziały „nazwał formacjami «Nie»”^[45]. Sam „Radosław” w swych zeznaniach z 1949 r. potwierdzał przynależność do „Nie” od listopada 1944 roku.

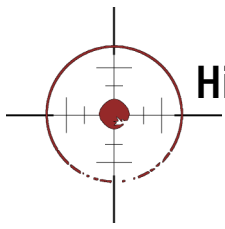
19 stycznia 1945 r. gen. Leopold Okulicki rozwiązał Armię Krajową, co spowodowało przeniesienie całej pracy organizacyjnej na „Nie”. Po wystosowaniu zaproszenia przez gen. Sierowa doszło do rozmów na ten temat. „Radosław” miał proponować gen. Okulickiemu, by udający się na spotkanie mieli zbrojną osłonę oddziału partyzanckiego gotowego do ich odbicia z rąk sowieckich w razie takiej potrzeby. Okulicki miał odrzucić propozycję^[46]. Po aresztowaniu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego, Mazurkiewicz doszedł do wniosku, że opór bardzo słabymi siłami, którymi dysponował nie ma większego sensu. Tymczasem na bazie porozumienia płk. Jana Rzepeckiego i gen. Władysława Andersa, decyzją tego ostatniego 7 maja rozwiązano „Nie” i powołano Delegaturę Sił Zbrojnych na

Kraj z Rzepeckim na czele. Mazurkiewiczowi przypadła funkcja kierownika Obszaru Centralnego, obejmującego okręgi: białostocki, lubelski, kielecki, warszawski i łódzki^[47].

„Radosława” aresztowano 1 sierpnia 1945 r. w Warszawie. W więzieniu na Rakowieckiej przekonywano go, by skłonił Rzepeckiego do podjęcia rozmów z wicepremierem Gomułką na temat wyjścia z konspiracji. Wygląda na to, że Mazurkiewicza wybrano nieprzypadkowo – choć niższy funkcją od Rzepeckiego, to jednak cieszył się większym autorytetem wśród żołnierzy. Warto również zwrócić uwagę na fakt, iż traktowano „Radosława” z grzecznością, proponując mu akcję ujawniania AK-owców. Przedstawiono mu również dowody na rozpracowanie Delegatury i możliwość aresztowania kogokolwiek z jej pracowników^[48].

Tymczasem Rzepecki rozwiązał Delegaturę 6 sierpnia i powołał 2 września Ruch Oporu bez Wojny i Dywersji "Wolność i Niezawisłość". Jednocześnie negatywnie ustosunkował się do propozycji rozmów na temat ujawniania, a Mazurkiewicz przeciągał rozmowy w więzieniu. W swej odmowie ujawnienia Rzepecki przerzucił ciężar decyzji na Stanisława Mikołajczyka, który również nie chciał rozbrajać podziemia^[49].

Wkrótce po wyjściu na wolność i powołaniu WiN, Mazurkiewicz wydał 8 września deklarację nawołującą do ujawniania się i korespondującą z amnestią z 22 lipca. Dzięki pójściu na ugodę z nową władzą Mazurkiewicz został szefem Głównej Komisji Likwidacyjnej AK, co dało mu możliwość wyciągania z więzień byłych akowców oraz kształtowania obsady Okręgowych Komisji Likwidacyjnych. Pobocznym działaniem w tym czasie było poszukiwanie zaginionych żołnierzy AK. Mazurkiewicz przeprowadził akcję ujawniania i składania broni, ale nie funduszy, którymi dysponował centralny obszar DSZ. Pieniądze te posłużyły do organizowania pomocy dla byłych akowców, a także tworzenia przedsiębiorstw, które miały wspierać byłych konspiratorów. Wśród innych inicjatyw Mazurkiewicza znalazły się eks-humacje powstańców warszawskich, powołanie Komii



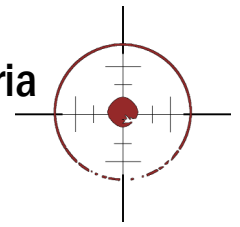
tetu Opieki nad Grobami Poległych Żołnierzy Zgrupowania „Radosław”, budowa pomnika żołnierzy AK – Gloria Victis, stworzenie Bursy dla sierot im. Generała „Grota”^[50].

Równolegle do akcji „Radosława” trwało ujawnianie WiN przez aresztowanego jesienią 1945 r. Rzepeckiego, który po uwięzieniu wydawał współpracowników oraz nawoływał innych do ujawnienia się. Część byłych podwładnych nie podporządkowała się apelowi Rzepeckiego i po każdorazowym rozbiciu zarządu WiN odtwarzała go na nowo aż władze zakończyły istnienie Zrzeszenia w 1952 r., likwidując V Zarząd kierowany przez bezpiekę^[51]. Co ciekawe, Fieldorf krytykował zarówno Rzepeckiego, jak i Mazurkiewicza za trzymanie ludzi pod bronią po wyzwoleniu. Zdaniem „Nila” Rzepecki powinien sam rozmawiać z bezpieką, a Mazurkiewicz nie dorósł do podjętych działań^[52].

Wraz z utrwalaniem władzy ludowej zaostczał się kurs wobec byłych akowców, czego przejawem były coraz częstsze aresztowania. W końcu 13 stycznia 1949 r. aresztowano żonę „Radosława” - Marię, a samego Jana złapano 4 lutego w Chorzowie. Bazując na odnalezionej broni ukrytej przez byłych podwładnych „Radosława” postanowiono wytoczyć mu proces, w czasie którego oskarżono go o kierowanie konspiracją mającą obalić ustrój. W czasie śledztwa znęcano się nad Mazurkiewiczem próbując uzyskać coś co uwiarygodniłoby wysaną z palca tezę o spisku. W końcu postanowiono powiązać sprawę Mazurkiewicza z procesem gen. Stanisława Tatara, płk. Mariana Utnika i płk. Stanisława Nowickiego, oskarżonych o spisek przedwojennych oficerów w powojennym wojsku. Oficerów oskarżono o pracę na rzecz obcego wywiadu i powiązano z nimi przygotowania dywersyjne „Radosława”. Proces wspomnianych trzech oficerów odbył się latem 1951 r., a Mazurkiewicza w okresie listopad-grudzień 1953 r. wyrokiem dożywocia. Obrońcy składali skargi rewizyjne, co zaowocowało uchynieniem wyroku przez Wojсковy Sąd Rejonowy w Warszawie w grudniu 1954 r.

w ponownym rozpatrzeniu sprawy. Do otwarcia sprawy na nowo jednak nie doszło ze względu na obawy przed reakcją byłych akowców, a także z powodu odwilży po śmierci Stalina. Zaczął się okres targów ze skazanymi – proponowano im wcześniejsze zwolnienia, na co jednak nie godził się Mazurkiewicz, domagając się pełnej rehabilitacji. Ostatecznie 21 kwietnia 1956 r. Uchylono areszt wobec „Radosława” i wyszedł on na wolność^[53].

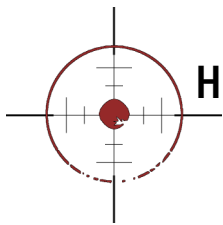
Po wyjściu z więzienia Mazurkiewicz korzystał z pieniędzy z odszkodowania, te jednak szybko rozeszły się i zajął się produkcją kapturek przeciwdeszczowych. Kapturki te produkowano z folii przysyłanej przez Stanisława, syna Jana, z Wielkiej Brytanii. Warsztat okazał się na tyle dobrym pomysłem, że po niedługim czasie udało się spłacić długi i za zarobione pieniądze otworzyć w 1958 r. bar kawowy „Wiklina” przy ul. Marszałkowskiej. W okresie 1957-1964 pełnił funkcję prezesa Spółdzielni Budowlanej „Sław”. W międzyczasie Mazurkiewicz zaczął udzielać się w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację^[54]. Pierwsze wystąpienie „Radosława” na forum ZBoWiD miało miejsce w grudniu 1956 r. Za przykładem Mazurkiewicza w działalność Związku włączać zaczęło się coraz więcej byłych akowców, co zmieniało oblicze ZBoWiD, a zarazem podnosiło status materialny nowych członków. W 1964 r. nastąpił zwrot w polityce ZBoWiD-u – dzięki poparciu Mieczysława Moczara, prezesa Związku, na stanowisko wiceprezesa Zarządu Głównego wybrano „Radosława”, powierzając mu kontakty ze środowiskami kombatanckimi za granicą. Mazurkiewicz utrzymał silną pozycję w ZBoWiD-zie dopóki prezesem był Moczar. Po jego odejściu stopniowo malała tak rola „Radosława” jak i szeregowych członków wywodzących się z AK, których pozbawiano stanowisk w dekadzie gierkowskiej. Kolejna zmiana na szczytach władzy poprawiła sytuację Mazurkiewicza w Związku oraz przyniosła mu awans do stopnia generała brygady^[55].



Jan Mazurkiewicz zmarł 4 maja 1988 r. Pochowany został w kwaterze batalionu „Miotła” na wojskowych Powązkach, a żegnali go m.in. I sekretarz KC PZPR gen. Wojciech Jaruzelski i minister obrony narodowej gen. Florian Siwicki^[56].

Przypisy

- [1] S. Mazurkiewicz, *Jan Mazurkiewicz „Radosław” „Sęp” „Zagłoba”*, Warszawa 1994, s. 7-10; B. Nowożycki, Kapitan Jan Mazurkiewicz Zagłoba w latach 1914-1920, „Rocznik Lwowski” 2008-2009, s. 109-111.
- [2] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 11; B. Nowożycki, *Kapitan Jan Mazurkiewicz „Zagłoba” w latach 1914-1920*, „Rocznik Lwowski” 2008-2009, s. 111-112; W. Milewska, J.T. Nowak, M. Zientara, *Legiony Polskie 1914-1918. Zarys historii militarnej i politycznej*, Kraków 1998, s. 32-56.
- [3] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 12; W. Milewska, J.T. Nowak, M. Zientara, dz. cyt., s. 146-150.
- [4] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 12-16; B. Nowożycki, dz. cyt., s. 112-114; W. Milewska, J.T. Nowak, M. Zientara, dz. cyt., s. 228-232.
- [5] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 18-23, 29-31; B. Nowożycki, dz. cyt., s. 115-117.
- [6] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 32-35; B. Nowożycki, dz. cyt., s. 118-119. We wspomnieniu pośmiertnym pomija się ten aspekt życia, podając, że w latach 1922-1927 Mazurkiewicz utrzymywał się z 3,5 ha gospodarstwa pod Włodzimierzem Wołyńskim (A. Ch., *Gen. bryg. Jan Mazurkiewicz - „Zagłoba”, „Socha”, „Sęp”, „Radosław” 1896-1988*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1988, nr 3 (125), s. 319).
- [7] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 36-37; B. Nowożycki, dz. cyt., s. 119
- [8] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 38-39, 41, 43.
- [9] E. Charaszkiwicz, *Referat o działaniach dywersyjnych w Czechosłowacji*, [w:] *Zbiór dokumentów ppłk. Edmunda Charaszkiwicza*, oprac. A. Grzywacz, M. Kwiecień, G. Mazur, Kraków 2000, s. 99-100;
- [10] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 44-46; D. Dąbrowski, *Rzeczpospolita Polska wobec kwestii Rusi Zakarpackiej (Podkarpackiej) 1938-1939*, Toruń 2007, s. 132-133. O akcji zaolziańskiej i dywersji na Rusi zob. np.: R. Witak, *Tajne wojny służb specjalnych II RP. Działalność Ekspozytury nr 2 Oddziału II Sztabu Głównego WP w latach 30. XX w.*, s. 185-242.
- [11] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 47.
- [12] *Uwagi i spostrzeżenia mjr. Feliksa Ankersteina z 1940 r. dotyczące przygotowań i działań dywersyjnych Ekspozytury nr 2 Oddziału II Sztabu Głównego WP*, oprac. P. Kołakowski, „Dzieje Najnowsze” 2009, nr 1, s. 159-163; T. Dubicki, *Obsada personalna Oddziału II Sztabu Głównego WP w sierpniu 1939 r.*, [w:] *Wywiad i kontrwywiad wojskowy II RP*, T. I, pod red. T. Dubickiego, Łomianki 2010, s. 51-58
- [13] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 50-55, 105.
- [14] E. Charaszkiwicz, *Ogólny raport o ostatnim okresie pracy Ekspozytury nr 2*, [w:] *Zbiór dokumentów...*, s. 155.
- [15] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 55-56. Major ten wg S. Mazurkiewicza pracować miał na kierunku wschodnim, co sugeruje iż był to Włodzimierz Dąbrowski, który udał się do Rumunii.
- [16] Tamże, s. 58-59
- [17] E. Charaszkiwicz, *Ogólny raport...*, s. 156; tenże, *Raport o pracach w zakresie dywersji pozafrontowej przed wybuchem wojny*, [w:] tamże, s. 142.
- [18] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 60-65, 72-73; A. Przewoźnik, *Początki polskiej konspiracji na Węgrzech. Działalność mjr. Jana Mazurkiewicza na Węgrzech. Wrzesień 1939 – czerwiec 1940*, „Wojskowy Przegląd Historyczny” 1992, nr 3, s. 149-152
- [19] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 65-67; A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 152.
- [20] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 76-77, 88-89; T. Dubicki, *Sanatorzy kontra sikorszczycy. Czyli walka o władzę na uchodźstwie w Rumunii 1939-1940*, Warszawa 1993, s. 78-79
- [21] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 87-88, 94-95, 123; A. Przewoźnik, dz. cyt., s. 154-164
- [22] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 105-108; T. Strzembosz, *Oddziały szturmowe konspiracyjnej Warszawy 1939-44*, Warszawa 1983, s. 70-72
- [23] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 125-134.
- [24] Tamże, s. 109-110.
- [25] Tamże, s. 119-121, 138-139.
- [26] Tamże, s. 141-144, 151.
- [27] Tamże, s. 152, 159.
- [28] Tamże, s. 163-164.
- [29] Tamże, s. 176-177; M. Fieldorf, L. Zachuta, *Generał Fieldorf „Nil”. Fakty, dokumenty, relacje*, T. 1, Warszawa 2006, s. 209-210
- [30] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 182-184
- [31] Tamże, s. 185-193.
- [32] Tamże, s. 193-195.
- [33] Tamże, s. 195-202; M. Fieldorf, L. Zachuta, dz. cyt., T. 1, s. 274-275.
- [34] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 210-217
- [35] Tamże, s. 217-241; J. Kirchmayer, *Powstanie warszawskie*, Warszawa 1984, s. 215. O Zgrupowaniu i walkach szeroko: B. Nowożycki, *Zgrupowanie AK „Radosław”. Geneza, szlak bojowy i powojenne losy żołnierzy*, Warszawa 2014.
- [36] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 242-258.
- [37] Tamże, s. 271-276; J. Kirchmayer, dz. cyt., s. 215.
- [38] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 285-293
- [39] Tamże, s. 297-302.
- [40] Tamże, s. 311-320; J. Kirchmayer, dz. cyt., s. 415-429.
- [41] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 325-328
- [42] Tamże, s. 332-334
- [43] Tamże, s. 338
- [44] A. Ch., dz. cyt., s. 319
- [45] M. Fieldorf, L. Zachuta, dz. cyt., T. 1, s. 316.
- [46] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 339
- [47] Tamże, s. 339; A. Chmielarz, *Delegatura Sił Zbrojnych na Kraj*, [w:] *Armia Krajowa. Dramatyczny epilog*, pod red. K. Komorowskiego, Warszawa 1994, s. 16-17.
- [48] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 340-345; A. Chmielarz, *Ujawnianie Armii Krajowej*, [w:] *Armia Krajowa. Dramatyczny...*, s. 121-122.
- [49] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 347-348; J. Kurtyka, *Na szlaku AK (NIE, DZS, WiN)*, „Zeszyty Historyczne” 1990, nr 94, s. 30
- [50] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 363-376; A. Chmielarz, *Ujawnianie Armii Krajowej...*, s. 123-125.
- [51] A. Chmielarz, *Epilog Armii Krajowej*, [w:] *Armia Krajowa. Szkice z dziejów Sił Zbrojnych Polskiego Państwa Podziemnego*, pod red. K. Komorowskiego, Warszawa 2001, s. 343-348; A. Chmielarz, *Ujawnianie Armii Krajowej...*, s. 126-129.
- [52] M. Fieldorf, L. Zachuta, dz. cyt., T. 1, s. 455; J. Kurtyka, dz. cyt., s. 30-47.
- [53] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 378-401; T. Łabuszewski, *Sprawa „Radosława” - w kręgu urojonej konspiracji*, [w:] *Walka o pamięć. Władza i społeczeństwo wobec Powstania Warszawskiego 1944-1989*, Warszawa 2008, s. 49-89.
- [54] Przeciwni udziałowi akowców w ZBoWiD byli m.in. Kazimierz Pluta-Czechowski i Ludwik Muzyczka (A. Machcewicz, *Spotkania nie było. Władza o Powstaniu Warszawskim i Armii Krajowej w latach „odwilży”*, [w:] *Walka o pamięć...*, s. 98).
- [55] S. Mazurkiewicz, dz. cyt., s. 403-413; J. Wawrzyniak, *„Kontrolowane otwarcie” - Powstańcy w ZBoWiD*, [w:] *Walka o pamięć...*, s. 118-124; M. Fieldorf, L. Zachuta, dz. cyt., T. 2, s. 1059.
- [56] A. Ch., dz. cyt., s. 320.



Dobij mnie!

Przed wieczorem mieliśmy podejść jak najbliżej serbskiej linii obrony i w nocy ją przekroczyć. Po przejściu kilku kilometrów chłopcy mieli założyć bomby zegarowe pod kilkoma czołgami i jak najszybciej wrócić do bazy.

Informacja o czołgach była dokładna, nikt nie próbował dociekać skąd pochodziła. Do tego typu akcji brało się na ogół tylko krótkie karabinki skorpio, uzi i pistolety z zapasowymi magazynkami, nóż, parę granatów do kieszeni i kłamrę tzw. "osmicę". Klamra spełniała kilka funkcji m.in. mogła służyć jako kastet lub bloczek do liny. Wszystko było możliwie ukryte, aby w razie przypadkowego spotkania nie wzbudzać podejrzania wyglądem a' la Rambo.

Bez większych trudności doszliśmy na odległość pięćdziesięciu metrów od serbskich okopów. Po drodze Čupo i Iki zneutralizowali cztery „anteny”.

Odległość między bunkrami na linii okopu wynosiła niecałe sto metrów. Przy świetle dziennym samobójstwem byłoby próbować przechodzić niezauważonym. Siedzieliśmy więc, w piątkę, w krzakach oczekując na noc.

- Polej sobie ubranie rakiją – szepnął Iki.
- Po co?
- Jeśli wejdziemy na Serbów, to będziemy pijanymi



Serbami, a od nich śmierdzi na kilometr.

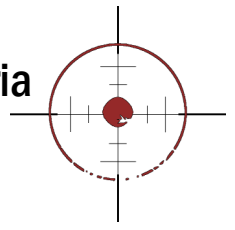
- Cicho – Žbunjara uspokajał śmiejącego się Čupo.
- Do zmroku mamy jeszcze dwie godziny.
- Co z tego? Zapytał Iki.
- Ja się kładę spać – Čupo położył się pod krzakiem.
- Połącz się z linią i powiedz jeszcze raz, żeby przypadkiem nie strzelali w stronę Serbów.
- Najwyżej dupę ci ustrzelą – zarechotał Iki.
- *Pičku materina*, cisza od tej pory!
- Dobrze, dobrze.
- Możemy ruszać – szepnął Mato, gdy zrobiło się ciemno.

Pojedynczo, co pięć minut wychodziliśmy z ukrycia, bezszelestnie skradając się do serbskich okopów.

- Czekaj na mnie koło drzewa – Žbuki wskazał kierunek puszczając mnie przodem.
- Ok.

Powoli, bez nagłych zrywów, pochylony szedłem naprzód. Przy bunkrze błysnęło światło. Ogień zapalniczki oświetlił twarz brodatego Serba, który przypalał papierosa. „Wyszedł za potrzebą” – pomyślałem. Fak-





Dobij mnie!

tycznie, po chwili usłyszałem charakterystyczny dźwięk towarzyszący sikaniu. Po trzech minutach ognik papierosa zniknął w ciemności. Mogłem iść dalej. Po kilkunastu krokach zauważyłem przed sobą okop. Cicho wszedłem do niego uważnie nad słuchując odgłosów. Dostrzegłem zarys drzewa, pod którym miałem czekać na Žbunjarę. Było oddalone o dwadzieścia metrów. Zbliżyłem się do niego. Bałem się oczekiwania na Žbunjarę, tych paru minut, podczas których człowiek najbardziej odczuwa strach. Boi się, bo jest sam.

Usłyszałem ciche syknięcie, nasz znak rozpoznawczy przypominający odgłos świerszcza. Z ciemności wynurzył się Iki.

- Wszystko w porządku? Spytał szeptem.
- Tak.

Bez słowa oczekiwaliśmy na Žbukiego, który pojawił się po dłuższej chwili. Zza chmur wyszedł księżyc oświetlając nas srebrną poświatą. "Dobrze, że teraz a nie wcześniej", pomyślałem.

Prowadził nas Iki dobrze znający okolicę. Na drodze połączyliśmy się z resztą grupy.

- Dwójka na przód, reszta sto metrów za nimi. Jesteśmy teraz pijanymi Serbami, a ty Rus – powiedział do mnie, przeciągając palcem po szyi.

Szliśmy asfaltową drogą, ja ze Žbukim na przędzie. W razie naszej "wpadki" obstawiali nas chłopcy z tyłu.



Zachowywaliśmy się normalnie. Paliliśmy papierosy i rozmawiali tak, aby było nas słychać, lecz nie można było zrozumieć. Przechodziliśmy przez wioskę nie napotykając do tej pory nikogo, chociaż była dopiero dziewiąta wieczorem. Przyplątał się do nas pies, który szedł za nami. Przeszliśmy około dwóch kilometrów, gdy usłyszeliśmy czyjeś głosy przed sobą.

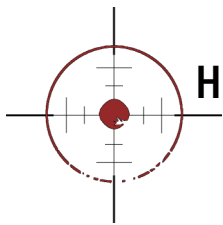
- Jak zacznę śpiewać, odskocz do rowu i zacznij rzygać – mówił spokojnie, jakbyśmy teraz spacerowali po Zagrzebiu.
- *ne volim te Alija zato sto si balija* – zawył pijackim głosem.

Dostrzegłem trójkę Serbów kilkadziesiąt kroków przed nami. Odskoczyłem do rowu wpychając dwa palce w gardło. Nie wiem czy to był strach, ale zacząłem rzeczywiście wymiotować. Žbunjara klepnął mnie po plecach mruczając coś pod nosem. Prawą rękę trzymał pod rozpiętą panterką przy sercu, gdzie na szelkach pod ramieniem była odbezpieczona „zbrojovka”.

Przeszli obok głośno się z nas śmiejąc. – *Nosila ti Drina sto mudžahedina svaki dan...* – zawył na całe gardło Žbuki.

- Myślałem, że mi zwieracze puszcza – zaśmiałem się, chcąc rozładować napięcie.
- Zaczekajmy na resztę. Jeśli ich zaczepią, to powinni sobie poradzić. Mają tę przewagę, że wiedzą kto jest kto, w przeciwieństwie do Serbów – powie-





dział i poprawił miny na brzuchu. Podczas chodzenia zluźowały się paski.

Doszliśmy do skrzyżowania, skąd od czołgów powinny nas dzielić niecałe dwa kilometry. Do naszej dwójki dołączył Iki. Rozluźniałem się coraz bardziej. Zapomniałem, że każda chwila może być ostatnia w moim życiu. Mijaliśmy jakieś domostwo, skąd dobiegały głosy z podwórka.

- Daj rakijce! Powiedział głośno Iki. Podąłem mu prawie całą "piersiówkę". Przyłożył butelkę do ust, po czym z zamachem rzucił o asfalt.
- Jebem ti rat! Zaklął, gdy jeden z czetników spojrzał na nas z okna. Aktor nie zagrałby lepiej tej sceny.
- Za jakieś 300 metrów powinniśmy być na miejscu.
- Zostańcie w rowie. Ja z Čupo idę zobaczyć teren – Iki cicho szeptał.

Wrócili po pół godzinie.

- Trzy "piątki" i jedna "ósemka". Pilnuje tylko jeden, wezmę go na żywca, gdy się zmienia. Zakładamy jeden "zegar" do wszystkich min. Czołgi stoją w szeregu.

Zeszliśmy z jezdni i w odstępach zbliżaliśmy do grupy czołgów. Placyk, na którym stały był z dwóch stron otoczony przylegającymi do siebie jakimiś magazynami czy halami. Mata miał osłaniać kolegów. Dwadzieścia metrów przed nami były czołgi



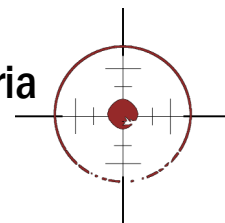
Dobij mnie!



stojące równoległe do szosy. Widziałem wszystko jak na dłoni ukryty za krzakiem. Wartownik siedział na skrzyni opierając się plecami o ścianę budynku. Po godzinie oczekiwania usłyszałem dochodzące z oddali szmery. "Zmiennik" pomyślałem. Chwilę ze sobą rozmawiali, po czym jeden z nich odszedł. Śledziłem go wzrokiem. Zniknął w drzwiach domu oddalonego o sto metrów od nas. Z przeciwnej strony, głośno stawiając kroki szedł szosą Iki. Po zrównaniu się z Serbem stanął i zapytał o ogień. Usłyszałem twierdzącą odpowiedź. Błysnął ogień zapalniczki. W tej samej chwili Serb osunął się na ziemię pchnięty nożem. Reszta chłopców wkroczyła do akcji wchodząc pod cielska czołgów, aby założyć miny. Nie upłynęła minuta, gdy łączyli końce żółtego lontu detonującego, w jednym miejscu przyczepiając je do "zegara". Mata wyskoczył z ukrycia i w kilka sekund odciągnął zwłoki Serba do pobliskich krzaków. Zarzucił „serbinę” na plecy i szukał dokumentów w kieszeniach. Chłopcy przy czołgach kończyli maskować lont.

- Na ile ustawiłeś? Spytał Mata, gdy wracaliśmy z powrotem.
- Dwie godziny. Powinniśmy zdążyć wrócić.
- Spokojnie.

Wszystkie bomby wybuchną w tej samej sekundzie dzięki lontowi, którego prędkość detonacji



Dobij mnie!

wynosiła kilkaset metrów na sekundę. Dla pewności, jeśli by jeden zegar zawiódł, założyli drugi, rezerwowo.

Wracaliśmy całą piątką nie rozdzielając się na grupy. Wokół było pusto i cicho. Późna noc była naszym sprzymierzeńcem.

- Rozpieprzymy przy okazji jakiś bunkier? Mata sondował reakcję.
- Nawet o tym nie myśl.
- Czemu?
- Samobójstwo. Za niecałą godzinę, gdy wybuchną bomby postawią całą linię na nogi. Módl się tylko, żeby nie było niespodzianek i byśmy zdążyli przejść.
- Cicho! Słyszysz? - Iki przerwał Żbunjari.

Z bliskiej odległości dochodziły jakieś pomruki. Nie zatrzymując się zbliżyliśmy się do pijanego Serba. Wpadł do rowu i próbował się z niego wydostać.

Mata błyskawicznie rozpiął klamrę i zacisnął na jego szyi stalową żytkę. Serb nie wydał z siebie najmniejszego odgłosu.

- Trzymaj *kapu*^[1] na pamiętkę - rzucił mi czarną futrzaną czapkę z dwugłowym orłem. Ptak miał na piersi prawosławny krzyż.

Od linii dzieliło nas kilkaset metrów. Zeszliśmy z szosy i powoli, przez pole, skradaliśmy się do okopów. Rozpoznałem samotne drzewo, pod którym byliśmy kilka godzin wcześniej. Pierwszy przeskaki-



wał linię Żbuki, osłaniany przez pozostałych. Po drugiej stronie rowu role się odwróciły i to myśmy przeskakiwali osłaniany przez tych, co byli już po bezpiecznej stronie. Wystarczyło teraz uprzedzić przez krótkofalówkę chłopców w okopie, aby przypadkiem nie wzięli nas za czetników i nie zaczęli strzelać. Po dojściu do bazy zwaliliśmy się zmęczeni do łóżek.

Rano Serbskie Radio Šamac podało, że: „ustaszowskie grupy terrorystyczne dokonały nieudanego sabotażu na tyłach”, a Chorwackie Radio Orašje informowało o: „dzielnych chłopcach z DIV-a, którzy wysadzili w powietrze siedem czołgów i magazyn amunicji”.

Cel tych dezinformacji był jeden; morale. Chorwackie radio zawsze informowało, że to Serbowie uderzyli, radio serbskie, że Chorwaci. Słuchając dwóch stacji radiowych, można się było dowiedzieć, że zarówno jedni jak i drudzy przechodzili do kontrataku i zajmowali pozycje wroga. Oczywiście powiększono straty przeciwnika i pomniejszono własne. Prześcigano się w podawaniu diametralnie różnych liczb czy faktów. W eterze też toczyła się walka.

 **Adam Bednarczyk**

Foto z archiwum autora.



[1] Kapa - czapka

Oblężenie Vukovaru

Vukovar to miasto znajdujące się obecnie w granicach Republiki Chorwacji, położone nad Dunajem w historycznej krainie Srem rozciągającej się pomiędzy rzekami Drawa i Sawa. Miasto leżące nad brzegiem Dunaju przez setki lat stanowiło strefę pograniczną pomiędzy zmieniającymi się jak w kalejdoskopie mocarstwami. Każde z nich pozostawiło po sobie ślad w tkance miejskiej, zarówno pod względem architektonicznym jak i etnicznym.

Przed wybuchem wojny to barokowe miasto zamieszkałe było przez zamożną, kosmopolityczną mieszankę narodowości. Oprócz Chorwatów i Serbów mieszkali tam również Węgrzy, Rusini oraz Słowacy. Serbowie w Vukovarze dzielili się na dwie grupy – „*starosediaci*”, czyli starych osadników od wielu pokoleń zamieszkałych w tym mieście i związanych z jego wieloetnicznym dziedzictwem oraz „*doseljaci*” nowych osiedleńców, przybyłych zazwyczaj po 1945 roku, wśród których chętnie szerzyły się nastroje nacjonalistyczne. Przed wybuchem wojny miasto cieszyło się znacznym dobrobytem, stanowiło jeden z najbogatszych regionów w całej Jugosławii. Leżące nad Dunajem miasto było modelowym przykładem idei „Braterstwa i Jedności narodów Jugosławii”.

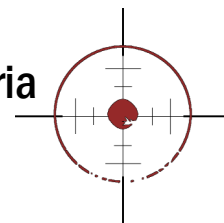
Wraz ze śmiercią wieloletniego dyktatora Jugosławii, Josipa Broz-Tity stworzony przez niego system polityczny zaczął pękać w szwach. Nowa konstytucja przewidywała, że po jego śmierci władzę w Socjalistycznej Federacyjnej Republice Jugosławii dźwżyć będzie kolektywna głowa państwa złożona z przedstawicieli republik będących w składzie federacji. Niestety, nadanie autonomii dwóm prowincjom - Vojvodinie oraz Kosovu spowodowało znaczną przewagę Serbów nad pozostałymi narodami. Te zamieszkałe w większości przez Serbów obszary głosami swoich przedstawicieli zapewniały serbską dominację w regionie. Proporcja sił mówiła sama za siebie: Macedonia, Chorwacja i Słowenia przeciwko Serbii, Czarnogórze, Vojvodinie i Kosovu.

W 1989 roku cała Europa zadrżała w posadach. Kryzys ekonomiczny, jaki dotykał kraje bloku wschodniego nie ominął również Jugosławii. Hiperinflacja, jaka dotknęła jugosłowiańskiego dinara przekroczyła najśmielsze oczekiwania. Chaos gospodarczy, niepokoje w sąsiednich krajach i ogólnoświatowe zmiany polityczne wpłynęły wzrost samoświadomości mieszkańców krajów położonych pomiędzy Triestem, a Władywostokiem. Komunizm przestał być wygodnym narzędziem, które pozwalało utrzymać się przy władzy. Należało sięgnąć po inną metodę – był nią nacjonalizm. Taką właśnie drogę wybrał ówczesny prezydent Serbskiej Republiki Socjalistycznej - Slobodan Milošević.

Najpierw z federacji wyłamała się Słowenia. W krótkiej wojnie tzw. „dziesięciodniowej” siły jugosłowiańskie zostały pokonane i zmuszone do odwrotu. Następnym krajem dążącym do wolności była Chorwacja w 30% zamieszkała również przez Serbów.

W referendum niepodległościowym społeczeństwo Chorwacji opowiedziało się za oderwaniem od Jugosławii. W wyborach większość zdobyła HDZ (Chorwacka Wspólnota Demokratyczna) partia Franjo Tudmana, wiernego towarzysza Tity z czasów partyzanckich, który z komunisty stał się chorwackim nacjonalistą. W mieście Vukovar wynik wyborów był jednak inny, większość zdobyli chorwaccy komuniści. Być może ten fakt zaważył na późniejszym stosunku Tudmana do odsieczy Vukovaru.

W kwietniu 1991 roku doszło do pierwszych niepokojów na tle etnicznym we wschodniej Slavonii. Rozpoczęła się tak zwana *Blavan-Revolucija*, czyli „rewolucja kłód” polegająca na budowaniu barykad na drogach przez serbskich mieszkańców Slavonii. W niedługim czasie w okolicy zaczęły działać nacjonalistyczne serbskie bojówki, w tym oparte na tradycji czetników tzw. „Białe Orły”, dowodzone przez Vojislava Šešelja, ich baza znajdowała się w zamieszkałej przez Serbów miejscowości Borovo Selo. Po serii wzajemnych prowokacji, ostrzałów i wybuchów bomb 2 maja



Oblężenie Vukovaru

1991 roku doszło do tragedii, która stała się punktem zwrotnym – iskrą, prowadzącą do wojny.

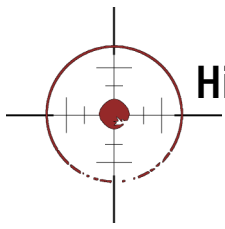
Wieczorem 1 maja 1991 roku czterech chorwackich policjantów podjęło próbę zmiany serbskiej flagi powiewającej nad osiedlem na flagę chorwacką. Doszło do wymiany ognia z uzbrojonymi serbskimi bojownikami, członkami Obrony Terytorialnej oraz bojówkarzami Białych formacji „Białych Orłów”. W efekcie dwóm, lekko rannym policjantom udało się zbiec dwóch zostało rannych i wziętych do niewoli przez Serbów. Strona Chorwacka podjęła starania o uwolnienie pojmanych. Dowódca sił policyjnych na terenie wschodniej Slavonii, naczelnik posterunku policji w Osjeku, Josip Reihl-Kir wynegocjował bezpieczne przejście oraz przekazanie jeńców stronie chorwackiej. Gdy na teren miejscowości pod białą flagą wjechały autobusy wiozące oddział chorwackiej policji w sile 30 policjantów rozległy się strzały. Okazało się, że serbscy bojówkarze złamali zawarte porozumienie i zastawili pułapkę, w której zostało zabitych 12 chorwackich policjantów. Wymiana ognia trwała kilka godzin zanim na teren walk wkroczyły oddziały Jugosłowiańskiej Armii Ludowej pełniące wtedy jeszcze rolę rozjemcy. Pomimo stałej obecności oddziałów JNA w okolicy nadal dochodziło do napięć na tle etnicznym i sporadycznych walk. Jednym z oficerów dowodzących siłami rozjemczymi na tym terenie był znany z późniejszej zbrodniczej działalności w Bośni płk. Radko Mladić.

Zagadkową sprawą są dalsze losy dwóch postaci biorących udział w opisanych powyżej wydarzeniach. Josip Reihl-Kir, który jako naczelnik policji prowadził działania zmierzające do zmniejszenia napięć pomiędzy Serbami a Chorwatami, i który nie wahał się krytykować miejscowych polityków Chorwackiej Wspólnoty Demokratycznej (HDZ) za sabotowanie swych działań został zastrzelony 1 lipca 1991 roku przez chorwackiego ekstremistę, członka HDZ Antuna Gudelja. Vukašin Šoškoćanin, dowódca oddziału serbskiej Obrony Terytorialnej w Borove Selo, który prowadził negocjacje ze stroną chorwacką utonął w niejasnych okolicznościach 15 maja 1991 roku. Po Bitwie o Borove Selo

w Chorwacji wybuchła fala antyserbskiej nienawiści, powszechnie palono jugosłowiańskie flagi postrzegane jako symbol serbskiej dominacji. Wydarzenia z 2 maja 1991 roku rozkręciły spiralę wzajemnej nienawiści, która porwała tysiące ludzi. W eskalacji agresji niewątpliwie swój udział miały media, w szczególności telewizje, które stały się tubami propagandowymi ścierających się krajów. Najbardziej rzetelną politykę informacyjną w tym czasie prowadziła niezaangażowana w konflikt telewizja bośniacka. Późniejsze działania mediów po obydwu stronach były nadal prowadzone sprzecznie z jakąkolwiek etyką a stworzone na potrzeby generowania konfliktu wtedy mity po dziś dzień pokutują w przestrzeni medialnej.

W momencie eskalacji konfliktu Chorwacja nie dysponowała własną siłą zbrojną. Namiastkę sił zbrojnych stanowiła lokalna policja w liczbie 20 000 funkcjonariuszy, z czego najbardziej wartościowe były oddziały Specjalnej Policji złożone z doświadczonych żołnierzy, w tym z byłych żołnierzy Legii Cudzoziemskiej narodowości chorwackiej. Te siły stały się później załóżką Chorwackiej Gwardii Narodowej (ZNG – *Zbor Narodne Gardje*) przekształconej 20 września 1991 roku w regularne Wojsko Chorwackie (HV – *Hrvatske Vojsko*)

Również po chorwackiej stronie zaczęły formować się oddziały paramilitarne; w okolicy Vukovaru krążył oddział dowodzony przez niestawnego Tomislava Mercępa oskarżanego o czterdzieści niewyjaśnionych do dziś zniknięć oraz również o udział w zabójstwie rodziny Zech. Ciężar obrony miasta dźwigały na sobie oddziały stworzonej formalnie już w czasie oblężenia: 204. Brygady Chorwackiej Gwardii Narodowej (ZNG – *Zbor Nacionalnej Gardje*) złożona z 400 członków, 1. i 3. Brygady Gwardii, 300 policjantów, 1100 ochotników z Vukovaru i okolic oraz członków Chorwackich Sił Obrony (HOS – *Hrvatske Obrane Snage*), zbrojnego ramienia odwołującej się do tradycji ustaszy Chorwackiej Partii Prawa. obrońcy stanowili przekrój vukovarskiego społeczeństwa, jedną trzecią z nich stanowili przedstawiciele innych niż chorwacka narodowości, jak Serbowie, Węgrzy i Rusini. Według relacji obrońców



Serbowie broniący miasta obdarzeni byli przez dowódców i towarzyszy broni innych narodowości pełnym zaufaniem.

Uzbrojenie obrońców stanowiło od początku walk duży problem. W pierwszych dniach oblężenia oddziały chorwackie dysponowały niemal wyłącznie bronią ręczną, w tym przeważnie bronią myśliwską. Sytuacja poprawiła się dopiero po zdobyciu koszar JNA i przejęciu znajdującego się w nich uzbrojenia. W ręce obrońców trafiły karabiny M70 oraz, w niewielkich ilościach, ręczne wyrzutnie rakiet przeciwpancernych M79 i M80, kilka dział i kilka sztuk broni przeciwlotniczej. Ponadto rozpoczęto w oblężonym mieście produkcję improwizowanych ładunków wybuchowych. Zaopatrzenie dla obrońców, jakkolwiek skromne, dostarczano jedyną dostępną drogą, łączącą oblężone miasto ze światem, wiodącą przez pola kukurydzy pomiędzy wioskami X i Y. W drugiej fazie oblężenia wojska chorwackie próbowały dostarczać do miasta zaopatrzenie drogą lotniczą, przy użyciu dwóch samolotów An-2.

Na czele 204. Brygady Vukovarskiej stanął były oficer JNA Mile Dedaković. Ochotnik w siłach Chorwackiej Gwardii Narodowej, jeden z niewielu w tym czasie oficerów walczących po stronie Chorwacji. Podczas oblężenia znany pod pseudonimem „*Jasteb*” (Jastrząb), który wraz ze swoim zastępcą kpt. Branko Borkovićem ps. „*Mladi Jastreb*” stworzył zorganizowany system obronny formując z rozproszonych oddziałów zwartą 204. Brygadę i dzieląc miasto na sześć sektorów obrony przydzielonych konkretnym pododdziałom. Wykorzystując sieć piwnic, kanałów, rowów i okopów obrońcy stworzyli silny perymetr wokół miasta, który wytrzymał wiele ataków silniejszych i lepiej uzbrojonych jednostek JNA.

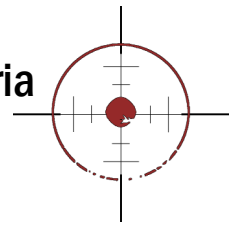
Jugosłowiańska Armia Ludowa (*Jugoslovenska Narodna Armija*) w roku 1991 znalazła się w na rozdrożu. W początkowym etapie działań wojennych JNA nie można jeszcze utożsamiać ze stroną serbską, celem jej działań było utrzymanie w całości federacyjnej socjalistycznej Jugosławii. Generał Veljko Kadijević, minister obrony Jugosławii początkowo zamierzał utrzymać neutralność JNA w konflikcie serbsko-chorwackim. Celem działań armii było przecięcie terytorium Chorwacji

na połowę poprzez zajęcie zamieszkanego przez Serbów terytorium zmuszając tym sposobem chorwackie kierownictwo polityczne do rewizji swojego stanowiska w kwestii opuszczenia federacji przez ten kraj.

Warto podkreślić, iż na tym etapie konfliktu dowództwo sił zbrojnych nie było jeszcze zdominowane przez Serbów, gen. Kadijević był pół-Serbem, pół-Chorwatem, jego zastępca był Słoweńcem, dowódcą sił JNA w pierwszej fazie bitwy o Vukovar był Macedończyk, a dowódca Sił Powietrznych, który wydał rozkaz bombardowania Vukovaru był Chorwatem.

Przegrana JNA w słoweńskiej „wojnie dziesięciodniowej” uczyniła podstawowy cel JNA niemożliwym do osiągnięcia. Wielu żołnierzy pochodzenia serbskiego nie chciało już walczyć o wieloetniczną Jugosławię. Przedstawiciele pozostałych narodowości dezercerowali lub odmawiali służby wojskowej. Armia federalna szybko nabierała coraz bardziej serbskiego charakteru. W tej sytuacji dowództwo, które wcześniej głosiło hasło „Jugosłowiańska Armia Ludowa musi bronić wszystkich narodów Jugosławii” zostało zmuszone do porzucenia poprzednich celów i w efekcie do poparcia serbskiej rebelii w Chorwacji. Od tego momentu JNA przestała bronić interesu Jugosławii i stała się narzędziem w rękach polityków serbskich. Jak napisał w swoich pamiętnikach generał Kadijević, ze wspólnej Jugosłowiańskiej Armii Ludowej stworzono trzy odrębne armie – siły zbrojne Serbii występujące nadal pod nazwą JNA, *Srpska Vojska Krajine*, czyli siły zbrojne samozwańczej Republiki Serbskiej Krajiny, oraz *Vojska Republike Srpske*, czyli armię serbską w Bośni i Hercegowinie.

JNA dysponowała pod Vukovarem około 36 tysiącami żołnierzy, zarówno z jednostek regularnych jak i Obrony Terytorialnej. Ponadto do dyspozycji oblegających pozostawały czołgi T-55 i M-84 oraz transportery opancerzone OT M-60 i bojowe wozy piechoty M-80, artyleria lufowa i raketowa oraz lotnictwo i dunajska flota rzeczna. Pomimo miażdżącej przewagi liczebnej oraz w uzbrojeniu i wyposażeniu żołnierze armii regularnej mieli jednak niskie morale, a ponadto jednostki OT były źle wyszkolone, a sprzęt, zwłaszcza pojazdy



Oblężenie Vukovaru

pancerne, nie był przystosowany do prowadzenia walki w terenie zurbanizowanym. W drugiej fazie Bitwy o Vukovar do regularnych oddziałów JNA oraz Obrony Terytorialnej dołączyły także serbskie oddziały paramilitarne zorganizowane przy wsparciu tajnej policji UDBA. Przykładem takiej formacji była Serbska Gwardia Ochotnicza założona przez Željka Ražnatovića ps. „Arkan”.

W komunistycznej Jugosławii panowała specyficzna równowaga pomiędzy państwem, a przestępczym półświatkiem. SFRJ była krajem pozbawionym zorganizowanej przestępczości, lecz właśnie stamtąd wywodzili się najgroźniejsi międzynarodowi gangsterzy działający w krajach Europy zachodniej, pod ochronnym parasolem UDBA. Jugosławia w czasie pokoju eliminowała ze swojego terytorium elementy niepożądane. Gdy system zaczął się chwiać UDBA, zdominowana przez Serbów, sięgnęła po asa w rękawie ściągając tych watażków na swoje terytorium z misją tworzenia nacjonalistycznych bojówek. Jednym z takich ludzi był właśnie „Arkan”, z pochodzenia Czarnogórzec, syn pułkownika JNA, gangster, przez lata działający w RFN i szef klubu kibiców belgradzkiej Crvenoj Zvezdi, który z tego środowiska stworzył osławioną bojówkę znaną pod nazwą Serbska Gwardia Ochotnicza lub „Tygrysy Arkana”, wyposażoną, uzbrojoną i przetransportowaną przy wsparciu UDBA do Vukovaru pod koniec września 1991 roku.

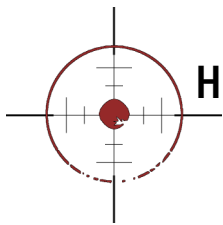
Przez cały czas trwania walk o Vukovar JNA trapiła była falą dezercji; z linii schodziły całe bataliony, a pozostali żołnierze często odmawiali udziału w walce. Do Wojskowych Komend Uzuppełnień stawiało się jedynie... 13% poborowych. Pełna mobilizacja nigdy nie została w Serbii ogłoszona, ponieważ formalnie... Serbia nigdy nie była w stanie wojny. Protesty antywojenne, jakie miały miejsce w Belgradzie przybierały bardzo gwałtowne formy, żołnierz Vladimir Živković, kierowca czołgu, który w proteście przeciwko wojnie umieścił swój pojazd przed budynkiem jugosłowiańskiego parlamentu, został aresztowany i ogłoszony niepoczytalnym. Taka sytuacja wywołała reakcję ze strony kolegów aresztowanego, którzy w odwecie zajęli siłą lokalną rozgłośnię radiową i ogłosili w eterze swój manifest:

„nie jesteśmy zdrajcami, ale nie chcemy być agresorami”. Zwykli mieszkańcy Serbii nie chcieli brać udziału w tej bratobójczej wojnie.

Udział bojówek „Arkana” w bitwie o Vukovar przeważył szalę zwycięstwa na stronę serbską, ponieważ do walki stanęli silnie zmotywowani kombatanci, co przy wsparciu sprzętowym jakim dysponowały oddziały JNA pozwoliło na uzyskanie przewagi, jednak w ogólnym ujęciu zbrodnie dokonywane przez bojówkaczy na ludności cywilnej i jeńcach doprowadziły do utożsamienia strony serbskiej ze zbrodniarzami, a w efekcie do utraty poparcia i całkowitej izolacji Serbii na arenie międzynarodowej.

Bitwa o Vukovar rozegrała się w dwóch fazach trwających łącznie około 90 dni. Pierwsza faza bitwy, to czas od sierpnia do końca września 1991 roku, miasto nie było jeszcze całkowicie otoczone przez siły przeciwnika. Od czerwca miasto i okoliczne osady niemal codziennie były ostrzeliwane z pozycji serbskich. Od lipca rozpoczęła się koncentracja oddziałów JNA i TO w rejonie wschodniej Slavonii. Ciężkie walki rozpoczęły się 23 sierpnia 1991 roku od ciężkiego ostrzału dzielnicy Borove Naselje zamieszkaanej w większości przez Chorwatów. W tym dniu siły chorwackie zestrzeliły dwa jugosłowiańskie samoloty szturmowe SOKO G-2 *Galeb*. 24 sierpnia oddziały JNA przypuściły generalny szturm na miasto, przy użyciu artylerii, czołgów, sił powietrznych oraz floty dunajskiej. Szturm ten został odparty przez siły obrońców.

14 września w obliczu działań prowadzonych przez JNA we wschodniej Slavonii na terenie całej Chorwacji na rozkaz prezydenta Franjo Tudmana oddziały ZNG zaatakowały koszary zajmowane przez oddziały JNA. Zablockowanie garnizonów zabezpieczyło Chorwację przed „wewnętrzną inwazją”, a zdobycie wojskowych baz, magazynów i arsenałów dało ZNG dostęp do broni, pojazdów i sprzętu. Również vukovarskie koszary tego dnia zostały zaatakowane przez oddziały 204. Brygady, lecz obrońcom miasta nie udało się ich zdobyć. W odwecie serbskie oddziały paramilitarne zaatakowały obszary na południowy zachód od miasta mor-



dując ludność cywilną i zmuszając około dwa tysiące mieszkańców do ucieczki. Dzięki pozyskaniu uzbrojenia przez siły chorwackie, oddziałom pozostającym poza miastem udało się utworzyć silną linię obrony, co powstrzymało oddziały JNA przed wkroczeniem głębiej w terytorium kraju. Dowództwo sił serbskich zdecydowało o wstrzymaniu dalszej ofensywy do czasu zdobycia miasta. Podobnie jak miało to miejsce w czasie drugiej wojny światowej w przypadku walk o Stalingrad początkowo niekonsekwentne zaangażowanie w walkę o miasto stało się starciem o miejsce symboliczne dla obydwu stron.

19 września z Belgradu wyruszyła 1. Gwardyjska Brygada Zmechanizowana dysponująca około setką czołgów typu T-55 i M-84 oraz transporterami opancerzonymi i ciężką artylerią. 20 września oddziały brygady przekroczyły granicę chorwacką, odrzucając siły przeciwnika od miasta. Czołgi brygady szybko weszły do akcji, odblokowując oblężone vukovarskie koszary. Wykorzystując przysłane posiłki siły serbskie do 30 września niemal całkowicie otoczyły miasto, pozostawiając obrońcom jedyną drogę ucieczki, przez rozciągające się pod miastem pola kukurydzy.

Wzmocnione siły serbskie podjęły kilka prób natarcia na miasto, lecz nie udało im się osiągnąć żadnego postępu. Pojazdy pancerne zaprojektowane do walki na otwartej przestrzeni nie sprawdzały się na wąskich uliczkach Vukovaru. Źle wyszkolona piechota nie była w stanie udzielić im osłony; kolejne próby natarcia wykazały braki w wyszkoleniu zarówno oficerów jak i szeregowych żołnierzy, którzy nie byli uczeni jak należy prowadzić walki w mieście. Warunki miejskie zostały natomiast doskonale wykorzystane przez obrońców. Chorwaci zaminowali drogi podejścia, zorganizowali ufortyfikowane punkty oporu, a ataki pojazdów pancernych odpierali za pomocą mobilnych oddziałów wyposażonych w ręczną broń przeciwpancerną.

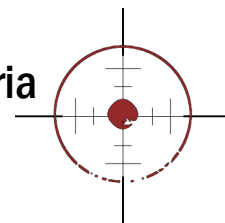
Taktyka JNA polegała na wprowadzeniu do miasta kilku pancernych kolumn z oddziałami piechoty towarzyszącymi natarciu. Obrońcy wyczekiwali z otwarciem ognia do ostatniej chwili, odpalając pociski przeciw-

pancerne z bardzo bliskiej odległości, do 20 metrów. Atakowano pierwszy i ostatni pojazd w kolumnie blokując resztę pojazdów. Starano się przy tym uniknąć kompletnego niszczenia wrogich czołgów i transporterów opancerzonych ponieważ odzyskane z uszkodzonych kadłubów materiały wojenne stanowiły cenne uzupełnienie zasobów obrony. Unikano przy tym statycznej obrony, oddziały 204. Brygady cały czas prowadziły wojnę podjazdową szarpiąc siły wroga i stosując niekonwencjonalną taktykę, atakując zarówno żołnierzy jak i sprzęt przeciwnika.

Straty oddziałów zmechanizowanych JNA były tak duże, że droga prowadząca do Osiejka, przez miejscowość Trpin, która była jedną z osi natarcia pancernych kolumn serbskiej armii nazwano „cementarzem czołgów”. Obroną przeciwpancerną w tym sektorze dowodził zastępca dowódcy 3. batalionu 204. Brygady, późniejszy pułkownik armii chorwackiej Marko Babić. W jednym dniu 18 września 1991 roku na tym odcinku zniszczono prawie 30 pojazdów pancernych 51. Zmechanizowanej Brygady JNA, z czego unieruchomienia lub zniszczenia 14 z nich przypisywanych jest osobiście płk. Babićowi.

Posuwano się również do ataków psychologicznych, odstrzeliwując żołnierzy wroga z flar oraz podkładając w nocy bomby w strefach postoju serbskich pojazdów pancernych. Gdy rankiem pojazd był uruchamiany, bomba eksplodowała wysadzając pojazd wraz z załogą w powietrze.

Tak ciężkie straty powodowały gwałtowny spadek morale i dezorganizację dowodzenia u strony serbskiej. W obliczu widma porażki dowództwo JNA zdecydowało o zmianie taktyki. Rozpoczęto metodyczny ostrzał miasta za pomocą ciężkiej artylerii oraz rakiet. Do końca trwania bitwy na miasto spadło 700 000 pocisków. Cywile zmuszeni byli ukrywać się stale w schronach przeciwlotniczych zbudowanych jeszcze w latach zimnej wojny. Niesamowicie ciężkie warunki bytowania ludności cywilnej żyjącej w schronach przez ponad dwa miesiące walk były dla mieszkańców Vukovaru ciężką próbą. Na tym etapie bitwy stan jednostek JNA nadal



Oblężenie Vukovaru

przedstawiał się tragicznie. Morale żołnierzy były bardzo niskie, dezercja i odmowa wykonania rozkazów były na porządku dziennym. Poborowi nie mieli motywacji do walki, oficerowie posuwali się nawet do strzelania we własne pozycje, aby powstrzymać przed ucieczką własnych żołnierzy.

Ten stan rzeczy spowodował zmianę na stanowisku dowódcy operacji skierowanej przeciwko obrońcom Vukovaru. Komendę nad siłami serbskimi objął gen. Zivota Panić, który ustanowił nową kwaterę główną i wprowadził nowy system zarządzania siłami JNA. Strefa działań została przezeń podzielona na dwa obszary odpowiedzialności (AOR) – północną i południową. Do akcji zostały wprowadzane po raz pierwszy oddziały paramilitarne. Byli to ludzie silnie zmotywowani do walki, dobrze uzbrojeni i wyposażeni, lecz często niezdiscyplinowani i brutalni. Wykorzystując nowe zasoby ludzkie po stronie serbskiej formuje się nowe kompanie i bataliony w miejsce brakujących rezerwistów.

Generał Panić połączył pełne zapasu bojowego oddziały ochotnicze z dobrze wyszkolonymi jednostkami saperskimi przeznaczonymi do likwidowania pól minowych i umocnionych pozycji wroga. Dostarczając swoim szturmowcom wsparcia jednostek pancernych oraz artylerii przystąpił, 30 września 1991 roku, do nowej ofensywy. Zmiana taktyki przyniosła sukces oddziałom serbskim; ostatnia droga, którą dostarczano zaopatrzenie do Vukovaru została odcięta.

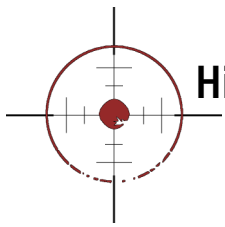
W nocy 30 września przez linie wojsk serbskich przekradł się dowódca obrony Vukovaru - Mile Dedaković. Dowództwo obrony przejął jego zastępca - Branko Borković. Celem ryzykownej misji Dedakovića było skłonienie dowództwa wojsk chorwackich do przyjęcia oblężonemu miastu z odsieczą. 13 października ruszyła chorwacka kontrofensywa. Siły JNA zostały w wyniku chorwackiego naporu zepchnięte niemal na pozycje wyjściowe. Jednostkom chorwackim udało się odbić wieś Marinci, przez którą wiodła droga zaopatrzenia dla miasta. Niestety, po osiągnięciu tych celów prezydent Tudman nakazał wstrzymanie natarcia, co po-

skutkowało tym, iż 252. Brygada Pancerna JNA odzyskała utracone terytorium, a oblężone miasto zostało ostatecznie odcięte od pomocy z zewnątrz.

Druga faza oblężenia rozpoczęła się w połowie października i trwała aż do ostatecznej kapitulacji miasta w końcu listopada 1991 roku. Przez cały ten czas cywilni mieszkańcy miasta, w tym Serbowie, ukryci byli w piwnicach oraz miejskich schronach przeciwlotniczych. Władzę w mieście dźwżył komitet kryzysowy obradujący w przeciwoatomowym bunkrze ukrytym pod szpitalem. Zarządzenia komitetu dotyczyły dystrybucji żywności i wody oraz zapewnienia bezpieczeństwa cywilnym mieszkańcom miasta. Starano się jak najbardziej ograniczyć aktywność ludzi na ulicach, pilnowano również, aby w każdy schron miał zapewnioną opiekę medyczną i był odpowiednio strzeżony. Szpital miejski, pomimo wyraźnego oznaczenia budynku czerwonym krzyżem był celem ataku zarówno serbskiej artylerii jak i lotnictwa. Budynek szpitala podczas bitwy został trafiony przez 800 pocisków. Pacjenci zostali przeniesieni do podziemi szpitala, 4 października w wyniku nalotu została zniszczona sala operacyjna. Codziennie jednak pracownicy szpitala musieli opatrywać od sześćdziesięciu do osiemdziesięciu pacjentów, z czego jedną trzecią stanowili cywile.

W obliczu niesamowicie ciężkiej sytuacji cywilnych mieszkańców miasta Wspólnota Europejska podjęła próbę dostarczenia pomocy humanitarnej dla 12 tysięcy ludzi uwięzionych wewnątrz oblężonego Vukovaru. 12 października konwój z pomocą międzynarodową uzyskał pozwolenie na przejście przez linie oblegających. JNA wykorzystwała tę przerwę w walkach do przygotowania kolejnego natarcia. Przez dwa dni Serbowie wstrzymywali przejazd powrotny konwoju, uzyskując w ten sposób czas na zaminowanie terenu i wzmocnienie własnych sił. Ciężarówki konwoju dostarczyły zapasy medyczne do miasta i w drodze powrotnej ewakuowały z miasta 114 rannych cywilów.

14 października oddziały serbskie przystąpiły do ataku na pozycje Chorwatów w dzielnicy Borovo Naselje, będącej punktem oporu Chorwatów. Dzielnica składała



się z fabryki oraz bloków, w których mieszkali jej pracownicy. Taka zabudowa ułatwiała obronę tego miejsca. Atak sił serbskich został odparty dzięki zdeterminowanemu oporowi jednostek 204. Brygady. 16 października zginął gen. Blago Zadro, dowódca 3. batalionu, organizator obrony w sektorze „cementarza czołgów” oraz dowódca żandarmerii 204. Brygady znany pod pseudonimem „Alfred Hill”. Tego dnia od wybuchu granatu podczas walk o Luzac został ranny „Arkan”. 19 października po dwóch dniach podróży do miasta dotarł konwój humanitarny organizacji Lekarze bez Granic. W drodze powrotnej zabrano ze sobą 102 pacjentów szpitala. Samochody tego konwoju były to ostatecznie pojazdy, jakie opuściły miasto tzw. „kukurydzianą drogą”. Po dwóch tygodniach przygotowań 30 października Serbowie przypuścili w pełni skoordynowany atak z dwóch kierunków. W natarciu wykorzystali nową taktykę niszcząc dom po domu, wykorzystując gaz łzawiący i świece dymne do wypierania obrońców z punktów umocnionych. Szpicę natarcia stanowiły oddziały paramilitarne, za nimi posuwały się jednostki saperów i wozy bojowe. Na szeroką skalę żołnierze serbscy wykorzystywali działa przeciwlotnicze i granatniki do ostrzeliwania wyższych kondygnacji budynków. Zdobywając dom po domu siły serbskie wypierały obrońców z ich pozycji. Natarcie powoli posuwało się do przodu, 2 listopada jednostki serbskie wcięły się klinem pomiędzy północne pozycje Chorwatów w Borovo Naselje i w centrum miasta. Tego dnia zginął serbski dowódca północnej strefy (AOR) gen. Mladen Bratać, gdy jego czołg został trafiony pociskiem przeciwpancernym.

W tym czasie siły HV (*Hrvatske Vojska* – przemianowane z ZNG) próbują przyjść z odsieczą po raz kolejny otwierając drogę dla dostaw przez wieś Marinci, jednak przewaga artylerii serbskiej zatrzymuje natarcie i powoduje wśród Chorwatów ciężkie straty. 3 listopada siły serbskie przeprowadzają desant przy użyciu okrętów floty dunajskiej, aby połączyć się z siłami „Arkana” zajmującymi przedmieście Luzac. Atak na chorwackie pozycje skutkuje rozbiciem obszaru kontrolowanego przez siły chorwackie na dwa odrębne rejony – Borovo

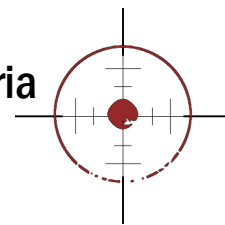
Naselje na północy i centrum miasta na południu. Serbska grupa operacyjna „Południe” dom po domu rozpoczyna wypieranie obrońców z obszaru centrum miasta. Zdobyte 9 listopada pozycje na wzgórzu Milove Brdo daje wojskom serbskim pozycję dominującą nad miastem, co pozwala artylerii na udzielenie bezpośredniego wsparcia walczącym oddziałom. 13 listopada centrum miasta zostaje ostatecznie odcięte od pozycji w Borovo Naselje.

Obrońcy są już na skraju wyczerpania ciągłą walką, a co gorsza brakuje im amunicji. Nie ma już kto zastąpić poległych na posterunkach. W obliczu nieuchronnej klęski kilkuset żołnierzy i cywilów próbuje przebić się przez serbskie linie i wyrwać z oblężonego miasta zanim ruszy ostateczny szturm na Vukovar. Niestety większość z tych, którzy próbowali się przebić została zabita.

18 listopada ostatni obrońcy centrum Vukovaru poddali się. Miasto zostało doszczętnie zrujnowane w wyniku trwających od trzech miesięcy walki. Pomimo upadku reduty południowej nadal broniły się pozycje chorwackie w dzielnicy Borovo Naselje, do 20 listopada. Ostatni obrońcy wymknęli się z miasta 23 listopada.

Dowództwo serbskie urządziło w zdobytym Vukovarze ponurą ceremonię zwycięstwa dla dziennikarzy, co miało miejsce w ruinach hotelu „Dunaj”. Tymczasem na ulicach Vukovaru nadal lała się krew.

„*Slobodane, Slobodane slaji nam salate, biće mesa, biće mesa klačemo hrvate*” - śpiewali serbscy bojówkarze, co zostało uwiecznione w materiale filmowym nagrany przez telewizję BBC. Świadkowie mówią o mordowaniu cywilów na ulicach miasta, był to efekt wstępnej selekcji dokonanej przez bojówkarzy na ludziach którzy opuszczali schrony. Z 400 osób, które zostały zatrzymane w szpitalu, 200 zostało rozstrzelanych na farmie we wsi Ovcara. 50 osób z tej grupy zostało wywiezionych w nieznanym kierunku i nigdy nie wróciło. Pozostali jeńcy i więźniowie poddawani byli przesłuchaniom oraz torturom, w wyniku czego zostało zabitych co najmniej 35 z nich. Dwieście osób zostało zaklasyfikowanych jako jeńcy wojenni przez dowództwo



Oblężenie Vukovaru

JNA, mimo to wielu z nich było brutalnie przesłuchiwanym, kilku zostało zabitych na miejscu; inni zostali wysłani na farmę w Ovcara, gdzie dołączyli do ofiar serbskiej zbrodni wojennej. Serbowie walczący w obronie Vukovaru stali się obiektem szczególnych prześladowań jako „zdrajcy”.

Populacja Vukovaru została poddana czystkom etnicznym oraz wywózkom. Około 30 tysięcy nie-Serbów zostało wysiedlonych z miasta. 2600 osób zginęło, do dziś nie jest znany los tylko 550 z nich. Zniszczono i zrabowano wiele zabytków kultury i dóbr materialnych. Zniszczone zostało 90% zabudowy miejskiej, ogólnie straty zostały wycenione na 2,5 mld USD. W czasie okupacji serbskiej nie prowadzono prac porządkowych i rekonstrukcyjnych na większą skalę. Odbudowa miasta ruszyła dopiero po 1998 roku.

Oficerowie JNA, serbscy przywódcy polityczni oraz watażkowie dowodzący formacjami paramilitarnymi zostali postawieni w stan oskarżenia przez Międzynarodowy Trybunał Karny ds. Byłej Jugosławii (ICTY), lecz kary uniknął „Arkan”, który po zakończeniu działań wojennych stał się w Serbii prominentnym politykiem. Zanim zdążył stanąć przed obliczem trybunału został zastrzelony, prawdopodobnie w wyniku gangsterskich porachunków.

Jednym z sądzonych za zbrodnie wojenne dokonane po bitwie był serbski burmistrz miasta, Slavko Dokmanović nazywany „Rzeźnikiem z Vukovaru”. Zatrzymanie Dokmanovića w 1997 roku dokonali operatorzy GROM działający w ramach UNTAES. Operacja „Little Flower” przeprowadzona w ścisłej tajemnicy przez żołnierzy JW 2305 była pierwszym skutecznym pojmaniem jednego ze sprawców czystek etnicznych w krajach byłej Jugosławii. Oskarżony został pod konwojem przewieziony do Hagi, lecz nie doczekał się jednak skazania, jak wielu innych zbrodniarzy, gdyż powiesił się w celi.

Dla Chorwatów obrona Vukovaru jest tragicznym symbolem, takim jaki dla Polaków stanowi Powstanie Warszawskie. Przez wiele lat w Chorwacji samo wymówienie nazwy miasta sprawiało, że wszystkie rozmowy

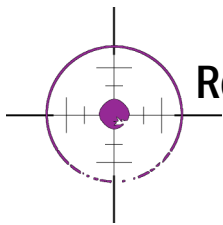
cichły. Do dziś jego obrońcy mają w Chorwacji szczególny status, a samo miasto nazywane jest Miastem-Bohaterem. Wciąż jednak pozostaje otwarte pytanie: dlaczego prezydent Tudman zatrzymał odsiecz dla miasta?

Współcześnie problemy narodowościowe są nadal żywe. Podczas walk mieszkańcy miasta cierpieli - niezależnie od narodowości - ponieważ spadające na miasto bomby nie rozróżniały Serbów od Chorwatów, jednak późniejsze postawy mieszkańców narodowości serbskiej w okupowanym przez stronę serbską mieście nadal kładą się cieniem na stosunkach pomiędzy narodami. Jedni ukrywali swoich sąsiadów przed bojówkarzami, inni zaś denuncjowali ich; sytuacja była podobna do tej jaka miała miejsce na Kresach Wschodnich w czasie drugiej wojny światowej.

Do 1997 roku Vukovar znajdował się w granicach Jugosławii. Na przełomie lat 1997/1998 miasto zostało pokojowo przekazane stronie chorwackiej, zgodnie z porozumieniem zawartym w 1995 w Erducie. Jest to jedyny przypadek na Bałkanach, gdzie dziania ONZ przyniosły pozytywny skutek. Miasto wciąż jest podzielone między Serbów i Chorwatów. Modelowe jugosłowiańskie miasto „Braterstwa i Jedności” cieszące się wieloletnim dobrobytem stało się areną tragicznej, bratobójczej wojny, która pozostawiła trwałe blizny w świadomości wszystkich pokoleń jego mieszkańców.

Serbowie i Chorwaci zamieszkujący współczesny Vukovar nadal chodzą do osobnych kawiarni, osobnych parków; nie mieszkają w tych samych dzielnicach. Ich dzieci co prawda chodzą do wspólnych szkół, ale... na dwie różne zmiany. I właśnie wśród nich pojawiła się nadzieja na ponowne pojednanie mieszkańców miasta, bo właśnie najmłodsze pokolenie niedawno zażądało od władz miasta zorganizowania w Vukovarze wspólnych klas.

Neki novi klinci jak śpiewa Dordje Balasevic...



„Dwójkarz” – płk Włodzimierz F. Gulin

W przenikliwym, oblepiającym wilgocią, zimnie czekaliśmy na przyjazd kolejki metra na stacji Kew, w Londynie. Zdzisław – mój przyjaciel z Warszawy sprawiał wrażenie nieco znudzonego, ja miałem pełną głowę pytań do człowieka z którym mieliśmy się spotkać w ten listopadowy wieczór.

Kilka minut spędzonych w kolejce, przesiadka i dojazd do stacji Sloane Square. Tam przy wyjściu ze stacji metra czekał na nas elegancko ubrany, niewysoki, lekko przygarbiony mężczyzna w doskonałej tweedowej marynarce, kraciastym szaliku i kapelusiku; jego strój j kojarzył się raczej z wyjściem z dubeltówką „na kaczkę”, ale jednocześnie bardzo pasował do konwencji naszej przyszłej rozmowy.

– **Boże, cóż za psia pogoda... Panie Włodzimierzu nie jest Panu zimno w samej marynarce?**

– Och nie, to pewnie kwestia przyzwyczajenia, zresztą do domu nie mamy daleko.

Przeszliśmy kilkaset metrów dzielących stację metra od jego domu. Mimo wieku szedł dziarskim krokiem. Cicha spokojna uliczka, Oakley Street w dzielnicy Chelsea, bliskość Tamizy wzmagała jedynie odczucie wilgotnego chłodu. Błękitna, okrągła tablica na murze informująca o tym, iż w domu tym mieszkał ongiś Captain Robert Falcon Scott, znany polarnik, stanowiła dopełnienie przejmującego zimna, jakie panowało ówczesnego wieczoru. Weszliśmy do dość eleganckiego, niedużego mieszkania, w którym brakowało jednak nieco kobiecej ręki. Usiedliśmy; gospodarz zaproponował herbatę i domowe ciasto.

– **Panie Włodzimierzu, interesują nas wszelkie szczegóły dotyczące Pańskiej kariery wojskowej.**

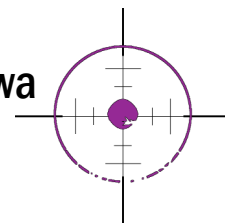
– Hm, no trochę tego było, ale ja zbyt wiele już nie pamiętam...

Ileż to razy słyszałem te sakramentalne słowa: „nie pamiętam...” Oni zawsze „nic nie pamiętali” i zawsze podchodzili do tego, jak do oczywistości.

– **Proszę zacząć od początku, od podchorążówki...**

– Była to Szkoła Podchorążych Rezerwy Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej, gdzieś chyba mam nawet jeszcze odznakę. To była szkoła, w której kształtowano i uczono młodych ludzi nie na ułanów w ślicznych mundurkach z głową w chmurkach, ale oficerów piechoty. Nasz Komentant płk dypl. Ludwik Bociański witający nas na pierwszym roczniku zapowiedział, że nigdy nie zapomnimy dni spędzonych w tych murach, i miał rację. Był zresztą rasowym oficerem - w każdym calu. Bardzo mocno zapisał się w moim życiu, a los nas związał ze sobą na długie lata.

Pamiętam doskonale, jak 17 września 1939 r. na moście granicznym na Czeremoszu w Kutach płk Bociański zastąpił drogę Naczelnemu Wodzowi marszałkowi Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi, zamierzającemu opuścić kraj - w głowie mu się nie mogło pomieścić, że dowódca zostawia żołnierzy... Pamiętam doskonale awanturę, jaka wówczas się wywiązała. Śmigły obsztorcował go, że przekracza swoje możliwości służbowe, bo jakim prawem pułkownik może mówić takie rzeczy marszałkowi...



Bociański zbladł, stwierdził, że Rydz nie jest go-dzien swego stopnia i odszedł gdzieś na bok.

W zamieszaniu, jakie tam wtedy panowało nikt się tym specjalnie nie przejął, ale w kilka chwil później ktoś przybiegł z informacją, że Komendant strzelił sobie w głowę. Kula strzaskała mu kości czaszki, ale jej nie przebiła, ciężko ranny Bociański został przewieziony na drugą stronę granicy, do Rumunii, gdzie został zresztą, jak my wszyscy internowany. Po rekonwalescencji przedostał się do Anglii, ale pomimo wielu prób, nigdy nie uzyskał przydziału służbowego.

- **A co może nam Pan opowiedzieć o szkole?**

- Szkoła jak szkoła. Lubilem ją i lubilem się uczyć, zresztą wszyscy wykładowcy tam byli bardzo wymagający, a o samej szkole powiem może to, że już we własnym gronie mówiliśmy o niej nie jako o „kuźni oficerskich talentów”, ale o... „kuźni oficerów wywiadu”.

- **Co Pan ma na myśli?**

- Oddział II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego składał się - praktycznie cały - z absolwentów naszej szkoły.

- **Pan też parał się tą profesją?**

- A jakże. Dziś to już nie tajemnica, ale pierwsze kontakty z „dwójką” nawiązałem już po pierwszym roku. Bociański bez owijania w bawełnę zaproponował mi, bym rozważył tę kwestię.

- **Zgodził się Pan?**

- Na zastanowienie się miałem dzień; oczywiście rekrutacja odbyła się bez żadnych papierów, dokumentów czynnych formalności. Wystarczało słowo podchorążego i słowo oficera. Prawdę mó-

więc do dziś nie wiem dlaczego Komendant zwrócił na mnie uwagę? Być może wcale nie dlatego, że byłem prymusem swojego rocznika, ale prawdopodobnie z tego powodu, że sprawiałem wrażenie bardzo opanowanego.

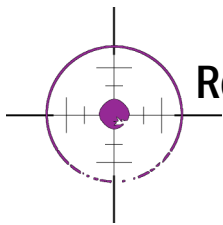
- Pamiętam doskonale swoją promocję. Minister Spraw Wojskowych gen. Kazimierz Fabrycy pasował mnie w 1932 r. na podporucznika. Mam zresztą zdjęcie z promocji, bodaj jedno z dwóch albo trzech fotografii, jakie się ostały z czasu służby. Wartym podkreślenia jest fakt, że to właśnie płk Bociański wprowadził do ceremoniału szkoły mianowanie na pierwszy stopień oficerski przez pasowanie szablą.

- **A co było potem?**

- O, potem dostałem przydział do Kompanii Zamkowej. Służba tam była szalenie prestiżowa, ale i śmiertelnie nudna, choć czasami zdarzały się zabawne momenty.

W latach 1926–1939 pododdział ten był przeznaczony do pełnienia służby wartowniczej w miejscu aktualnego postoju Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Najczęściej w Zamku Królewskim, a koszary tej formacji znajdowały się na Podzamczu Zamku Królewskiego, przy ulicy Bugaj w Warszawie. Służbę wartowniczą pełniono również podczas pobytu Prezydenta w jego rezydencji w Spale oraz podczas prezydenckich podróży.

Ponadto kompania spełniała funkcje reprezentacyjne. Uczestniczyła w uroczystościach powitalnych i pożegnalnych głów państw obcych oraz Asystowała podczas wizyt innych wysokich dostojników.



- Proszę przytoczyć jakieś zabawne epizody z okresu Pańskiej służby w Kompanii Zamkowej

- Jednym z takich mało znanych, ale w moim odczuciu zabawnych epizodów była pierwsza, nie do końca jeszcze oficjalna, wizyta w Polsce regenta Węgier admirała Miklos'a Horthy'ego. Oczywiście wszystko odbyło się w tajemnicy, więc informacja o przybyciu tajemniczego gościa spadła na nas jak grom z jasnego nieba. To była niedziela, więc cisza i spokój, gdy nagle zadzwonił telefon z informacją o tym, że za 15 minut przyjedzie niezwykle ważny gość. Ja wówczas miałem służbę, jako oficer dyżurny. Gdy Horthy przyjechał, ja i chłopcy z Kompanii staliśmy wyprężeni jak struny, on przeszedł wzdłuż szeregu, dokonał przeglądu i mnie jako dowódcy warty wręczył medal - mam go jeszcze. Regent był trochę zdziwiony, że tak młody człowiek go wita, ale widać uznał, że skoro taki młody, to pewnie zdolny, więc szybko awansował. To był rok 1937, a ja byłem wtedy pełnym porucznikiem, do stopnia kapitana awansowano mnie w 1938. Horthy prawdopodobnie spodziewał się powitania przez jakiegoś pułkownika, może nawet generała, a tu zwykły porucznik... Dyplomu do tego krzyża mi jednak Węgrzy nie dali, więc mam go, że tak powiem, „de facto” nie zaś „de jure”. Rok później Horthy był ponownie w Warszawie, nawet mnie poznał, ale drugiego krzyża już nie dostałem...

- A wracając do mniej zabawnych momentów z Pana życia - pomówmy o roku 1939.

- Byłem już wówczas komendantem Kompanii Zamkowej, we wrześniu 1939 r. osobiście towarzyszyłem prezydentowi Ignacemu Mościckiemu w ewakuacji do Rumunii.

- Może Pan powiedzieć coś więcej na ten temat?

- Pamiętam doskonale to, co się wówczas działo... Prezydent Mościcki polecił mi osobiście stanąć pod drzwiami pokoju, w którym odbywała się narada w sprawie przekazania władzy prezydenckiej na ręce gen. Bolesława Wieniawy-Długoszowskiego. Tamtej nocy w Kutach najczęściej do powiedzenia miał Rydz-Śmigły. Otrzymałem polecenie użycia wszelkich środków - łącznie z użyciem broni, gdyby ktoś postronny próbował wejść do pokoju, w którym obradowano.

- Trwała tam bardzo głośna wymiana zdań na temat tego, czego można się będzie spodziewać po Francuzach w ówczesnej sytuacji, ale słowa, które wówczas padały nie nadają się do powtórzenia, zresztą zostałem zobowiązany do zachowania pełnej tajemnicy i nikt mnie z tego obowiązku do dzisiaj nie zwolnił. Dość, że opozycja polityczna z gen. Władysławem Sikorskim na czele, wykorzystwała wtedy wszelkie swoje wpływy w rządzie francuskim, by unieważnić tę nominację.

- Wpierw była Rumunia, a potem?

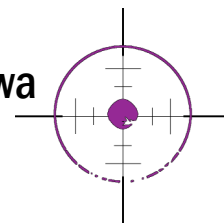
- Potem Francja, ale o niej nawet nie warto mówić, bo to był czas całkowicie stracony. Kiedy już dotarliśmy do Wielkiej Brytanii, tam po okresie prania brudów trafiłem do Wyższej Szkoły Wojennej. Byłem już w stopniu majora, gdy kończyłem IV Kurs Wojenny

- Wspominał pan o sprawach związanych z wywiadem.

- Tak, wówczas już byłem w Oddziale II Sztabu Głównego Naczelnego Wodza. To wbrew pozorom była bardzo ciężka służba.

- Czy mógłby Pan rozwinąć ten wątek?

- Musieliśmy wiedzieć wszystko o wszystkich i wszystkim, nam też patrzono na ręce, a ponadto my sobie nawzajem. To bardzo deprymuje



i powoduje, że po pewnym czasie człowiek zaczyna być podejrzliwy, nawet wobec siebie samego. Cóż, mogę powiedzieć, że mieliśmy pełne ręce roboty; zwłaszcza po śmierci gen. Sikorskiego.

- **Co Pan ma na myśli?**

- Nic specjalnego, ja się tą sprawą nie zajmowałem. Ale atmosfera w Oddziale była fatalna, z reszta rozgrywki polityczne prowadzone m.in. przez prof. Stanisława Kota i jego gorliwie prowadzona akcja „oczyszczania” rządu emigracyjnego i armii z ludzi związanych z sanacją – wszystko to było wystarczająco uciążliwe. W pewnym momencie miałem wrażenie, że naszym wrogiem nie są Niemcy i Rosjanie, ale moi rodacy. W tych okolicznościach z przyjemnością przyjąłem funkcję oficera odpowiedzialnego za kontrwywiad w 1 Dywizji Pancerniej.

- **Próżno Pana szukać na listach personalu Dywizji...**

- Taka służba. Zresztą bardzo pilnowałem tego, aby moje zdjęcie nie pojawiało się nigdzie, wie Pan ja byłem postacią z bezpośredniego otoczenia władz przedwojennych, a wplątanie się w rozgrywki premiera Mikołajczyka i ludowców zupełnie mi nie było potrzebne. Wolałem iść na front.

- **I co Pan tam robił?**

- Obowiązki były rozliczne, od cenzury zdjęć poczynając, aż po badanie nastrojów istniejących w szeregach; od przesłuchań jeńców, po dbanie o to, by nasi oficerowie nie byli – że tak powiem – zbyt kochliwi. Sprawdzanie, kto z kim się kontaktuje i czy goście nie są zbyt dociekliwi. Może to zabrzmiało zabawnie, ale gdy w kwietniu 1944 r. naszą Dywizję odwiedził sam gen. Dwight David Eisenhower, dokonując krótkiej, aczkolwiek bardzo przyjemnej wizytacji, sporządziliśmy raport na temat rozmów jego oficerów z naszymi.

- **Słowem interesowało Pana służbę wszystko. A jakieś szczegóły?**

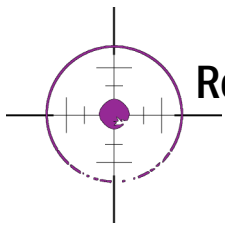
- Pamiętam kwestie kilku dezercji, obawialiśmy się infiltracji przez Sowietów – jak się okazało całkiem słusznie. Wiecie panowie, ludzie mają różne przekonania polityczne, a kwestii kontaktów Mikołajczyka z Sowietami nie dało się zatuszować, ba nawet gazety dla wojska o tym pisały, więc za panowanie nad tymi nastrojami w szeregach walczącego wojska wcale nie było łatwe.

- Panowie, skoro Mikołajczyk od października 1944 r. wiedział o akceptacji przez aliantów linii Curzona, jako przyszłej granicy Polski – przecież o tym wiedziało co najwyżej z 60 osób z najwyższych władz brytyjskich i amerykańskich, to od nich to z pewnością nie wyszło. Mój przyjaciel, który pełnił służbę we Włoszech opowiadał mi później o naciskach ludowców na kwestie pomocy dla armii w Kraju, to nie były dobre gry.

- Osobną kwestią były przejawy np. antysemityzmu występujące w oddziałach – to się zdarzało dosyć często. W lipcu 1944 Dywizja została skierowana pod Londyn, gdzie uzupełniono brakujący jeszcze sprzęt. Liczyła wtedy ponad 800 oficerów i ponad 15.000 szeregowych.

- **Po lądowaniu na kontynencie miał Pan pełne ręce roboty, a co potem?**

- W 1945 r. Dywizja zajęła bazę niemieckiej marynarki wojennej w Wilhelmshaven przyjmując tam kapitulację ich dowództwa. Wcześniej zostały zdobyte Aschendorf i Papenburg, sforsowany został Kanał Küsten. 25 kwietnia rozpoczęto forsowanie Ledy, ostatniej wodnej przeszkody na drodze do Wilhelmshaven. Dywizja wkroczyła do Wilhelmshaven praktycznie bez używania siły, gdyż niemieckie jednostki skapitulowały przed 1. Armią Kanadyjską.



- Udało się nam wtedy wyłowić kilku wyższych oficerów – głównie z SS – byli oni dla nas bardzo cenni. Nie tylko dla nas zresztą. Poddali się Kanadyjczykom, bo jak się potem dowiedziałem bali się ze Polacy rozwalą ich bez sądu. Cywile też bali się naszych żołnierzy, uciekali, chowali się po lasach. Nikt mi nie wmówi, że Niemcy nie wiedzieli o tym, co się działo w czasie wojny w Polsce, skoro byli przekonani, że w odróżnieniu od Amerykanów czy Brytyjczyków, Polacy będą się mścić.

- Kto się jeszcze interesował tymi oficerami SS?

- Wszyscy. Panowie, to już były przymiarki do zupełnie innych rozgrywek, Montgomery prowadził swoją „prywatną” wojnę i załatwiał sprawy po swojemu. Nie lubiłem go, był kabotynem i pyszałkiem, ale pewne kwestie rozgrywał po mistrzowsku. W ostatnich dniach wojny Montgomery przekroczył nieco swe uprawnienia w związku z kapitulacją oddziałów niemieckich na północy Niemiec, ale nikt mu nic nie powiedział, a to, że Eisenhower trochę mu nawymyśla przez telefon to był drobiazg. Amerykanie nie czuli tego, o co wówczas szło – ich prostolinijność bywała wręcz irytująca.

- Po wojnie Montgomery został mianowany dowódcą brytyjskich sił okupacyjnych w Niemczech i członkiem Międzysojuszniczej Rady Kontroli, więc potrzebował wiedzieć więcej na temat Niemców i „odgradzić” się nimi od Sowietów.

- Wspominał Pan o oficerach z SS, może powie Pan coś więcej na ten temat?

- Miałem takiego jednego, zdaje się podpułkownika; barczysty blondyn. Nie był specjalnie rozmowny, więc gdy wyszedłem na papierosa to moi chłopcy go tam trochę poszturchali i gdy wróciłem poskarżył się, że tak nie traktuje się oficerów i nie jest to zgodne z Konwencjami Genewskimi. Przy-

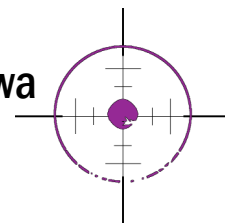
„Dwójkarz” – płk Włodzimierz F. Gulin

znam się szczerze, że gdy to usłyszałem to nie wiedziałem się czy się śmiać czy osobiście mu przyłożyć - on miał czelność mówić nam o Konwencjach i prawach jeńców?!

- Poleciałem moim ludziom wyjść, a gdy zostaliśmy sami powiedziałem mu w oczy z uśmiechem, że mogę go zastrzelić jak psa i nikt się o tym nawet nie dowie, a jeśli nawet się dowie, to o nic nie będzie pytał i że to ja go chronię przed żołnierzami, bo jak oni się dowiedzą kim on jest to nie dożyje świtu. Po tym ditum stał się rozmowniejszy. Nazajutrz przyjechało samochodem dwóch Amerykanów, jeden w garniturze, drugi w mundurze z dystynkcjami kapitana, ale bez naszywek, baretek – tzw. goły mundur – tyle, że w tej służbie jest tak, że stopień na naramienniku o niczym nie świadczy. Amerykanie spytali mnie czy mam tego kogoś; potwierdziłem. Następnie padło pytanie: „kto o nim jeszcze wie?”. Udałem zdziwienie, wtedy ten w garniturze spytał wprost czy wiedzą o nim Anglicy. Zaprzeczyłem, a oni powiedzieli, że go zabierają, jeżeli my już z nim skończyliśmy. Co się z nim później stało? Nie wiem. Zostawiłem sobie na pamiątkę jego Krzyż Żelazny, zresztą tych krzyży miałem sporo, potem po wojnie sprzedawałem je wspierając skromny budżet rodzinny.

- A jak Pan wspomina kontakty z cywilami, wspominał Pan o kochliwości naszych żołnierzy.

- Wyzwalając kolejne miasta czy to francuskie, czy belgijskie i holenderskie staraliśmy się dokładać wszelkich starań, by ich nie niszczyć i nie powodować niepotrzebnych ofiar wśród ludności cywilnej, za co Dywizja i jej żołnierze zdobyli sobie wdzięczność i uznanie tysięcy cywili. Kobiety dosłownie rzucały się naszym



żołnierzom na szyje, były i miłe wieczory, i frontowe romanse, a chłopcy stawali się wtedy rozmowni – niekiedy zbyt rozmowni. Dbaliśmy, by zbyt rozmowni nie byli, bo wciąż toczyła się wojna.

– To samo – co wydawać by się mogło nieco szokujące - dotyczyło Niemek. Pamiętam taki epizod, gdy po walkach o Bredę, stolicę regionu Brabancji, witano nas jak bohaterów. Nasze pojazdy jechały przez miasto, a na nie dosłownie wskakiwały dziewczyny. Naszym żołnierzom specjalnie nie przeszkadzało to, że nie były tak urodziwe, jak dziewczęta z Polski.

– Potem przybyło naszych dziewczyn - w wyzwolonym mieście Haren, położonym w Dolnej Saksonii utworzono polskie miasteczko nazwane „Maczków”. Trafili tam byli więźniowie z niemieckich obozów koncentracyjnych i powstańcy warszawscy z Oberlangen. Wtedy dopiero mieliśmy pełne ręce roboty. Rozpoczęły się powroty do kraju, a Sowietci mieli wśród przyjezdnych swoją agenturę.

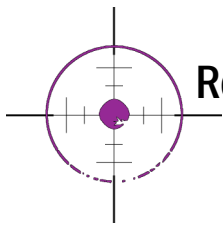
– Zresztą z jeńcami, oswobodzonymi jeńcami to był bardzo poważny problem, bo była to rzesza ludzi, których trzeba było żywić i pilnować. Uznano, że będą odsyłani do swoich krajów macierzystych. Obywateli sowieckich - przy nieprawdopodobnym oporze z ich strony - odsyłano do Związku Radzieckiego, co znamienne ich władze usiłował wymusić na Brytyjczykach oddawanie mim również Polaków z Kresów, uznanych przez Sowietów po 1939 r., za obywateli ich kraju. To się nie udało, bo ich pilnowała już wtedy nasza Dywizja. Ale inne narodowości – w tym Estończycy, Ukraińcy, oraz Litwini i Łotysze zwracali się do nas o pomoc o pomoc – ze sprawdzaniem ich było mnóstwo pracy. Powstała nawet swoista polska strefa okupacyjna na pograniczu niemiecko-holenderskim. Dochodziło do zatargów z aliantami, bo nasi rodacy w swej niefrasobliwości zmienili na nazwę miasteczka Haren na Lwów. Wywołało to prawdziwą

burzę – ja ludziom się nie dziwię, bo tęsknota za domem robiła swoje, ale w ówczesnych realiach było to śmieszne. Ostatecznie miasto zyskało nazwę Maczków.

– Miejscowa ludność była nastawiona do nas wrogo, bo Niemcy nie mogli się pogodzić z tym, że Polacy mieszkają w ich domach. Spodziewaliśmy się początkowo – odnosząc to do własnych reakcji, że Niemcy stawiają nam zbrojny opór, ale nic takiego nie miało miejsca. Choć czytanie napisów na wagonach kolejowych „Nur für Polen” przez np. przybyłych z Warszawy wprawiało w stan nerwowy. Zdarzały się wypadki rękoczynów – bodajże w Aschendorf, ktoś powiesił na rynku informację o kobietach chorych wenerycznie z powodu kontaktów z Polakami. Następnego dnia przeprowadzono szybkie śledztwo – mężowie tych kobiet okazali się bardzo rozmowni i nasi żołnierze wywlekli na ulicę kilku Niemców, którym wytknięto maczanie palców w tej prowokacji na tle zresztą dawnej ustawy o czystości rasy i zostali oni dotkliwie pobici. A poza tym tematem głównym większości rozmów była sprawa czy zostać czy wracać? Wiedzieliśmy doskonale, że to wszystko jest prowizoryczne. Rozpoczęły się też naciski – pamiętam taki zapis w prasie ówczesnej. Brytyjczycy wspierają polskich „reakcjonistów”, tworzących swoje „państwo” w Niemczech – to była ewidentna robota sowieckich służb, zresztą Brytyjczycy byli bardzo podatni na zabiegi sowieckiego wywiadu - po latach okazało się, że sam szef ich kontrwywiadu był agentem sowieckim.

– **Pan nie chciał wracać?**

– Panowie, ja nie miałem możliwości powrotu. Nie po tym wszystkim. Ja doskonale wiedziałem, co by mnie spotkało w kraju. Zresztą jak wielu innych kombatantów zostałem pozbawiony obywatelstwa polskiego.



- A co Pan robił w Wielkiej Brytanii po wojnie? Czy nadal coś związanego z tajną służbą?

- Różne rzeczy, ale jeśli pytają Panowie o wywiad to raczej nie. Miałem rodzinę, trzeba było zapewnić jej utrzymanie – kolekcjonerzy chętnie kupowali poniemieckie „fanty”, a ja tych Krzyży Żelaznych miałem całą skrzynię. Część była w kruszcu, niektóre z kamieniami szlachetnymi – to podbudowywało to rodzinny budżet.

- Nie tęsknił Pan za krajem?

- Panowie, to pytanie jest pozbawione sensu, przecież o niego walczyłem, wiedziałem, że wracać nie ma do czego. Część z naszych wróciła, dla przykładu Franciszek Skibiński, jeden z najbliższych współpracowników generała Stanisława Maczka zdecydował się wrócić do kraju i wstąpić do komunistycznego Wojska Polskiego, został potem w 1951 r. aresztowany i poddany bardzo brutalnemu śledztwu^[1].

- Panowie, ja doskonale wiem, że można złamać na przesłuchaniu absolutnie każdego człowieka, bohaterowie bez skazy o niezłomnym ciele i duchu egzystują tylko w czytankach dla młodzieży. A ja wiedziałem sporo i wiedzę tę zabiorę ze sobą do grobu, bo z tajemnicy mnie nikt nie zwolnił. Oczywiście nikt też głośno nie mówił o tym, co się dzieje w Polsce, oficjalnie pojawiały się sprzeczne informacje na temat tego, co się dzieje w kraju, czy rząd w Londynie zostanie uznany przez świat i tym podobne, ale jak wyglądała prawda, tego nikt głośno nie mówił.

- Przykro było patrzeć jak bliscy ludzie, koleżdy czy wręcz przyjaciele łudzili się, że wywalając kolejne kraje Europy wywalczą niepodległość naszemu krajowi. Wiecie panowie, łatwiej było nam potem przyznać, że zawiedli nas sojusznicy, to samo dotyczyło braku zaproszenia na paradę zwycię-

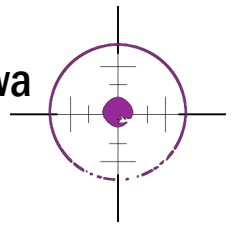
stwa – jako żołnierz nie mogę tego wybaczyć Anglikom do dnia dzisiejszego... Jako oficer wywiadu jednak wiem, że pewne sprawy nigdy nie mogły ujrzeć światła dziennego, a rząd brytyjski kierował się – w przeciwieństwie do naszych polityków – racją stanu.

- Odegraliśmy niezwykle rolę w wielu bitwach - czy to pod Falaise, czy zdobywając Brede, ale nie wolno nam zapominać, że nikt nas nie zdradził, bo nikt nam niczego nie obiecywał. Nie można złamać słowa, gdy się go nie dało. To my sami wmówiliśmy sobie, że Anglicy czy Amerykanie są nam coś winni. Oficerski honor to jedno, a twarde stąpanie po ziemi - to zupełnie inna kwestia.

- Pamiętam jak pewnego dnia przyszedł do kantyny oficerskiej gen. Maczek. Siedliśmy tam i słuchaliśmy jego pogadanki w kwestii aktualnej sytuacji, i tego, co się dzieje w Polsce. On sam zdecydował się na emigrację i przestrzegał przed powrotem do kraju, był załamany – mimo, że tego nie okazywał. W tej atmosferze wówczas panującej w Dywizji nawet na nas – tych paskudnych „dwójkarzy” - patrzono jakby z sympatią... Kolega spytał mnie, czy wracam? Zaprzeczyłem, spytał czy coś wiem na temat tego, co jest w kraju, zmilczałem. Czasem milczenie jest bardziej wymowne.

- Na koniec mamy jeszcze pytanie związane z delikatną kwestią pieniędzy. Czy Pan coś o tym może nam powiedzieć, bo dotarły do nas informacje, iż wielu naszych wyższych oficerów podejmowała znaczne sumy pieniędzy z naszego budżetu państwowego, bo władze emigracyjne nie chciały odsyłać pieniędzy uznanemu przez aliantów komunistycznemu rządowi w kraju.

- Cóż mogę Panom w tym temacie powiedzieć... Część bardziej zaradnych oficerów rzeczywiście podjęła znaczne sumy pieniędzy, że tak powiem „na słowo honoru”. Kupili za nie potem różne



nieruchomości, ale w kilku przypadkach, gdy przedstawiciele Rządu na Uchodźctwie zwrócili się do nich o zwrot powierzonych im środków padły z ich strony słowa w stylu: „jakie pieniądze?”. Panowie, powiem wprost. Myśmy o tym procederze do pewnego stopnia wiedzieli, a ci którym miano zaproponować tego rodzaju układ byli sprawdzani, jednak jak się okazało nie zawsze ludziom z pozoru nieskazitelnym można było ufać. Zaufanie to zresztą bardzo delikatna materia, nauczyłem się tego nosząc mundur.

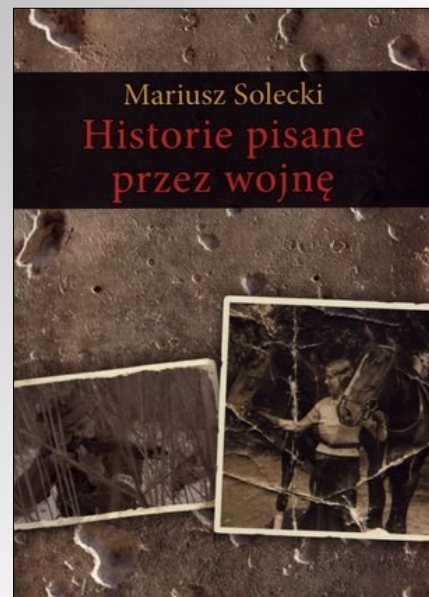
Dopiliśmy resztę zimniej już herbaty, Pan Włodzimierz wyciągnął z szafy kilka wydawnictw poświęconych 1 Dywizji, na wielu fotografiach były jego cenzorskie uwagi i wykreślenia, pokazał nam krzyż, który wręczył mu regent Horthy oraz swój Krzyż Walecznych. Wyciągnął trochę fotografii – tyle tylko, że na żadnej go nie było. Wychoząc z domu pana Włodzimierza i zanurzając się w przenikliwie zimno londyńskiego wieczoru mieliśmy już nieco inną wizję i Wojny Obronnej 1939 r., i tego, co się działo po 1945 r. Gdy dwa lata później - w 2003 r. - usiłowałem umówić się na kolejną wizytę, nikt już w mieszkaniu przy Oakley Street nie podniósł słuchawki telefonu.



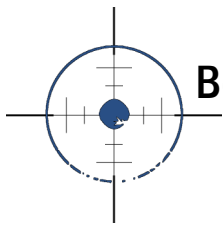
Krzysztof Mroczkowski

- [1] Fr. Skibiński (1899 – 1991), generał dywizji (1988), doktor nauk wojskowych, praktyk i teoretyk nauk wojskowych, dowódca liniowy, sztabowiec i nauczyciel akademicki, autor wielu publikacji. No najbardziej znanych należy książka pt. Pierwsza pancerna wydana w 1979 r. (red.).

Biuletyn poleca



M. Solecki,
Historie pisane przez wojnę,
Warszawa 2015,
ss. 264.



Interwencja policjanta. Prawo czy obowiązek działania?

W styczniowym numerze biuletynu znalazł się artykuł o pewnej policyjnej interwencji^[1], albo jej braku - przybliżonej wypowiedzią sprawcy wykroczenia. Tak przynajmniej wynika z przekazanej informacji. Tak mogło, ale nie musiało być. Lecz jedno nie ulega wątpliwości. Prawo jest dla każdego, a niezajomość prawa szkodzi^[2]. Bez wątpienia zaszkodziło tym osobom, które czując się niewinnymi w całym tym zdarzeniu, zostały ukarane przez sąd w postępowaniu nakazowym. A dlaczego? To okaże się za chwilę.

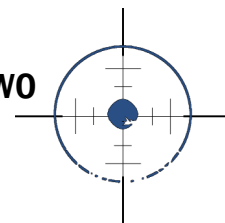
Sądowe postępowanie nakazowe

Postępowanie nakazowe sądu w sprawach o wykroczenia jest szczególnym trybem postępowania. Jest ono unormowane w rozdziale 16 kodeksu postępowania w sprawach o wykroczenia^[3]. Rodzaj spraw o wykroczenia, które mogą być rozpoznane w trybie nakazowym obejmuje jedynie takie wykroczenia, za które ustawa przewiduje karę nagany, grzywny albo kary ograniczenia wolności. Sąd wówczas orzeka na posiedzeniu bez udziału stron. To usprawnia przebieg postępowania. W takiej sytuacji, sąd nie jest obowiązany zawiadamiać o terminie posiedzenia nakazowego strony procesowe, albo ich przedstawicieli. W tym także pokrzywdzonego, jeżeli w sprawie występuje.

Przesłanką zastosowania tego trybu jest sytuacja, w której okoliczności czynu i wina obwinionego nie budzą wątpliwości. Należy sądzić, iż w świetle zgromadzonego materiału dowodowego, sąd wydając wyrok, takich wątpliwości nie miał. Tryb nakazowy nie może być zastosowany do sprawców wykroczeń, którzy są głusi, niemi, niewidomi lub gdy zachodzi uzasadniona obawa, co do ich poczytalności. Takie ograniczenie w studium przypadku nie występuje.

Wydając wyrok nakazowy, sąd uznaje za ujawnione dowody, które zostały dołączone do wniosku o ukaranie. Ma to zastosowanie również do notatki urzędowej, sporządzonej przez funkcjonariusza, który podejmował interwencję. Wyrokiem nakazowym sąd może orzekać o winie i karze. Zgodnie z ustawą, wyrok nakazowy zawiera oznaczenie sądu i sędziego, który go wydał. Także datę wydania wyroku, imię i nazwisko oskarżonego, określenie czynu przypisanego przez sąd oskarżonemu, ze wskazaniem zastosowanych przepisów ustawy karnej, a także wymiar kary. Wyrok nakazowy może nie zawierać uzasadnienia, ale musi zawierać pouczenie o prawie wniesienia sprzeciwu, w terminie zawitym, który wynosi 7 dni od daty doręczenia wyroku.

Wyrok nakazowy, od którego nie wniesiono sprzeciwu lub sprzeciw taki cofnięto, staje się prawomocny (art. 94 § 3 Kpow). Istota takiego wyroku, zatem polega na tym, że sąd nie przeprowadza rozprawy, lecz ocenia te dowody, które dostarcza prokurator lub Policja. Dlatego wbrew informacji „życzliwego” policjanta, wniesienie sprzeciwu, spowodowałoby rozpoznanie sprawy w trybie zwyczajnym (zwykłym). Skuteczne złożenie sprzeciwu powoduje^[4], że wyrok nakazowy traci moc. Wówczas prezes sądu wyznacza termin rozprawy w trybie zwykłym. Co ważne? Sąd rozpoznający sprawę nie jest związany treścią wyroku nakazowego. Nie ma, zatem zakazu orzekania na niekorzyść osoby wnoszącej sprzeciw. Nie można z góry zakładać także, że wniesienie sprzeciwu, stworzy niekorzystną sytuację dla oskarżonego. Sprzeciw jest środkiem zażalenia. Można, zatem, przy rozpoznawaniu sprawy, orzekać surowiej, niż orzeczono w wyroku nakazowym. Ale opierając się na wiedzy i własnym doświadczeniu, napiszę, że orzekający sąd nie kieruje się emocjami.



Podejście emocjonalne, to cecha jednostek, oraz ich zapatrywań, że ten, kto będąc wyżej w hierarchicznej strukturze decyzyjnej, decyduje o wszystkim i ma zawsze rację. Dlatego napiszę następująco. Kończąc problematykę związaną z postępowaniem nakazowym sądu w sprawach o wykroczenia, sąd nie wyrzuca sprzeciwów do kosza. Pozostałe rodzące się wątpliwości, wypada oceniać samemu. Gdyby jednak, wypowiedź taka miała miejsce (... szkoda pisać, bo sąd i tak wywali to do kosza!), to funkcjonariusz ten powinien napisać raport o zwolnienie i odejść ze służby. Jest jeszcze inne wyjście. Jego przełożeni powinni mu to uświadomić, wykazując brak elementarnej wiedzy oraz negatywnego stosunku do władzy sądowniczej. A najlepiej, aby każdy robił swoje. W sposób, jaki wymaga prawo, zasady współżycia społecznego oraz zasady etyki zawodowej policjantów. Wówczas każdy obywatel czułby się bezpieczny.

Czy policjanci zachowali się właściwie?

To proste pytanie, na które niema jednak jednoznacznej odpowiedzi. Każda osoba ma subiektywny stosunek do zdarzeń i obserwowanych zjawisk. Wpływa na to wiele czynników. Świadomość prawna, to jeden z nich. Dlatego podejmując próbę odpowiedzi na wątpliwości mojego rozmówcy, na wstępie napiszę, że zawsze należy wysłuchać dwie strony. Wysłuchać ich relacji i podawane przez nich argumenty, a potem zajmować stanowisko. Ponieważ nie ma możliwości zapytać „drugiej” strony, dlatego próba odpowiedzi będzie miała bardziej charakter akademickich rozważań.

Okoliczności zdarzenia pozwalają mówić, że mamy do czynienia z interwencją (albo jej brakiem) podczas imprezy sportowej. Ustawa o bezpieczeństwie imprez masowych^[5] reguluje wszystkie kwestie z tym związane.

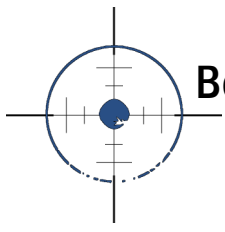
Ustawa z dnia 20 marca 2009 r. o bezpieczeństwie imprez masowych

Rozdział 1 Przepisy ogólne

Art. 1. Ustawa określa: 1) zasady postępowania konieczne do zapewnienia bezpieczeństwa imprez masowych; 2) warunki bezpieczeństwa imprez masowych; 3) zasady i tryb wydawania zezwoleń na przeprowadzanie imprez masowych; 4) zasady gromadzenia i przetwarzania informacji dotyczących bezpieczeństwa imprez masowych; 5) zasady odpowiedzialności organizatorów za szkody wyrządzone w związku ze zorganizowaniem imprez masowych.

Art. 2. Przepisów ustawy nie stosuje się do nieodpłatnych imprez masowych organizowanych na terenach zamkniętych będących w trwałym zarządzie jednostek organizacyjnych podległych, podporządkowanych lub nadzorowanych przez: Ministra Obrony Narodowej, Ministra Sprawiedliwości oraz ministrów właściwych: do spraw wewnętrznych, do spraw oświaty i wychowania, do spraw szkolnictwa wyższego oraz do spraw kultury fizycznej, jeżeli jednostki te są organizatorami imprezy masowej w rozumieniu niniejszej ustawy.

Poprzestając na tak ogólnym odwołaniu się do tego aktu prawnego, wiedząc, jaka była liczebność służby porządkowej (dwóch „ochroniarzy”), możemy domyślać się ilu było kibiców (nie więcej niż 60 osób). Osoby uczestniczące w imprezie masowej są obowiązane zachowywać się w sposób niezagrażający bezpieczeństwu innych osób, a w szczególności przestrzegać postanowień regulaminu obiektu (terenu) i regulamin



imprezy masowej. Zabranie się wnoszenia na taką imprezę oraz posiadania, przykładowo: napojów alkoholowych, środków odurzających lub substancji psychotropowych (art. 8). Ustawa w rozdziale dziewiątym zawiera przepisy karne (Zob. ramka). Możemy w oparciu o ich treść mówić, że pewne zachowania są przestępstwami albo wykroczeniami. W oparciu o ich treść jedno nie pozostawia wątpliwości. Przebywanie w tym miejscu, nawet po piwie lub dwóch, nie jest zagrożone karą. Karalne są inne zachowania, np. niewykonywanie polecenia porządkowego, przebywanie w miejscu nieprzeznaczonym dla publiczności, posiadanie na imprezie masowej (wbrew przepisom ustawy) napojów alkoholowych.

Rozdział 9 Przepisy karne

Art. 54. 1. Kto nie wykonuje polecenia porządkowego, wydanego na podstawie ustawy, regulaminu obiektu (terenu) lub regulaminu imprezy masowej przez służby porządkowe lub służby informacyjne, podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny nie niższej niż 2000 zł.

2. Tej samej karze podlega, kto w czasie trwania: 1) imprezy masowej przebywa w miejscu nieprzeznaczonym dla publiczności; 2) masowej imprezy sportowej przebywa w sektorze innym niż wskazany na bilecie wstępu lub innym dokumencie uprawniającym do przebywania na imprezie masowej i nie opuszcza tego sektora mimo wezwania osoby uprawnionej.

Art. 55. Kto nie wykonuje polecenia wydanego przez Policję lub Żandarmerię Wojskową, w miejscu i w czasie trwania imprezy masowej, podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny nie niższej niż 2000 zł.

Art. 56. Kto wbrew przepisom ustawy wnosi lub posiada na imprezie masowej napoje alkoholowe, podlega karze ograniczenia wolności albo grzyw-

Interwencja policjanta. Prawo czy obowiązek działania?

ny nie niższej niż 2000 zł.

Art. 57. Kto, będąc do tego zobowiązany, nie przekazuje informacji dotyczącej bezpieczeństwa imprezy masowej albo przekazuje informację nieprawdziwą w tym zakresie, podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny nie niższej niż 2000 zł.

Art. 57a. Kto w miejscu i w czasie trwania masowej imprezy sportowej używa elementu odzieży lub przedmiotu w celu uniemożliwienia lub istotnego utrudnienia rozpoznania osoby, podlega karze ograniczenia wolności albo grzywny nie niższej niż 2000 zł.

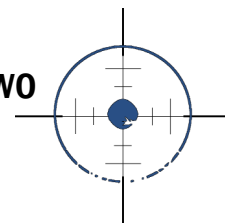
Art. 58. 1. Kto organizuje imprezę masową bez wymaganego zezwolenia lub niezgodnie z warunkami określonymi w zezwoleniu albo przeprowadza ją wbrew wydanemu zakazowi, podlega grzywnie nie mniejszej niż 240 stawek dziennych, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8.

2. Kto, organizując imprezę masową, nie zachowuje wymogów i warunków bezpieczeństwa określonych w art. 5 ust. 2 lub w art. 6 ust. 1, podlega grzywnie nie mniejszej niż 180 stawek dziennych.

3. Tej samej karze podlega, kto będąc członkiem służby porządkowej lub służby informacyjnej, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków powoduje zagrożenie bezpieczeństwa imprezy masowej.

Art. 59. 1. Kto wnosi lub posiada na imprezie masowej broń, w rozumieniu ustawy z dnia 21 maja 1999 r. o broni i amunicji (Dz. U. z 2012 r. poz. 576), wyroby pirotechniczne, materiały pożarowo niebezpieczne lub inne niebezpieczne przedmioty lub materiały wybuchowe, podlega grzywnie nie mniejszej niż 180 stawek dziennych, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.

2. Sąd może orzec przepadek przedmiotów, o których mowa w ust. 1, chociażby nie stanowiły własności sprawcy.



Art. 60. 1. Kto w czasie trwania masowej imprezy sportowej, w tym meczu piłki nożnej, wdiera się na teren, na którym rozgrywane są zawody sportowe, albo wbrew żądaniu osoby uprawnionej miejsca takiego nie opuszcza, podlega grzywnie nie mniejszej niż 180 stawek dziennych, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 3.

1a. Kto w czasie trwania imprezy masowej wdiera się na teren obiektu lub na teren, gdzie prowadzona jest impreza masowa albo wbrew żądaniu osoby uprawnionej miejsca takiego nie opuszcza, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku.

2. Kto w czasie trwania imprezy masowej rzuca przedmiot, mogący stanowić zagrożenie dla życia, zdrowia lub bezpieczeństwa osób przebywających na terenie lub w obiekcie, gdzie odbywa się impreza masowa, albo w inny, równie niebezpieczny sposób zakłóca przebieg tej imprezy, podlega grzywnie nie mniejszej niż 120 stawek dziennych, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2.

3. Karze, o której mowa w ust. 2, podlega ten, kto w czasie i w miejscu trwania imprezy masowej narusza nietykalność cielesną członka służby porządkowej lub służby informacyjnej.

4. Jeżeli sprawca, dopuszczając się czynów określonych w ust. 1–3, używa elementu odzieży lub przedmiotu do zakrycia twarzy celem uniemożliwienia lub utrudnienia rozpoznania jego osoby, podlega grzywnie nie mniejszej niż 240 stawek dziennych, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności od 3 miesięcy do lat 5.

Art. 61. Kto w miejscu i w czasie trwania masowej imprezy sportowej prowokuje kibiców do działań zagrażających bezpieczeństwu tej imprezy, podlega grzywnie nie mniejszej niż 180 stawek dziennych albo karze ograniczenia wolności.

Art. 62. Jeśli sprawca ukarany lub skazany za czyny zabronione, o których mowa w art. 54–61,

w ciągu 2 lat od ostatniego ukarania lub skazania, popełnia ponownie podobne umyślne wykroczenie lub przestępstwo, sąd może wymierzyć karę do górnej granicy jej ustawowego zagrożenia zwiększonego o połowę.

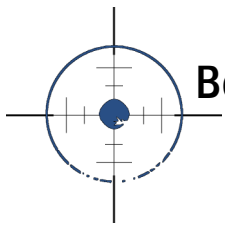
Art. 63. Postępowanie w sprawach o wykroczenia określone w art. 54–57a prowadzi się na podstawie przepisów o postępowaniu przyspieszonym, o którym mowa w rozdziale 15 ustawy z dnia 24 sierpnia 2001 r. – Kodeks postępowania w sprawach o wykroczenia (Dz. U. z 2013 r. poz. 395).

Art. 64. Postępowanie w sprawach o przestępstwa określone w art. 59–61 prowadzi się na podstawie przepisów o postępowaniu przyspieszonym, o którym mowa w rozdziale 54a ustawy z dnia 6 czerwca 1997 r. – Kodeks postępowania karnego (Dz. U. Nr 89, poz. 555, z późn. zm.), o ile zachodzą przesłanki do rozpoznania sprawy w tym postępowaniu.

Art. 65. 1. W razie ukarania za wykroczenie, o którym mowa w art. 50, 51, 52a, 124 lub 143 ustawy z dnia 20 maja 1971 r. – Kodeks wykroczeń (Dz. U. z 2013 r. poz. 482), lub o którym mowa w art. 54–56 niniejszej ustawy, popełnione w związku z imprezą masową artystyczno-rozrywkową, sąd może orzec środek karny zakazu wstępu na imprezę masową na okres od 2 do 6 lat.

2. W razie ukarania za wykroczenie, o którym mowa w art. 50, 51, 52a, 124 lub 143 Kodeksu wykroczeń, lub o którym mowa w art. 54–56 niniejszej ustawy, popełnione w związku z masową imprezą sportową, w tym meczem piłki nożnej, sąd orzeka środek karny zakazu wstępu na imprezę masową na okres od 2 do 6 lat.

3. Orzekając zakaz wstępu na imprezę masową za czyn popełniony w związku z masową imprezą sportową, sąd może orzec wobec ukaranego obowiązek stawiennictwa, w czasie trwania imprezy masowej, w jednostce organizacyjnej Policji lub



w miejscu określonym przez właściwego, ze względu na miejsce zamieszkania ukaranego, komendanta powiatowego (rejonowego, miejskiego) Policji.

4. Sąd określa rodzaje imprez masowych, których dotyczy obowiązek stawiennictwa, o którym mowa w ust. 3, w szczególności rodzaje meczów piłki nożnej, nazwy klubów sportowych oraz jego zakres terytorialny.

5. Obowiązek, o którym mowa w ust. 3, orzeka się na okres od 6 miesięcy do lat 3, nieprzekraczający okresu, na jaki orzeczono zakaz wstępu na imprezę masową.

Art. 65a. Sąd może po upływie połowy okresu, na który orzeczono środek karny określony w art. 65 ust. 1 i 2, uznać go za wykonany, jeżeli ukarany przestrzegał porządku prawnego, a środek karny był w stosunku do niego wykonywany przynajmniej przez rok.

Art. 66. Wobec sprawców przestępstw, o których mowa w art. 59 i 60 niniejszej ustawy, sąd orzeka zakaz wstępu na imprezę masową.

Art. 67. Zakaz wstępu na imprezę masową, o którym mowa w art. 65, dotyczy również meczu piłki nożnej rozgrywanego przez polską kadrę narodową i polski klub sportowy poza terytorium Rzeczypospolitej Polskiej.

Art. 68. Minister właściwy do spraw wewnętrznych, w porozumieniu z Ministrem Sprawiedliwości, określi, w drodze rozporządzenia, sposób wykonywania orzeczonego za wykroczenie albo przestępstwo obowiązku osobistego stawiennictwa w jednostce organizacyjnej Policji lub w miejscu określonym przez właściwego, ze względu na miejsce zamieszkania osoby ukaranej albo skazanej, komendanta powiatowego (rejonowego, miejskiego) Policji, w czasie trwania imprezy masowej, uwzględniając sposób dokumentowania wykonania tego obowiązku.

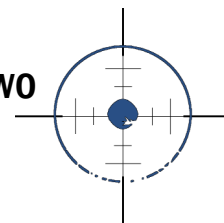
Interwencja policjanta. Prawo czy obowiązek działania?

Ponieważ nawet ukarany nie był w stanie sprecyzować, z jakiego artykułu odpowiadał, toteż, aby nie komplikować sprawy, zajmijmy się policyjną biernością albo bezczynnością. Ponieważ bardzo dużo zostało napisane na temat, jakie czynniki mają wpływ na prawidłowy przebieg policyjnej interwencji^[6], toteż pomińmy te kwestie. Chociaż mogły mieć decydujący wpływ na zachowanie funkcjonariuszy, obserwujących wydarzenia z radiowozu^[7], celowo pominięte zostaną te kwestie.

W sytuacji analizowanego przypadku, bez wątplenia, ci albo inny funkcjonariusze (nieco później) podjęli działania. Mając dowody na złamanie przepisów prawa, wystąpili ze stosownym wnioskiem do

Art. 27. 1. Przed podjęciem służby policjant składa ślubowanie według następującej roty:

"Ja, obywatel Rzeczypospolitej Polskiej, świadom podejmowanych obowiązków policjanta, ślubuję: służyć wiernie Narodowi, chronić ustanowiony Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej porządek prawny, strzec bezpieczeństwa Państwa i jego obywateli, nawet z narażeniem życia. Wykonując powierzone mi zadania, ślubuję pilnie przestrzegać prawa, dochować wierności konstytucyjnym organom Rzeczypospolitej Polskiej, przestrzegać dyscypliny służbowej oraz wykonywać rozkazy i polecenia przełożonych. Ślubuję strzec tajemnic związanych ze służbą, honoru, godności i dobrego imienia służby oraz przestrzegać zasad etyki zawodowej."



sądu, a ten ukarał podejrzanych. Jeżeli by rozpatrywać zdarzenie od początku jego zaistnienia, wydaje się, że funkcjonariusze nie zrobili nic. A co powinni zrobić? Najkrócej mówiąc oraz filozoficznie, to, co w danych okolicznościach było możliwe, aby dochować obowiązku wynikającego z roty złożonego ślubowania.

Rota ślubowania jest na tyle jasna, że nie wymaga komentarza^[8]. Jeżeli zastanowimy się, jaki jest zakres uprawnień Policji^[9] (rozdział trzeci), wówczas dojdziemy do wniosku, że między innymi, te uprawnienia pozwalają realizować podstawowe zadania Policji. Zostały one przybliżone w styczniowym biuletynie. Czy policjanci zachowali się właściwie? Nad tym najlepiej zastanowić się samemu. Tak czy inaczej, służba zobowiązuje. Wątpliwości pozostają niewyjaśnione.

Postępowania policjanta w przedmiocie legitymowania

Na postępowanie policjanta przystępującego do legitymowania osoby w ramach podejmowanych czynności służbowych, zawsze należy spojrzeć wieloaspektowo^[10]. Legitymowanie to część interwencji, a okoliczności ich podejmowania są różne^[11]. Ograniczając tylko wypowiedź, jak powinien zachować się policjant, należy powiedzieć, że powinien się wylegitymować. Chociaż za taką potrzebą mogą przemawiać względy grzecznościowe, to zgodnie z Rozporządzeniem Rady Ministrów z dnia 26 lipca 2005 r. w sprawie sposobu postępowania przy wykonywaniu niektórych uprawnień policjantów^[12], każdy policjant przystępując do czynności służbowych jest obowiązany:

- podać swój stopień, imię i nazwisko w sposób umożliwiający odnotowanie tych danych,
- policjant nieumundurowany podaje stopień, imię i nazwisko i ponadto okazuje legitymację służbową, a na żądanie osoby, wobec której

podjęto czynności, umożliwia odnotowanie danych w niej zawartych,

- podać podstawę prawną oraz przyczynę podjęcia czynności służbowej,
- po zakończeniu wykonywania czynności służbowych poinformować osobę, wobec której je podjęto, o prawie złożenia zażalenia do właściwego miejscowo prokuratora na sposób przeprowadzenia tych czynności,
- przestrzegać prawa, procedur oraz zasad etyki zawodowej policjanta^[13].

 Jan Swół

Przypisy

- [1] J. Swół, Policyjna interwencja – studium przypadku, e-Terroryzm.pl, z 2015, nr 1 (37)
- [2] J. Swół, Prawo jest dla każdego. Nieznajomość prawa szkodzi, e-Terroryzm.pl, z 2012, nr 9, s. 38-49.
- [3] Ustawa z dnia 24 sierpnia 2001 r. Kodeks postępowania w sprawach o wykroczenia (t.j. Dz. U. z 2013 r., poz. 395 ze zm.)
- [4] Skutecznie należy tak rozumieć, że sprzeciw został złożony z zachowaniem terminu, wiadomo, od kogo pochodzi, a z jego treści wynika, iż ukarany nie zgadza się z wydanym wyrokiem w tej sprawie. Zatem sprzeciw może napisać każdy, mając gwarancję, że nikt pisma tego, nie wyrzuci do kosza.
- [5] Ustawa z dnia 20 marca 2009 r. o bezpieczeństwie imprez masowych (tekst jedn. Dz. U. z 2013, poz. 611 ze zm.)
- [6] J. Swół, Prawo jest dla każdego..., wyd. cyt., s. 39 i nast.
- [7] Na marginesie jedno spostrzeżenie. Kiedyś, jak przyszło mi realizować zadania służbowe o podobnym charakterze, funkcjonariusz musiał być na zewnątrz radiowozu. Bo powinien być widoczny.
- [8] T. Hanausek, Ustawa o Policji. Komentarz, Kraków 1996, s. 71.
- [9] Zob. A. Kowalczyk, M. Pisiewka, Uprawnienia funkcjonariusza Policji w zakresie użycia lub wykorzystania środków przymusu bezpośredniego i broni palnej, BP i RD KGP, Warszawa 2013.
- [10] P. Chmielewski, Niebezpieczna służba policjanta w aktach, SP Katowice 2012.
- [11] M. Szawelski, A. Thiel, Legitymowanie, SP Słupsk 2011.
- [12] Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 26 lipca 2005 r. w sprawie sposobu postępowania przy realizacji niektórych uprawnień policjantów (Dz. U. z 2005, nr 141, poz. 1186)
- [13] M. Szawelski, A. Thiel, Legitymowanie..., wyd., cyt., s. 9.

Co czytają studenci? Coroczne badania poziomu czytelnictwa w Polsce są zatrważające. Okazuje się, że Polacy coraz rzadziej sięgają po książkę, wybierając Internet, jako podstawowe źródło informacji i rozrywki. Grupą, która w tych mało optymistycznych statystykach wypada nie najgorzej, są studenci, dla których książka wciąż nie jest czymś obcym^[1]. Według danych, do ani jednej książki w roku 2010 nie zajrzało aż 56% Polaków^[2]. A co wynika z eksperymentu?

Cel eksperymentu

Najprościej mówiąc, eksperyment, to jedna z metod uzyskiwania informacji. W kryminologii taką metodą uzyskujemy informacje np. o popełnionych przestępstwach^[3]. Eksperyment w kryminalistyce jest czynnością przeprowadzaną w ramach procesu przez organ procesowy^[4]. Jego celem jest sprawdzenie okoliczności mającej istotne znaczenie dla prowadzonej sprawy. Eksperyment weryfikuje możliwość nastąpienia zdarzenia w jego ujęciu dynamicznym, tzn. sprawdzając jego przebieg^[5]. Ten eksperyment wykazuje związek z kryminologią oraz kryminalistyką. Jaki? Mianowicie taki, że prowadzony był w ramach przedmiotu: Kryminologia i kryminalistyka.

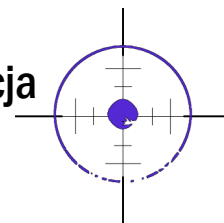
Najogólniej mówiąc, eksperymenty wykonuje się w celu potwierdzenia lub sfalsyfikowania określonego założenia. Dla tego eksperymentu cel podyktowało życie, a ściślej rzecz ujmując, wypowiedzi studentów w anonimowej ankiecie. Studenci studiów stacjonarnych oraz niestacjonarnych zostali kiedyś poproszeni o udzielenie kilku informacji związanych z przedmiotem Kryminologia i kryminalistyka. Informacje zwrotne, były bardzo istotne, gdyż przedmiot ten prowadzony był po raz pierwszy przez piszącego, według wymagań określonych krajowymi ramami

Książka obca studentowi?

kwalifikacyjnymi (KRK). „Debiut” wypadł fatalnie. Choć do zaliczenia wszystkich efektów wystarczyło przeczytać, co nieco z podręczników. Dużo przydatnej wiedzy, zostało zawarte w artykułach (także napisanych przez studentów, dla studentów) opublikowanych w biuletynach e-Terroryzm.pl^[6].

Potrzebę badań podyktowało życie. Część informacji przekazanych przez studentów, okazała się w wysokim stopniu niewiarygodna. Gdyby tyle godzin spędzili nad literaturą, co deklarowali, egzamin nie byłby czasem okrutnej prawdy i bardzo wielu rozczarowań. W grupie studentów studiów niestacjonarnych, nikt nie zaliczył wszystkich sześciu efektów. Wśród studentów studiów dziennych, zaliczyły tylko dwie osoby. Należy w tym miejscu przypomnieć, że jedynie zaliczenie wszystkich (sześciu) efektów na ocenę pozytywną, pozwalało wystawić pozytywną ocenę w protokole. Była ona średnią ocen za poszczególne efekty.

Uznając swoją nieudolność, jako nauczyciela akademickiego (ocena, z którą nie zgadzam się, z zarazem nie zamierzam komentować szerzej) wyciągnąłem wnioski. Jeden z nich to taki, że **ekonomia jest wrogiem edukacji**^[7]. Inny to taki, że po zmianach w procesie edukacji na kierunku^[8], w drodze eksperymentu, podjęta została próba ustalenia, kiedy oraz z jakich opracowań studenci korzystają, aby przyswoić i ugruntować wiedzę przygotowując się do zaliczenia z tego przedmiotu. Konieczność dalszych badań wynikała między innymi z faktu, że tylko rzetelna informacja, pozwala podejmować adekwatne do potrzeb działania usprawniające proces nauczania. Zarówno ze strony wykładowcy, jak również w szerszym wymiarze. Uważam, że rzetelna wiedza (zbliżona do prawdy informacja) pomaga w działaniu, a nie szkodzi podejmowaniu właściwych decyzji. Myślę o korzyściach ekonomicznych w skali makro, a nie mikro (doraźnych, indywidualnych).



Czas i przebieg eksperymentu

Wpisanie wyników egzaminu do protokołu^[9], można uważać, za datę decyzji o dalszych badaniach. Było to w lutym 2014 roku. Za datę zakończenia badań w ramach tego eksperymentu, należy przyjąć datę egzaminu z tego samego przedmiotu (10.02. 2015).

Eksperyment odbywał się z udziałem studentów studiów dziennych. Podczas pierwszych zajęć, studenci uzyskali wyczerpującą informację zarówno o przedmiocie, jak również o warunkach jego zaliczenia. Mieli możliwość wypowiedzieć się, czego oczekują od prowadzącego zajęcia oraz zapewnienie, że zostanie to uwzględnione. Innymi słowy, mają wpływ na przebieg zajęć. Zgodnie z dokonanymi ustaleniami, student w każdej chwili mógł zadać pytanie, albo też podzielić się swoimi wątpliwościami. Innymi słowy, zawarta została „umowa” do przestrzegania, której zobowiązali się wszyscy. Wykładowca oraz studenci. W praktyce oznaczało to, że każdy ze studentów ma prawo być w błędzie. Co może być jeszcze istotne? Ma prawo nie wiedzieć, albo błędnie oceniać, bez negatywnych dla siebie skutków (np. prób ośmieszania przez innych). W tym zakresie umowa była przestrzegana. Nie zaobserwowałem złośliwych uwag czy komentarzy.

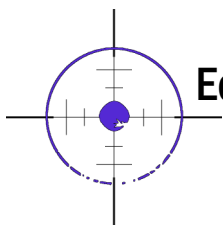
Innym jeszcze uzgodnieniem to, możliwość aktywnego wpływania na przebieg zajęć. W trakcie zajęć przewidziany był czas na indywidualne wystąpienia studentów (prezentacje) oraz dzielenie się wątpliwościami (uwagami) odnoszącymi się do problematyki, która była poruszana podczas poprzednich zajęć. Udostępniane studentom prezentacje z zajęć (slajdy) zawierały informacje odwołujące się do autorów, literatury, a nawet stron, na których omawiane były treści objęte programem nauczania. W mojej ocenie, znacząco ułatwiało to analizowanie poruszanej problematyki po zajęciach, w ramach aktywności własnej.

Co istotne? Każde następne zajęcia, zaczynały się od pytania, co studenci przeczytali lub co było dla nich niezrozumiałe z tego, co czytali. Nie było pytań, nie było też wątpliwości. Jedynie niewerbalnie potwierdzana informacja, że na czytanie (przygotowanie się do zaliczenia) jest jeszcze czas. Do dnia, w którym respondenci zostali poproszeni o wypełnienie ankiety (9 zajęcia po 2 godz.), żaden ze studentów nie przekazał informacji, że czytał literaturę o tematyce związanej z przedmiotem.

Słuchacz słucha, student studiuje. Są to dwa różne stany faktyczne. Po zajęciach poprzedzających zaliczenie, fakty takie nie pozostawiały wątpliwości, że w kolejnej grupie poddanej badaniom, było bardzo dużo słuchaczy. **Ilu studentów studiuje?** To pytanie może stanie się inspiracją do innych badań, niekoniecznie na uczelni, która kształci praktycznie.

Mój eksperyment, kontrolowany w sposób przybliżony wcześniej, zakończony został w dniu 10 lutego 2015 roku. Przystępując do zaliczenia, studenci poproszeni zostali o podanie autora oraz tytułu książki, z której przygotowywali się do egzaminu. Informacjom (wypowiedziom) na ten temat można przypisać większą wiarygodność^[10]. Informacje zwrotne nie napawają optymizmem. Dlatego też wyniki, które podane zostaną za chwilę, poddaję pod rozważenie nauczycielom akademickim oraz słuchaczom na studiach wyższych. Moje obserwacje, nie pozwalają na przyjęcie tezy, że wszyscy na uczelniach to studenci, biorąc aspekt naukowy. Z punktu widzenia ekonomicznego tak. Bo ten, kto płaci czesne, niewątpliwie jest studentem. Zakładam, że w gronie słuchaczy, są także takie osoby, które korzystają z dotacji budżetowych państwa.

To, co zostało napisane przed chwilą, pozwala spostrzeżać istotną różnicę pomiędzy słuchaczem, a studentem. A to, co napiszę w następnym zdaniu, może będzie kontrowersyjne, ale będzie odzwierciedlać mój szacunek dla własnej pracy, na rzecz edukacji dla bezpieczeństwa. A także, po części troskę, abym mógł żyć bez obaw o własne bezpieczeństwo,



które zapewnią absolwenci szkół wyższych oraz uniwersytetów. Zatem, uczelnie dla słuchaczy, dyplomy dla studentów.

Z czego uczą się studenci i jak długo?

Na wstępie napiszę, że informacje zawarte w teście egzaminacyjnym, nie były dla mnie zaskoczeniem. Chyba, że za taką informację uznać następująca wypowiedz z uwagi na jej szczerłość. *Niestety nie przeczytałem żadnej książki, do egzaminu uczyłem się z materiałów udostępnionych przez pana doktora oraz z materiałów udostępnionych studentom.*

Student ten na przygotowanie się do zaliczenia zajęć poświęcił 4 godziny lekcyjne. Biorąc pod uwagę, końcową ocenę z zaliczonych efektów (bardzo dobry) można zakładać różne hipotezy. Lecz tworząc je dla celów naukowych, wypada uwzględnić, że student ten (studentka) brał udział w 90% zajęć. Pobieźna nawet analiza korelacji pomiędzy obecnością, a oceną z zaliczenia zdaje się jeszcze raz potwierdzać, że obecność podczas zajęć (postrzegana nawet niekiedy, jako bierna) pozwala dysponować większym zasobem wiedzy i informacji przydatnych do pomyślnego zaliczenia przedmiotu. Kończąc te refleksyjną część, którą życzliwie poddaję pod uwagę, nie tylko studentom, pora odnieść się do informacji przekazanych przez przystępujących do zaliczenia.

Do zaliczenia przystąpiło 56 osób, a wśród nich:

- 16 studentów to cudzoziemcy,
- 40 studenci z Polski.

W grupie tej 6 studentów nie udzieliło informacji (nie wypowiedziało się w ogóle). Wszyscy byli studentami z Polski.

Wszyscy przystępujący do zaliczenia przedmiotu, poproszeni zostali o podanie autora (ów) oraz tytułu opracowania, z którego korzystali, a także podanie liczby godzin lekcyjnych, jakie przeznaczali na

Książka obca studentowi?

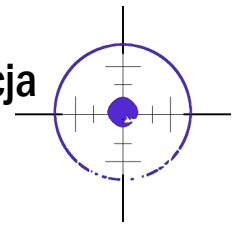
przygotowanie się do zaliczenia przedmiotu. W badanej grupie: 13 osób nie wypowiedziało się, co do liczny godzin, które przeznaczali na czytanie (4 osoby to cudzoziemcy). Pozostali przeznaczali od 2 do 20 godzin lekcyjnych. Osoba, która uczyła się najdłużej, do zaliczenia **problematyki kryminalistycznej** korzystała z podręcznika **Kryminologia**, prof. Brunona Hołysta. Autor i tytuł dzieła jak najbardziej poprawny. **Problem w tym, że to inna dyscyplina naukowa.** Co o tej wypowiedzi należy sądzić?

Inny student przez 6 godzin przygotowywał się do zaliczenia przedmiotu z Kodeksu karnego? I nie był to cudzoziemiec. Co o tych wypowiedziach sądzić? Jak się wydaje, na tym etapie (przystępując do zaliczenia), student powinien mieć tego świadomość, że korzysta z mało przydatnej literatury, chociaż wykazującej związek z kryminalistyką. Nasuwająca się w tym miejscu teza jest następująca. Być może, osoby te mają problem z czytaniem ze zrozumieniem. Przypuszczenie takie, wynika z moich badań oraz jeszcze innych eksperymentów przeprowadzonych wcześniej. Ale do rzeczy.

Z wypowiedzi dowiedziałem się np., że prof. T. Hanausek jest autorem podręcznika *Kryminologia i kryminalistyka*. Na te i inne wypowiedzi, co do nazwisk autorów, podręcznika należy spojrzeć przez pryzmat informacji przekazywanych studentom, a dotyczących literatury. Ma się rozumieć, że chodzi o literaturę obowiązkową oraz uzupełniającą podawaną na bieżąco podczas zajęć.

Literatura obowiązkowa oraz uzupełniająca była także omawiana na ich samym początku, w ramach wykładu wprowadzającego do przedmiotu. Ma to odzwierciedlenie w Karcie przedmiotu oraz Sylabusie. Co zatem czytają studenci i jak długo?

To, co deklarowali studenci, ma odzwierciedlenie w teście zaliczeniowym. Ponieważ te dane nie zostały podane anonimowo, należy im przypisać wysoką przydatność informacyjną. Chyba, że założymy, że były takie osoby, które podały coś dla przyzwoi-



Książka obca studentowi?

tości. Wychodząc z założenia, że student czytać powinien. Ale to, można sprawdzić. Osobiście tego nie zamierzam. Ale zakładając wariant optymistyczny, w ujęciu statystycznym (czytanie czegokolwiek – uwaga J.S.), w grupie poddanej eksperymentowi, „statystyczny” student ^[11] oddawał się lekturze przez 6,45 godz. Wyższą średnią mają cudzoziemcy (7,5 godz.), podczas gdy polskim studentom, tak samo liczona średnia (także deklarowana) minimalnie przekroczyła 6 godz. Wielkości te, zostały uśrednione, po uwzględnieniu wypowiedzi 30 studentów polskich oraz 12 cudzoziemców. Ile godzin na pracę własną (studentów) w ramach tego przedmiotu przewidują ministerialne założenia?

Próba wyciągnięcia wniosków

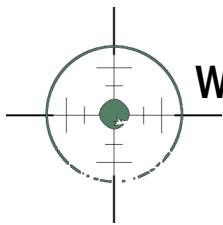
Wnioski nie mogą napawać optymizmem. Przy najmniej z perspektywy widzianej przez autora. Tym bardziej nie są one optymistyczne, że studentom stworzone zostały możliwości rozwoju intelektualnego^[12]. Parafrazując natomiast wypowiedź prof. Józefa Wójcikiwicza, napiszę tak. Aby coś wiedzieć, należy coś przeczytać. A jeżeli i czytanie sprawia trudność, warto skorzystać z wiedzy i doświadczenia wykładowców. Złożona problematyka szeroko rozumianego bezpieczeństwa oraz edukacji na jego rzecz, wymaga wielowątkowych analiz, dyskusji oraz badań. Jednakże potrzeby edukacyjne studentów, z różnych powodów, takiemu procesowi jeszcze nie służą^[13].

 Jan Swół

Przypisy

[1] J. Matuła, Książka jest studentowi obca?, http://naszymzdaniem.dlastudenta.pl/artukul/Ksiazka_jest_studentowi_obca,110732.html – dostęp 22.02.2015.

- [2] My Polacy nadal czytamy mało, <http://bliczek.pl/my-polacy-nadal-czytamy-malo/> - dostęp 22.02.2015.
- [3] J. Błachut, A. Gaberle, K. Krajewski, Kryminologia, Gdańsk 2007, s. 228.
- [4] T. Hanausek, Zarys taktyki kryminalistycznej, Warszawa 1994, s.128.
- [5] Tamże, s. 129.
- [6] Szerzej: J. Swół, W konfrontacji z rzeczywistością, e-Terroryzm.pl, nr 4 (28), kwiecień 2014.
- [7] Podczas jednego z seminariów doktoranckich, prof. Tadeusz Hanausek mówił o zagrożeniach wynikających z faktu, że rachunek ekonomiczny, będzie musiał uwzględniać dochody każdej uczelni z prowadzenia odpłatnych studiów. Innymi słowy, mniej studentów, to mniejsze wpływy. A przecież nikt myślący rozsądnie, nie będzie rezygnował z takiego źródła dochodu. Jeżeli dobrze zinterpretowałem Jego wypowiedź, w takiej zależności widział zagrożenia dla poziomu edukacji. Z punktu widzenia autora artykułu, poziom ten pozostawia wiele do życzenia. To piszę będąc świadomy kiedyś własnej niedoskonałości, jako studenta, a obecnie nauczyciela akademickiego. Nikt nie ma monopolu na wiedzę. Dlatego kiedy to jest tylko możliwe, staram się korzystać z wiedzy i doświadczenia innych.
- [8] Zrównano liczbę godzin studentów studiów stacjonarnych oraz niestacjonarnych, w miejsce wykładu wprowadzono konwersatorium. Zajęcia prowadziło dwóch wykładowców. Autor prowadził zajęcia z grupą studentów studiów stacjonarnych. Grupa ta poddana została sprawdzianowi, w ramach przybliżanego eksperymentu.
- [9] Które w jaskrawy sposób odbiegały od wyników egzaminów z innych przedmiotów, prowadzonych według tych samych zasad, tj. Krajowych Ram Kwalifikacyjnych.
- [10] Przystępując do zaliczenia przedmiotu, została przekazana informacja, że dane podane w wypowiedzi ankietowej tydzień wcześniej, nie odpowiadają prawdzie. Twierdzenie to zostało uzasadnione. Przystępujący do zaliczenia przedmiotu, poproszeni zostali o podanie rzetelnych danych dot. autora oraz tytułu dzieła, z którego przygotowywali się do zaliczenia, z przedmiotu Kryminologia i kryminalistyka. Uzasadnienie prośby – adresowanej do przystępujących do zaliczenia - wydaje się dla autora wiarygodne (uzasadnione). Podanie autora oraz podręcznika, pozwoli oceniającemu uwzględnić różnice występujące w zapatrywaniu autorów tych opracowań na niektóre kwestie w ramach kryminalistyki.
- [11] Wielkości obejmują 42 wypowiadające się osoby. Może jeszcze jedna informacja uzupełniająca. Były osoby, które podały autora oraz tytuł dzieła, lecz nie wypowiedziały się na temat czasu korzystania z niego (czytania).
- [12] Mam tu na myśli rozwój zainteresowań w ramach kół naukowych, uczestnictwa w konferencjach naukowych, możliwość publikacji chociażby w tym biuletynie, który otwiera możliwości rozwoju naukowego.
- [13] Zob. J. Swół, Bezpieczeństwo wewnętrzne. Praktyczny przewodnik. Techniki interwencji- materiały do ćwiczeń, Rzeszów 2014, s. 12-23.



Nielegalowie – zawodowcy i amatorzy

W swoich wspomnieniach Marcus „Misza” Wolf, wieloletni szef HVA (*Hauptverwaltung Aufklärung*), czyli wschodnioniemieckiego Głównego Zarządu Wywiadu, przy Ministerstwie Bezpieczeństwa Państwowego (*Hauptverwaltung Aufklärung*), znanym także jako Stasi miał na myśli stosowaną przez jego podwładnych operacyjną metodę „Romeo”. W całej Europie oficerowie i agenci wschodnioniemieckiego wywiadu mieli szukać „naprowadzeń” na samotne, najlepiej porzucone kobiety pracujące, nawet jeśli były tylko sekretarkami, w instytucjach interesujących NRD-owski wywiad. Specjalnie przeszkoleni nielegalowie „Miszy”, najczęściej pod obcą flagą – udając obywateli NRF (RFN), Austrii czy Norwegii – uwodzili, zwykle starsze od nich partnerki, które potem zdradzały Romeom - świadomie lub nie - najściślej strzeżone sekrety polityków i wojskowych oraz urzędów państwowych.

We wschodnioniemieckim wywiadzie nazywano ten proceder: „opieką intymną”. Marcus Wolf, będąc już na zasłużonej emeryturze, jeśli o takowej można mówić w przypadku byłych szefów wywiadów, współczuł, zapewne nieszczerze swoim Romeom, pisząc: – *Kiedy zastanawiam się nad tym, jaki wkład wnieśli w nasze sukcesy i jakie ponieśli konsekwencje, muszę stwierdzić, że czasami zapłacili wysoką cenę – złamanych zostało wiele serc, zniszczonych wiele karier. Zadumać się tylko można i westchnąć - ludzki z tego wyrachowanego i wyjątkowo skutecznego zwierzęcia wywiadu jednak był ten pan, o którym jeden z polskich autorów książek poświęconych operacjom specjalnym zwykł mawiać: – jak zwykle łyże jak pies. A jak to było u nas w czasach słusznie minionych?*

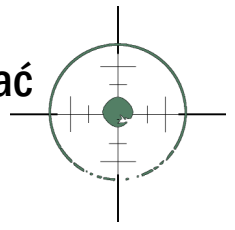
Władysław Bułhak i Patryk Pleskot, dwaj historycy z Instytutu Pamięci Narodowej w swojej, wyda-

... ścisły związek szpiegostwa i historii miłosnych nie jest wymysłem prasy ani tajnych służb i trwa od wieków, jak najstarszy zawód świata... jak długo będzie istnieć szpiegostwo, tak długo będą „Romeowie” uwodzący *Julie*, które mają dostęp do tajemnic.

Marcus Misza Wolf szef wywiadu NRD

nej w wydawnictwie ZNAK HORYZONT co najmniej intrygującej książce pt. „Szpiegzy PRL-u” przytaczają słowa pułkownika Henryka Bosaka, ówczesnego szefa organizacji partyjnej wywiadu MSW skierowane do młodszych kolegów drugiego najstarszego zawodu świata w czerwcu 1976 w czasie protestów w Radomiu, Ursusie i Płocku:

Kawaler interesu nie zamknie sobie na kłódkę! A na przyjaciółkę nie starczy mu z pensji. Będzie musiał korzystać z dziewczyn podstawionych mu przez wrogi kontrwywiad... Niestety utrzymują go robotnicy, dziś właśnie strajkujący! Pomijając słowa te są dobitnym przykładem politycznych priorytetów, którymi kierowały się służb specjalne PRL, ale także i tego, że Bosak dobrze wiedział o czym mówi, wszak służby tak cywilne jak i wojskowe oraz Milicja Obywatelska korzystały permanentnie z usług pań do towarzystwa (nie słyszałem, o takich co odmówiły), które w zamian za przyzywanie oczu na ich proceder pracowały na drugi etat na przykład w kontrwywiadzie, zlecającym im obsługę cudzoziemców podejrzanych o działalność szpiegowską, wyciąganie od nich intymnych zwierzeń i tajemnic w lokalach naszpikowanych mikrofonami i kamerami czy też umożliwiając sfotografowanie zawartości ich teczek z dokumentami. Zdobyte



Nielegalowie – zawodowcy i amatorzy

dzięki współpracy z damami nie najcieńszych obyczajów materiały były źródłem cennych informacji lub mogły być wykorzystane przez służby do skompromitowania lub szantażowania figuranta i przeciągnięcia go na swoją stronę. Ludzie resortu nazywali to „pogotowiem seksualnym”.

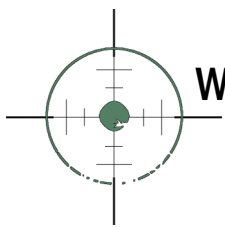
Rozpoczęcie recenzji książki barwnie opisującej losy i szpiegowską działalność nielegalistów PRL-u – elity każdego wywiadu – dziewięciu mężczyzn i jednej kobiety od tego aspektu ich tajnej aktywności wydaje się tylko z pozoru nie na miejscu zwłaszcza, że dotyczy tylko jednej z naszkicowanych na jej kartach postaci. Czyż jednak sam wywiad – jego szefowie z centrali i oficerowie prowadzący nie byli, są i nie będą jak owi Romeowie uwodzący Julie – przyszłych oficerów wywiadu, agentów czy tajnych współpracowników. Miłość w tych pełnych wyrzeczeń i rozczarowań związkach była zwykle nieodwzajemniona, udawana, nieszczerą i jednostronna. Pozory partnerstwa zachowywano tak długo jak długo Julie zaspokajały potrzeby niewiernego Romea. Bardzo rzadko związki te przetrwały próbę czasu. Najczęściej rozpadały się gwałtownie po burzliwym romanse. Jednak miłość, zwłaszcza ta od pierwszego wejścia jak wiadomo bywa zwykle ślepa, a zauroczenie osłabiające zdolność właściwej oceny sytuacji sprawiała, że Julie, decydowały się wbrew zdrowemu rozsądkowi z bezgranicznym zaufaniem gorliwie wykonywać szpiegowskie zadania, podejmowały ryzykowną grę z żarliwym zaangażowaniem, poświęcając na ołtarzu służb specjalnych swoje życie rodzinne, prywatne, bliskich, przyjaciół, kariery, marzenia i często z sobie tylko znanych powodów wciąż kontynuowały ten niekiedy śmiertelnie niebezpieczny romans.

Nie zapominajmy też, że w historii wywiadów były także Julie uwodzące Romeów lub planujące koronkowe gry operacyjne. Wystarczy wspomnieć Matę Hari czy rodzimą Julię Brystiger, „Lunę”, dy-

rektor Departamentu V i III stalinowskiego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i rolę, jaką odegrała w operacji „Cezary”, czyli próby utworzenia fikcyjnej struktury niepodległościowego podziemia tzw. V Komendy lub V Zarządu Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, którą miał kierować aresztowany generał „Nil” - August Emil Fieldorf. Odrzucając propozycję uczestnictwa w tej mistyfikacji były organizator i dowódca KEDYW-u Armii Krajowej wydał na siebie wyrok śmierci.

W rozdziale Franciszek Czajkowski „Opal”. Wywiadowcza love story i inne romanse - autorzy Szpiegów PRL-U przytaczają fragment służbowej notatki powstałej po rozmowie jego przełożonego z sekcji I Wydziału I (wywiad) MBP z szefem podstawowej organizacji partyjnej wydziału o niepokojących ich zachowaniu i zwyczajach Opala - *Towarzysz Piasecki mówił, że Towarzysz Czajkowski jest na pozór cichy pracownik, ma spokojny charakter, tak, że nie wygląda zewnętrznie na takiego.... chodzi tu o meritum sprawy, czyli ma za dużo kobiet.*

„Misza” Wolf zapewne zacierałby ręce i knuł jak wykorzystać doświadczenie podwładnego w miłosnych podbojach w operacjach wywiadowczych. Można przytoczyć w tym miejscu znany dowcip o kelnerze, który kiedy usłyszał od gościa restauracji, że: – „Lepsze zupki się jadało,„ odpowiedział najuprzejmiej jak tylko potrafił – Ale nie u nas łaskawy Panie, nie u nas”. Obaj rozmówcy zgodnie uznali tę nadmierną skłonność i łatwość w uwodzeniu płci nadobnej za zagrożenie, a nie potencjał do wykorzystania w pracy wywiadowczej na wzór metody „Romeo”. Co więcej „Opal” miał jeszcze jedną przypadłość i to taką, uczciwie przyznać to trzeba, która rzeczywiście mogła podkopać jego pozycję i przekreślić jego plany szybkiej i obiecująco rysującej się w perspektywie czasu kariery przyszłego nielegalisty: - *Towarzysz Piasecki powiedział, że Towarzysz Czajkowski nie pije wódki,*



gdyż ma słabą głowę... na resortowym przyjęciu - M.Ł.) po wypiciu dwóch-trzech kieliszków wódki był pijany. Autorzy książki przytaczając znaną mądrość ludową, o tym, że ten, kto nie pije to donosi dodają, że także ten, kto pije, zwłaszcza, gdy ma słabą głowę też donosi i na dodatek na piśmie do kadr i organizacji partyjnej.

Tak się jednak złożyło, że największe sukcesy wywiadowcze na Zachodzie „Opal” osiągnął rozkochując w sobie sekretarkę słynnego intelektualisty z Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Zdaniem MSW był on wpływowym doradcą CIA i członkiem elitarnych gremiów, takich jak Council on Foreign Relations, które mają znaczący wpływ na światową politykę i stanowią think tank, intelektualne zaplecze kandydatów na prezydentów tak demokratów jak i republikanów. W tych gremiach rozpoczynał wtedy swoją karierę profesor Zbigniew „Zbig” Brzeziński.

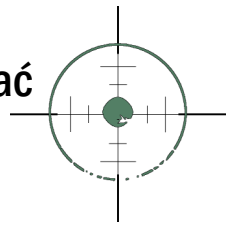
W tym samym czasie na Uniwersytecie Columbia pracował także Seweryn Bialer jeden z serii słynnych defektorów. Urodzony w Berlinie Żyd z Łodzi, ocalały z Auschwitz, milicyjny politruk w stopniu kapitana, zastępca naczelnika w Oddziale Politycznym Komendy Głównej MO, a po studiach w Instytucie Kształcenia Kadr Naukowych przy KC PZPR wykładowca ekonomii politycznej w szkole wywiadu Komitetu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego zniknął nagle bez śladu na konferencji we wschodnim Berlinie, by po jakiś czas wypłynąć, podobnie jak słynny Józef Światło, na falach Radia Wolna Europa z cyklem wykładów zatytułowanych „Wybrałem Prawdę”. Towarzysze radzieccy odnaleźli go w Nowym Jorku, gdzie był wykładowcą w Instytucie Rosyjskim Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Columbia.

W 1964 Bialer jako ekspert Departamentu Stanu napisał obszerną i wnikliwą analizę zmian w Polsce, wraz z charakterystykami ówczesnych przywódców politycznych i oceną (typowaniem) ich pozycji w strukturach władzy na podstawie materia-

łów dostarczonych przez CIA. Wywołało to wściekłość tzw. „partyzantów” w antysemickim, moczarskim MSW. Powstał plan zlikwidowania wykładowcy za pomocą zatrutej przesyłki pocztowej czy w próbkach nowej czekolady. Pomagać w realizacji tego zadania miał o miał właśnie „Opal” i zakochana w nim po uszy „Jay” – taki pseudonim nadała partnerce Czajkowskiego centrala w Warszawie. Operację odwołano tłumacząc, że „Krypta” jak „ochrzczono” Bialera zaprzestał swej „wrogiej działalności”. To oczywiście tylko jeden z epizodów szpiegowskiej działalności „Opala”. Jednak znamienne jest w nim to, że to oficer-nielegal, a nie centrala wpadł na pomysł nawiązania kontaktu i związania się z kobietą upalsowaną w otoczeniu osób i instytucji będących w zainteresowaniu służby wywiadu cywilnego.

W „Szpiegach PRL-u” znajdziemy wiele podobnych, zrekonstruowanych na podstawie dostępnych dokumentów i wcześniejszych publikacji historii burzliwych losów nielegalów, asów cywilnego wywiadu. Jak sami autorzy piszą byli „wśród nich szpiegdy-celebryci, cyniczni koniunkturaliści, szczęściarze i pechowcy, nieszczęśliwi kochankowie i stare panny, mężczyźni i kobiety po przejściach, brawurowi spryciarze, brutalni obłudnicy, ujmujący inteligencji, wreszcie ludzie zwyczajni. W ich historiach przewijają się naziści, komuniści i kapitaliści, księża i opozycjoniści, pokątni kanciarze i piękne kobiety, zdrajcy i potrójni agenci. Autorzy dotrzymali słowa z prologu książki. Czytelnik podczas lektury „Szpiegów PRL-u” oczami wyobraźni spotyka się z całą galerią takich klinicznych przypadków ludzi „uwiedzionych” przez wywiad, skazanych i uzależnionych od codziennej dawki adrenaliny, jaką daje życie w tak zwanym „świecie równoległym”.

Wielu z nich być może tak dalece wcieliła w postaci z ich operacyjną legendą - przykryciem, że przyjmując kolejne nazwiska, pseudonimy, życiorysy, wcielając się w nowe role i żyjąc życiem osób



stworzonych przez swoich przełożonych albo rzeczywiście istniejących i nieświadomych, że wywiad ukradł ich tożsamości gubili się zapominając kim są naprawdę w tej jak ją nazywał James Jesus Angleton, szef kontrwywiadu CIA, obsesyjny tropiciel i łowca „kretów” - komnacie luster z „Alicji w krainie czarów”. Zdarzało się, że podwójni czy potrójni agenci tracili orientację i sami już nie wiedzieli komu w danym momencie służą, komu piszą i przekazują raporty, zadanie, którego z mocodawców wykonują.

Co ich pchało w objęcia wywiadu, jakimi kierowali się motywami. Na pewno nie były nimi tylko i wyłącznie podręcznikowe stymulatory – pieniądze, adrenaliny, zemsta na kimś czy za coś. Jan Kaszubowski „Larsen” – Polak, Niemiec, Kaszub, agent Gestapo rozpracowujący AK został potem agentem komunistycznego wywiadu w Niemczech Zachodnich. Halina Szymańska vel Alice Krawczyń, etniczna Niemka z Bytomia (Beuthen) na Górnym Śląsku, kiedy Armia Czerwona zaciskała pętle wokół Wrocławia zamiast jako pomoc pielęgniarska Niemieckiego Czerwonego Krzyża schronić się w Bawarii została wbrew zdrowemu rozsądkowi w obłożonej i skazanej na zagładę Festung Breslau.

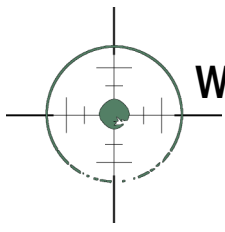
Wiedziała, co ją czeka po wkroczeniu Armii Czerwonej do zdobytego miasta. Słyszała o masowych gwałtach i mordach dokonywanych przez żołnierzy sowieckich na ludności niemieckiej. Pracowała w szpitalu dowództwa sztabu obrony miasta. Razem z grupą jego oficerów przedarła się przez pierścień wojsk oblegających miasto, co wydawało się być zadaniem samobójczym i przez sowieckie linie i dotarła w Czechach do wojsk Grupy Armii Środek feldmarszałka Ferdinanda Schörnera. Na szczęście trafiła do amerykańskiego obozu, a potem pracowała w służbie sanitarnej obozów dla jeńców niemiecki na terenie rozgromionej III Rzeszy i we Francji. I znowu zamiast rozpocząć nowe życie w Niemczech wróciła do rodzinnego miasta, mając

pełną świadomość, iż leży ono teraz już przekonań ideologicznych, poszukiwanie przygody i ryzyka z niezbędną dawką w granicach Polski Ludowej. Co więcej nawiązała współpracę z Powiatowym Urzędem Bezpieczeństwa Publicznego w Bytomiu.

Tak zaczął się jej szpiegowski romans zakończony w 1974 r. odznaczeniem jej Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski przez Przewodniczącego Rady Państwa profesora Henryka Jabłońskiego przyznany za jej: *za wybitne zasługi w wykonywaniu obowiązków służbowych*. Jakich? Rzecz jasna profesor nie miał o nich zielonego pojęcia. A zaczynała od infiltrowania specjalistów z Holandii i Francji zatrudnionych w elektrowni w Michowicach, a potem po wyjeździe z rodziną do NRF (RFN), dzięki protekcji krewnego, jako sekretarka- maszynistka zdobywała i przekazywała centrali w Warszawie tajemnice najpierw Sztabu Wojsk Lotniczych Ministerstwa Obrony Narodowej, a potem Sekretariatu Pełnomocnika Parlamentarnego Bundeswehry i Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Wróciła do Polski jako sekretarka- tłumaczka niemieckiej ambasady w Warszawie. Doszło wówczas do kuriozalnej sytuacji. Nielegal wywiadu PRL w Niemczech Zachodnich stał się... obiektem inwigilacji kolegów z kontrwywiadu jako, że Alice z racji stanowisk jakie zajmowała musiała mieć kontaktować się z oficerami niemieckiej Federalnej Służby Wywiadowczej BND (*Bundesnachrichtendienst*). Oczywiście oficerowie wywiadu nie poinformowali o tym kontrwywiadowców i na boku dworowali sobie jak to udało im się wystrychnąć resortowych kuzynów na dudków.

O stopniu jej profesjonalizmu może zaświadczyć fakt, iż w czasie tajnego przeszukania pokoju Alice w pensjonacie „Zgoda” nie znaleziono nic, co mogłoby świadczyć o jej szpiegowskiej działalności. Technicy z Wydziału III Departamentu II MSW rozpracowujących pracowników ambasady zachodniemieckiej zrobili pięć zdjęć dwóch modlitewni-



ków, w dwóch językach. Może nawet zastanawiali się - kim jest kobieta, która nie dość, że wierzy w Boga to jeszcze modli się do niego po polsku i niemiecku? Gorliwy katolicyzm nie przeszkodził Alice Krawczyk vel Halinie Szymańskiej pracować i dla komunistycznego wywiadu, i „rewizjonistycznego” BND, a wszystko to pod czujnym okiem inwigilującego ją cywilnego kontrwywiadu. Kiedy zakończyła swoją misję została w nagrodę w błyskawicznym trybie ukadrowiona. Nie wiadomo ile kobiet było etatowymi pracownikami wywiadu MSW. Może nawet dałoby się zliczyć je na palcach jednej dłoni.

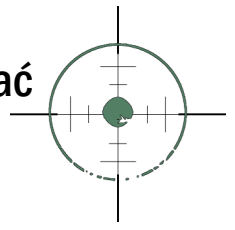
Może trochę szkoda, że wśród sportretowanych przez autorów książki nielegalistów – w moim przekonaniu - zbrakło szkicu o Arturze Ritterze-Jastrzębskim. Też nie był Polakiem tylko Niemcem, po drugie nie wydawał Niemców tylko Polaków i po trzecie nie sowietom, ale gestapowcom. W 1932 roku studiował w Moskiewskiej Szkole Wojskowo-Politycznej Sekcji Polskiej Międzynarodówki Komunistycznej, której szefem był wówczas Karol Świerczewski. Został zwerbowany przez GRU- sowiecki wywiad wojskowy. Do Polski wrócił w roku 1933. Działał w Centralnym Wydziale Wojskowym Komunistycznej Partii Polski. Nie wykluczone, że został konfidentem DEFA (Defensywa Policji Państwowej).

Po ataku Niemiec na ZSRS uciekł pod skrzydła GRU. W 1941 wrócił razem z rodziną do okupowanej Warszawy. Adolf Trager, bankowiec z Żoliborza pomógł mu w naturalizacji. Ritter-Jastrzębski został Reichsdeutschem, a potem nawet członkiem SA (*Die Sturmabteilungen der NSDAP – sztafety szturmowe NSDAP*). To właśnie jego, w mundurze S.A. miał zobaczyć *Bolesław Mołojec*, ps. „Apostoł” - dowódca Gwardii Ludowej, jak rozmawiał w jednym z warszawskich lokali z pierwszym sekretarzem PPR Marcelim Nowotką pseudo „Stary” (poprawne nazwisko to nie Nowostko, ale Nowotka). Uznał więc szefa swojej partii za konfidenta gestapo, a ta

z kolei uznała „Apostoła” i jego brata Zygmunta ps. „Anton” – kierującego Wydziałem Informacji Gwardii Ludowej winnymi zabójstwa Nowotki. Wyrok śmierci wykonał Janek Krasicki z GL, bohater szkolnych czytanek w czasach PRL. Zastrzelili „Apostoła” na ul. Kamienne Schodki w Warszawie. „Antona” rozstrzelali w lesie partyzanci Gwardii Ludowej. Dziś niektórzy badacze nie wykluczają, że sekretarza PPR mogli zlikwidować żołnierze „Kolegium A” warszawskiego KEDYW-u AK.

Jeśli nawet Nowotko nie był konfidentem Gestapo, to był nim na pewno Ritter-Jastrzębski. To on nadzorował wspólną akcję bojowców AL i Gestapo, w wyniku której przejęto w styczniu 1944 roku archiwum Delegatury Rządu na Kraj, co doprowadziło do dekonspiracji i aresztowania około sześćdziesięciu żołnierzy AK. Po wojnie Ritter, już jako Jastrzębski wpadł w łapy NKWD i na rok trafił do sowieckiego więzienia, albo jego szefowie z GRU stworzyli mu taką legendę. Po powrocie do Polski w 1945 r od razu został wysokim funkcjonariuszem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego- kierownikiem II Wydziału Kontrwywiadu (Departament I) MBP, a do jego zadań należała walka z reakcyjnym podziemiem. Romans ze służbami specjalnymi zakończył jako attache wojskowy w Rzymie, gdzie prawdopodobnie zmontował misterną i doskonale zakamuflowaną siatkę agenturalną w Watykanie. Trudno powiedzieć, któremu z mocodawców z GRU, DEFY, SD czy MBP/MSW służył najwierniej. Wszystkie drogi zdają się prowadzić do Moskwy.

A czy Andrzej Madejczyk „Madera” vel „Lakar”, kiedy spotykał się w Rzymie ze Zdzisławem Najderem, który miał wkrótce zostać szefem Rozgłośni Polskiej Radia Wojna Europa i wyciągał od niego informacje robił to jak się przedstawił rozmówcy na polecenie zachodnioniemieckiego wywiadu BND czy jako nielegal wywiadu MSW. Najder ustalił wkrótce, że Madejczyk pracował także dla centrali w Warszawie. Ale już „Hejnał”, dominika-



nin, ojciec Konrad (wcześniej Stanisław) Hejmo nie miał złudzeń na jakie biurko i w jakiej instytucji PRL trafiają jego pisemne raporty i analizy przekazywane Madejczykowi.

Autorzy „Szpiegów PRL-u” nie zapomnieli rzecz jasna o Bogdanie Walewskim, „Bob”, „Ikar”, „Janeczkar”, który pracował jednocześnie dla... trzech mocodawców. Wdał się romans z wywiadem już jako sprawdzony ideologicznie aktywista Związku Młodzieży Polskiej, a potem jako towarzysz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej podczas studiów w Moskwie w słynnym Państwowym Instytucie Stosunków Międzynarodowych (MGIMO), kuźni kadr dyplomatycznych ZSRS oraz współpracowników służb specjalnych. Tam został zwerbowany przez KGB, który skierował go w 1958 roku do Wietnamu. Początkowo był tłumaczem, a potem pracownikiem sztabu polskiej delegacji przy Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli czuwającej nad przestrzeganiem zawartych cztery lata wcześniej w Genewie układów pokojowych dzielących ten kraj na części – północną i południową.

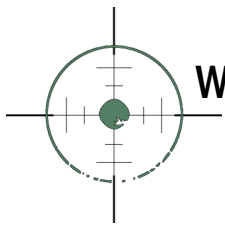
Podobnie jak Ryszard Kukliński (według wielu oficerów ówczesnego kontrwywiadu wojskowego i niżej podpisanego), który także pracował w tej Komisji, na polecenie swoich moskiewskich mocodawców dał się zwerbować w rozrywkowym Sajgonie przez CIA pod pseudonimem „Bob Walters”. Po powrocie do Polski został przekazany przez KGB kolegom z kontrwywiadu SB. W końcu startując z pozycji „przynęty” zastawionej na CIA zaczął dla niej pracować. Amerykanie ponownie nawiązali z nim kontakt, kiedy był stypendystą Uniwersytetu Columbia w Nowym Jorku. Przekroczył cienką granicę wywiadowczej gry i przeszedł na ciemną, z punktu widzenia wywiadu MSW stronę mocy. Był między innymi był potrójną wtyczką w ONZ. Pracował jednocześnie dla KGB, CIA oraz dla cywilnego wywiadu i kontrwywiadu PRL. Prawdopodobnie po zeznaniach defektorów z KGB i innych służb spe-

cialnych bloku wschodniego Amerykanie po raz drugi podłączyli zaskoczonoego „Boba” do wariografu. Tym razem Walewskiemu nie udało się oszukać bezdusznej maszyny. Przyznał się do współpracy z KGB i wywiadem MSW. Mimo, że Amerykanie znali nawet jego pseudonim „JANCZAR” nie zerwali współpracy. Prawdopodobnie dlatego, że przekazane im przez „BOBA” informacje uznali za wartościowe i co ważniejsze za prawdziwe.

Wiosną 1977 został przeniesiony na stanowisko I sekretarza ambasady polskiej w Moskwie. Najcenniejsze dla amerykańców były jego raporty pisane po spotkaniach z funkcjonariuszami KGB. Zidentyfikował także kilku agentów działającej w Moskwie Grupy Operacyjnej Kontrwywiadu Departamentu II MSW funkcjonującej pod kryptonimem „Wisła”. Jej zadaniem była między innymi inwigilacja obywateli polskich przebywających w ZSRS, delegatów PRL w RWPG, naukowców pracujących w Zjednoczonym Instytucie Badań Jądrowych w Dubnej pod Moskwą, przedstawicieli central handlowych, korespondentów prasowych, studentów, pracowników kontraktowych zatrudnionych przy budowie na przykład lotniska Szeremietiewo, Międzynarodowego Centrum Handlowego, trzech elektrowni atomowych, gazociągu orenburskiego i ropociągu nowopołockiego. Grupa „Wisła” zajmowała się też zwalczaniem opozycji i Kościoła.

Po powrocie z placówki wiosną 1980 został naczelnikiem w departamencie konsularnym MSZ. W końcu został zatrzymany przez kontrwywiad podczas fotografowania tajnej dokumentacji sprzętem, który dostał od CIA. Zdaniem Henryka Piecucha, pułkownika Wojsk Ochrony Pogranicza, autora licznych książek i publikacji o historii i operacjach służb specjalnych PRL Walewski postawił ostatecznie na Amerykanów, bo po prostu więcej płacili.

Razem z dwudziestoma dwoma osobami pracującymi dla zachodnich wywiadów zatrzymanych w krajach obozu socjalistycznego został wymienio-



ny na słynnym berlińskim moście Glienicke na trzech szpiegów bloku wschodniego, którzy wpadli na Zachodzie. Jednym z nich była Marian Zacharski – niezłomna gwiazda wywiadu MSW. Skoro już o nim mowa to nie wdając się w opisywanie jego szpiegowskiego romansu, sam to zresztą zrobił jak chciał i potrafił najlepiej w swoich wspomnieniach.

Czas najwyższy na jakąś pierwszą, a zarazem jedną z podstawowych konkluzji, jaka nasuwa się po lekturze „Szpiegów PRL-u” niezauważonej dostatecznie w innych publikacjach zwłaszcza, że pozycji poświęconych tematyce służb specjalnych tego okresu nazbierała się już całkiem pokaźna biblioteka. Otóż w opisanych przez autorów historii działań nielegalistów obraz ówczesnego polskiego wywiadu jawi się zgoła odmiennie od tego, jaki od lat przedstawiają nam w mediach i swoich książkach byli oficerowie służb specjalnych PRL.

Wydaje się, że historykom IPN udało się skutecznie obalić mit profesjonalizmu i wyjątkowej skuteczności cywilnego wywiadu PRL przed rokiem 1970 oraz kolejny mit - o rzekomym braku zaangażowania elitarniej Jedyńki w zwalczanie opozycji demokratycznej i rozpracowywanie środowisk emigracyjnych. Król jest nagi. Wielu bohaterom książki „Szpiegów PRL-u” centrala zlecała wykonywanie takich zadań, a instytucje, takie jak Radio Wolna Europa czy „Kultura” Paryska były celem nie mniej ważnym niż wrogi państwa zachodnie czy NATO.

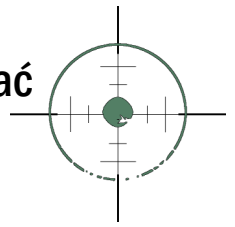
Dobrym tego przykładem była misja Andrzeja Czechowicza, który zdołał przeniknąć do Sekcji Polskiej RWE i zostać jej pracownikiem. W swoich inspirowanych przez służby specjalne wspomnieniach pt. „Siedem trudnych lat” opublikował dokument podpisany przez nazistę Johanna Kassnera potwierdzający, że legendarny „Kurier z Warszawy” Jan Nowak – Jeziorański, w latach 1940-1942 był zarządcą majątku zrabowanego przez Niemców Żydom. Wszystko prawda, tylko, o czym Czechowicz już nie wspomniał, Nowak- Jeziorański pracował na

tym stanowisku z polecenia polskiego podziemia i było ono „przykrywką” dla jego konspiracyjnej działalności.

A sam Czechowicz po niespodziewany odwołaniu do kraju mimo, że nie został zdekonspirowany ani zdradzony stał się celebrytą – brylował na konferencjach prasowych, w programach telewizyjnych i audycja radiowych, spotykał się z robotnikami w ich zakładach pracy i opowiadał przefiltrowaną już odpowiednio przez swoich mocodawców historię swojego romansu z wywiadem. Został nawet adiunktem Akademii Spraw Wewnętrznych w Legionowie, gdzie wyjaśniał studentom tajniki „działalności zachodnich ośrodków dywersji”, do których rzecz jasna należało podległe CIA Radio Wolna Europa i SWOBODA związane także z „ośrodkami syjonistycznymi”.

Czechowicza – „REMUSA” spalono prawdopodobnie z powodów politycznych po grudniowej masakrze protestujących robotników na Wybrzeżu w 1970. Jego historia miała odwrócić uwagę obywateli od toczących się rozgrywek zwalczających się frakcji wewnątrzpartyjnych. Niewykluczone, że krwawe wydarzenia na Wybrzeżu były sterowane, by dać pretekst do dokonania pałacowego przewrotu i odsunięcia od władzy Władysława Gomułki, jego popleczników i wymienienia ich na ekipę Edwarda Gierka.

Biuro Prasy KC PZPR zleciło nawet zrealizowanie filmu o wywiadowczej misji Czechowicza reporterowi Krzysztofowi Kąkolewskiemu i reżyserowi „Stawki większej niż życie” Andrzejowi Konicowi. Czechowicz miał być PRL-owskim Jamesem Bondem. Miało to też jak byśmy to dziś powiedzieli „ocieplić wizerunek” ekipy Gierka i pośrednio zasugerować, że wydarzenia na Wybrzeżu były inspirowane przez CIA i inne zachodnie służby specjalne. Jednak lud pracujący miast i wsi tak wcześniej, jak i potem nie kupił tej zbyt grubymi nićmi szytej maskarady. Za to powstało wiele szyderczych i prześmiewczych wierszyków i piosenek o naszym superszpiegu.



Nielegałowie – zawodowcy i amatorzy

Historię Czechowicza miał też opisać w tygodniku „Perspektywy” Witold Szymanderski, autor powieści z serii „07 zgłoś się”, na podstawie których powstał potem serial telewizyjny o milicyjnym asie - poruczniku Borewiczu. Plany te nie doszły jednak do skutku.

W jakimś stopniu, jeśli nie celebrytą, to przynajmniej wschodzącą gwiazdą miał zostać także Marian Zacharski, który mimo wyroku dożywotniego więzienia, jaki otrzymał w USA i wobec obietnicy wypłaty określonej przez niego dowolnej sumy dolarów konsekwentnie odmawiał składania zeznań i odrzucał kolejne oferty współpracy z amerykańskimi służbami specjalnymi. Jednak w odróżnieniu od Czechowicza Zacharski nie splamiał się działalnością wymierzoną przeciwko środowiskom emigracyjnym, czy opozycjonistom skupiając się na zdobywaniu tajemnic dotyczących najnowocześniejszych systemów uzbrojenia Stanów Zjednoczonych.

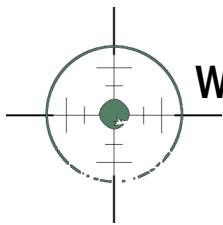
Jakkolwiek porównywanie działalności tych dwóch asów wywiadu mogłoby oburzyć tego ostatniego to jednak jest coś, co mimo wszystko ich łączyło. Otóż obaj byli amatorami. Nie ukończyli stacjonarnych szkół i kursów wywiadowczych. Przechodzili tylko okazjonalnie i niesystematycznie, doraźne szkolenia. A mimo to w od odróżnieniu od wielu kadrowych pracowników resortu, przygotowanych wszechstronnie do wykonywania zadań wywiadowczych na zachodzie bez ochronnego immunitetu dyplomatycznego jak rezydenci i oficerowie z ambasad, konsulatów i innych placówek PRL ich misje zakończyły się spektakularnymi sukcesami. W razie wpadki czekało ich wieloletnie, a nawet jak przypadku Mariana Zacharskiego dożywotnie więzienie, lub - co było o wiele groźniejsze dla centrali - przejście na stronę wroga.

Wielu polskich nielegałów zostało jednak zdekonspirowanych i schwytyanych z powodu karygodnego braku profesjonalizmu wywiadu MSW. Histo-

ria Jerzego Kaczmarka vel „Heinza Petera Arnolda” to właśnie przykład jak można przez kompletne zaniedbanie, lenistwo czy zwykłą głupotę zniweczyć misternie utkaną, koronkową i rozpoczętą spektakularnym sukcesem operację wywiadowczą z wykorzystaniem tak zwanej kombinacji wtórnikowej. Jeśli pierwowzorem postaci Janka - Hansa Klossa z serialu „Stawka większa niż życie”, który do tej pory na całym świecie w tym w Mongolii i Japonii obejrzało około miliard widzów miał być Artur Ritter-Jastrzębski, to metoda podstawienia agenta „J-23” z ukradzioną tożsamością przypomina, jak ułał historię Krawczyka.

„Wtórnik” to właśnie nielegał, który postuluje się tożsamością innej osoby. Głównym celem - kierunkiem pracy cywilnego wywiadu PRL były Niemcy Zachodnie. Tak zwanych dawców wtórnikowych szukano wśród niemieckich dzieci, które zaginęły w czasie wojny lub trafiły do polskich domów dziecka, sierocińców, a potem do adopcji. Oficerowie wywiadu poddali kwerendzie między innymi wszystkie dokumenty PCK. Nic więc dziwnego, że kiedy Niemiecki Czerwony Krzyż poszukiwał zaginionych w czasie wojny dorosłych i dzieci miał problemy z odszukaniem jakichkolwiek śladów po wielu z nich w archiwach i kartotekach PRL. Wszystkie dokumenty, które mogły pomóc w odnalezieniu wtórnikowego dawcy wyparowały bowiem bez śladu. Krewni całymi latami szukali zaginionych, a tu w jakiś „cudowny” sposób ktoś się nagle odnajdywał. Tacy nielegałowie byli cenni także dlatego, że nie musieli startować od przysłowiowego zera. Niemiecka rodzina pomagała znaleźć mieszkanie, pracę, ułatwiała kontakty w nieznanym otoczeniu.

Jerzy Kaczmarek pochodził z tzw. „resortowej” rodziny, chociaż jego ojciec został w 1955 roku dyscyplinarnie wyrzucony z Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu za niezachowanie czujności rewolucyjnej i nie zakapowanie swojego niezbyt uczciwego szefa. Zastąpił go Mie-



czysław Czempiński ojciec Gromostawa.

Kaczmarek był wyjątkowo zdolnym studentem germanistyki. Rozpoczął na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza naukę kontynuował w wschodnioniemieckim Lipsku na tamtejszym Uniwersytecie im. Karola Marksa. Aktywnie działał w Związku Młodzieży Socjalistycznej i Zrzeszeniu Studentów Polskich, a potem wstąpił w szeregi PZPR. Po powrocie z Lipska przy kawiarnianym stoliku uwiódł go Romeo z wywiadu i tak zaczął się jego szpiegowski romans. Wywiad znalazł mu wtórnikowego dawcę. Był nim adoptowany przez polską rodzinę syn Niemki i oficera radzieckiego. Ojciec Heinza Petera Arnolda dostał rozkaz powrotu do ZSRS, a matka trafiła na listę osób wysiedlanych za Odrę. Kobieta ze złamanym sercem zostawiła niemowlę w sierocińcu. Bała się reakcji męża, który był nazistą i oficerem SS. Arnold został adoptowany przez polską rodzinę. Mieszkał w Trójmieście i nie wiedział, że 1976 roku został „cudownie” odnaleziony i przez niemiecki Czerwony Krzyż nawiązał kontakt z matką.

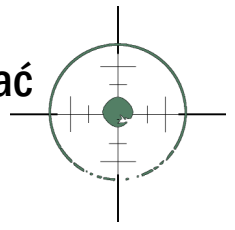
Kaczmarek z czasem stał się jednym z najcenniejszych nielegalów wywiadu MSW. Pracował w Urzędzie Imigracyjnym w Bremie, gdzie miał dostęp do zachodnioniemieckich baz danych. Przekazywał centrali kim z przyjeżdżających do RFN osób interesuje się niemiecki kontrwywiad. Miał dostęp do informacji o emigrantach politycznych i osobach wspierających opozycję w Polsce w stanie wojennym, a także do kartotek emigrantów, którzy przyjechali do RFN z NRD i z ZSRS. Jego informacje trafiały na biurka szefów wywiady innych krajów bloku wschodniego. Tymczasem polscy rodzice prawdziwego Arnolda powiedzieli mu w końcu, że jest adoptowanym dzieckiem. Mężczyzna postanowił dowiedzieć się kim jest naprawdę i bez najmniejszego trudu ustalił swoją tożsamość. Niestety wywiad MSW zapomniał „wyczyścić” dokumentacji i kartoteki parafialnej (sic!).

Arnold roztropnie przekazał list do odpowiednich niemieckich urzędów turystom z RFN i w ten sposób odnalazł swoją prawdziwą rodzinę, a fałszywego Arnolda - Kaczmarka odnaleźli funkcjonariusze Federalnego Urzędu Ochrony Konstytucji BfV (*Bundesamt für Verfassungsschutz*). Niestety prawdziwy Arnold nigdy nie poznał swojej matki. Zmarła na zawał serca po drugim spotkaniu z fałszywym Arnoldem – Kaczmarkiem, kiedy nabierała powoli pewności i wiary, że to rzeczywiście jest jej „cudownie” odnaleziony syn. Prawdziwy Arnold wkrótce po zatrzymaniu Karczmarka także zmarł nagle na... zawał serca. W taki sam sposób odeszły z tego świata jedyne dwie osoby, które mogły zdekonspirować Kaczmarka – matka, która wiedzioną macierzyńskim instynktem mogła wykryć oszustwo i jej prawdziwy syn, który ustalił, kim jest naprawdę. Jak mawiał jeden z rezydentów sowieckiego wywiadu na Zachodzie jeśli dwa razy dzieje się to samo, to należy wykluczyć przypadek.

Wywiad nie opuścił Karczmarka w potrzebie. Ówczesny szef MSW Czesław Kiszczak osobiście zwrócił się o do swojego odpowiednika w NRD zarządzającego Stasi generała Ericha Mielkego. Kaczmarek razem ze słynną parą czechosłowackich nielegalów – Hanną i Karelem Koecherami został wymieniony między inny za Natana Szczarańskiego, obrońcę praw człowieka, więźnia politycznego w ZSRS, a potem wpływowego polityka w Izraelu. Rzec oczywiście odbyła się na słynnym berlińskim moście szpiegów Glienicke. Była to trzecia i ostatnia wymiana czasów zimnej wojny w tym miejscu.

Z kolei przypadek kapitana Władysława Mroza, to wręcz podręcznikowy przykład niekompetencji i serii niewybaczalnych błędów, które doprowadziły w efekcie do niemal całkowitego sparaliżowania pracy wydziału obsługującego nielegalów, a co za tym idzie całego wywiadu MSW.

Szefowie Mroza zdecydowali się na umieszcze-



nie go jako nielegala we Francji, mimo że miał ogromną i bezcenną dla obcych kontrwywiadów wiedzę o nich, bo... sam większość z nich szkolił (sic!) Francuski kontrwywiad DST (*Direction de la Surveillance du Territoire*) szybko rozpracował Mroza, a ten zaczął sypać. Ujawnił tożsamość wszystkich znanych mu nielegalów, a tym samym spalił całą agenturę. Marceli Wieczorek były oficer Departamentu I MSW wspominał po latach – „ (...) Mróz wyspał nie jakąś tam zwykłą agenturę (...) To byli prawdziwi francuscy patrioci, lewicowcy, ludzie należący do elity politycznej, kulturalnej, gospodarczej, mający dojścia do premiera, ministrów, a nawet samego Charles’a de Gaulle’a. Budowano te kontakty latami (...) Od tamtego czasu nasz wywiad już nigdy nie miał nad Sekwaną tej rangi współpracowników i życzliwych osób (...)” Mróz wydał między innymi Lucjana Leviego agenta uplasowanego w izraelskiej służbie bezpieczeństwa wewnętrznego (Szin Bet, Szabak).

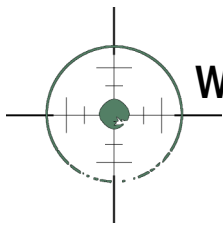
Defektor zapłacił za zdradę najwyższą cenę. W październiku 1960 roku dwóch likwidatorów wywiadu odnalazło go we Francji. Dwie próby otrucia Mroza cyjankiem potasu nie powiodły się. W końcu go zastrzelili. Francuscy policjanci znaleźli przy ofierze kilka gazet, w tym wydawanego przez francuską Polonię "Narodowca", rachunki za zdjęcia oraz sześć franków, a nad prawym uchem ranę postrzałową po pistoletowym pocisku kaliber 7.62 milimetra.

Jego zdrada była trudną do opisanego, niewyobrażalną katastrofą i śmiertelnym ciosem w rozwijający dopiero co swoje skrzydła wydział kierujący operacjami oficerów działających pod przykrywką, legendowanymi i ze zmienioną tożsamością. Pod koniec 1959 roku za granicą pracowało trzynastu nielegalów i ich agentury. Zdołano ich jednak w porę wycofać. Do tego doszła zdrada Michała Goleniewskiego szefa Wydziału VI Departamentu I MSW podającego się za ostatniego rosyjskiego cara i co najmniej zaskakujące samobój-

stwo (kapsułka z cyjankiem potasu) podejrzanego o współpracę z obcym wywiadem wiceszefa wywiadu pułkownika Zbigniewa Dybały. Wszystko to wydarzyło się w kulminacyjnym momencie zimnej wojny, kiedy powstawał mur berliński, Amerykanie uruchomili słynny most powietrzny do zachodniej części miasta, a czołgi amerykańskie i sowieckie podobnie jak floty obu mocarstw u wybrzeży Kuby stanęły naprzeciw siebie. Tymczasem polski wywiad był w rozsypce targany serią czystek personalnych wymierzonych zwłaszcza w oficerów pochodzenia żydowskiego.

Jak piszą autorzy „Szpiegów PRL-u” wywiad: *właśnie wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny, zajmował się lizaniem własnych ran i był nieprzygotowany do działania w warunkach ewentualnej wojny*. Nielegalowie musieli czekać aż dziesięć długich lat na swoje kolejne, przystawione pięć minut. W 1970 roku powstał odrębny, elitarny Wydział II (od 1977 roku Wydział XIV) rekrutujący, szkolący, przerzucający za granicę i obsługujący nielegalów. Wprowadzono też nowoczesny, oparty na wzorcach zachodnich system elektronicznego przetwarzania informacji wywiadowczych. Wywiadem zaczęli kierować profesjonaliści wysokiej klasy. Także tzw. operatorzy z czasem notowali coraz więcej sukcesów. Na zachodzie udało się umieścić kilku cennych nielegalów, wykorzystując między innymi właśnie tak zwane kombinacje wtórnikowe. Pod koniec lat siedemdziesiątych Wydział XIV pochłaniał blisko 20% wydatków operacyjnych całego wywiadu MSW.

„Szpiegów PRL-u” to rzeczywiście jak podkreślają jej autorzy tylko, a może aż tylko książka popularnonaukowa. Dodać należy jednak, że jest to książka napisana przez rasowych, odpowiedzialnych i odważnych historyków. A to słysząc, widać i czuć. Co więcej jej autorzy nie ulegli jak niektórzy ich koledzy z IPN pokusie wypełnienia swoiście pojmowanej i powierzonych im instytucji misji postawienia pod pręgierzem sprawiedliwości dziejowej



wszystkich oficerów i współpracowników tajnych służb specjalnych PRL. Nie ma w niej ani krzty zacietrzewienia, zajadłości czy chęci piętnowania kogokolwiek z często balansujących na granicy prawa lub bezprawia oficerów wywiadu MSW, który tak jak wszystkie jego odpowiedniki na świecie wcześniej, obecnie i później nie miał wyłączności i monopolu na uciekanie się do tego rodzaju praktyk i nadużyć.

O powściągliwości autorów „Szpiegów PRL-u” świadczyć może pominięcie przez nich drastycznych szczegółów jednej z wersji sposobu likwidacji kapitana Władysława Mroza, który wydał francuskiemu kontrwywiadowi wszystkich znanych mu i działających na Zachodzie polskich nielegalów. Likwidatorzy po zastrzeleniu defektora zmasakrowali mu twarz i głowę cegłówkami, a ciało wrzucili do beczki (istnieje także wersja, że została rozjechana przez ciężarówkę). Autorzy nie skorzystali z okazji i powstrzymali się, a mogli przecież poczęstować oficerów służb specjalnych niewybrednymi epitetami takimi jak kaci, oprawcy, sadyści zwyrodnialcy lub bardziej barokowo porównać ich do żądnych krwi bestii ze szwadronów śmierci znieprawionej przez naród cały tajnej, kierowanej z Moskwy i po trupach realizującej interesy ZSRS komunistycznej policji politycznej PRL. Zwolennikom tego rodzaju narracji i polowań na czarownice odradzamy z serca płynącą życzliwością lekturę tej książki. To jedyna sposób na uniknięcie niedosytu i rozczarowań.

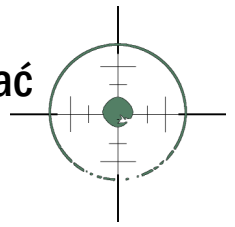
Co do likwidatorów to zapewne nie zrobili tego, by zaspokoić swoje sadystyczne potrzeby, z nienawiści czy zemsty za zdradę. Prawdopodobnie górę wzięła profesjonalna pragmatyka. Utrudniając szybką identyfikację ofiary likwidatorzy mieli więcej czasu na przekroczenie granic Francji. Francuscy policjanci nie znaleźli przecież paszportu, prawa jazdy czy jakiegokolwiek innego dokumentu pozwalającego ustalić tożsamość denata. Likwidatorzy zapewne zabrali je ze sobą do centrali

w Warszawie, jako dowody skutecznej realizacji zlecenia.

Autorzy „Szpiegów PRL-u” konsekwentnie poddają krytycznej ocenie tylko merytoryczne, a nie ideologiczne aspekty pracy nielegalów, związane z metodyką i pragmatyką ich działań. Nie nazwali ani razu jak to ma w zwyczaju wielu historyków, publicystów i dziennikarzy – oficerów, czy nielegalów wywiadu ubekami czy esbekami. Język tzw. nienawiści nie jest mocną stroną autorów „Szpiegów PRL-u”. Niczego nie gloryfikują, nie potępiają, ani nie wyolbrzymiają. Ma się nie odparte wrażenie, że starają się jak tylko potrafią o obiektywizm i rzetelność. Bez cienia emocji obnażają skandaliczne błędy w sztuce i brak profesjonalizmu cywilnych służb specjalnych zwłaszcza do lat siedemdziesiątych, który doprowadził do zdekonspirowania i aresztowań wielu umieszczonych na Zachodzie nielegalów.

„Szpiegów PRL-u” to przede wszystkim książka, która czarno na białym skutecznie może przekonać nie przekonanych, że największe sukcesy osiągnęli często nie kadrowi absolwenci szkół wywiadu, wszechstronnie przeszkoleni zawodowcy, ale utalentowani, pomysłowi i działający niekonwencjonalnie, dzielni amatorzy, którzy często zanim wpadli w oczy oficerom werbunkowym sami zgłaszali się do pracy w wywiadzie. Dla każdej służby specjalnej na świecie tacy pasjonaci byli, są i będą niczym nie oszlifowane przez resortowych szkoleniowców diamenty.

Na koniec wypada podkreślić, że książkę historyków IPN czyta się lekko, łatwo i przyjemnie, co nie umniejsza jej wartości merytorycznej, faktograficznej. Jeśli publikacja ta może nie każdego czytelnika bawi, to na pewno uczy. Może po nią sięgnąć bez obaw czytelnik, dla którego świat służb specjalnych to nie odkryta jeszcze planeta czy zgoła czarna magia gry pozorów. Potężna dawka informacji historycznych i technicznych dotyczących werbunku,



Nielegalowie – zawodowcy i amatorzy

szkolenia, technik operacyjnych, komunikacji, inwigilacji, dezinformacji jednym słowem wielu metod stosowanych przez wywiad nie przytłacza i nie przeszkadza w lekturze „Szpiegów PRL-u”, a umieszczony na końcu książki minisłownik terminologii używanej w wywiadzie MSW PRL skutecznie ją ułatwia. Sam w sobie jest jak to się mówi wartością dodaną i ze wszechmiar przydatną.

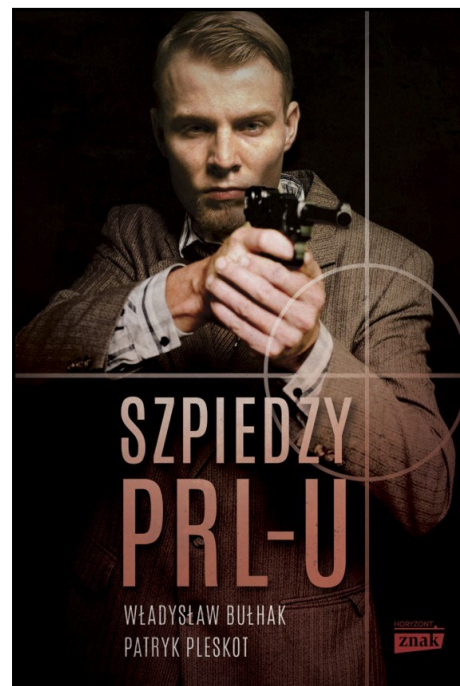
Każdy rozdział książki z powodzeniem może być podstawą dokumentacyjną lub inspiracją dla scenarzystów i filmowców. Nie trzeba odkrywać na nowo Ameryki, czy też wywarzać otwartych, żeby dojść do konkluzji, iż rzeczywistość bywa często o niebo bardziej zaskakująca i przerastająca wyobraźnię autorów literackiej czy ekranowej fikcji.

Autorzy „Szpiegów PRL-u” wielokrotnie podkreślają, że ich książka to efekt żmudnej lektury wciąż nieuporządkowanych zasobów archiwalnych i tego, co ocalało przed pocięciem na paski w niszczarkach, spaleniem czy zmieleniem na papier toaletowy. Można to nazwać archiwalną archeologią albo układaniem puzzli. Wiemy, a może raczej domyślamy się co przedstawia obrazek, ale wciąż jest dziurawy niczym ser szwajcarski. Szansą na wypełnienie pustych miejsc może z czasem okazać się możliwość poznania chronionego jak Fort Knox zbioru zastrzeżonego IPN. Ale te dziury roztaczają nad czcionką czytanych zdań nie tylko zapach farby drukarskiej i papieru, ale także woń tajemnicy nierozłącznej towarzyski szpiegów i agentów.

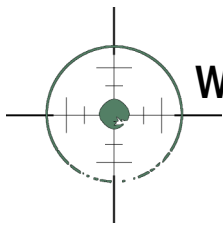
„Szpiegów PRL-u” to książka dojrzała i wciągająca, a przede wszystkim uczciwa i pozbawiona tendencyjności, nadgorliwości, uproszczeń i skłonności demaskatorskich czy niezdrowej potrzeby obalania mitów. Jeśli tak jest, to tylko dlatego, że tak było naprawdę i nie jest efektem udowodnienia postawionej wcześniej tezy. W służbach specjalnych bardzo często się tak zdarzało, że szpiegów, ich agenci czy informatorzy, kie-

dy stracili dostęp do interesujących centralę wywiadowczych informacji byli pozostawiani sami sobie i jak skórka po wyciśniętej cytrynie wyrzucani na śmietnik historii. Ze „Szpiegów PRL-u” warto wycisnąć wszystko, co się tylko da - do ostatniej kropli, a potem odłożyć książkę na półkę, by za czas jakiś raz jeszcze po nią sięgnąć i pograć się w lekturze. Zapewniam – naprawdę warto.

 **Mariusz Łaciński**



**Wł. Bułhak, P. Pleskot,
Szpiegów PRL-u,
Kraków 2014,
ss. 474 + 4 nlb.**



Mannerheim. Prezydent, żołnierz, szpieg.

Carl Gustaf Emil Mannerheim, baron i marszałek Finlandii, to postać mało znana w Polsce, choć jego losy były z nią związane. Zwyczaj kojarzy się go z linią umocnień na Przesmyku Karelskim, ale życie Mannerheima obfitowało w wiele ciekawych wydarzeń – wojskowych, politycznych, ale i podróżniczych oraz szpiegowskich. Jonathan Clementes opowiada o Mannerheimie, łącząc różne aspekty jego życiorysu i pokazuje, jak kręte bywają losy żołnierza.

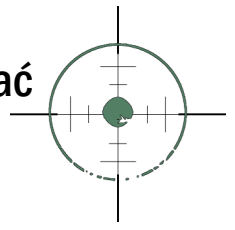
Jonathan Clementes to brytyjski scenarzysta i pisarz, który ma na swoim koncie kilka biografii wielkich postaci historycznych: Mao Tse Tung, Marco Polo, Qin Shi Huang (pierwszego cesarza Chin) czy też Konfucjusza. Zainteresowanie Clementesa krajami Orientu wiąże się poniekąd z postacią Mannerheima z uwagi na jego misje szpiegowskie w Chinach i Japonii. Jonathan Clementes podzielił swoją książkę na dwanaście chronologicznie ułożonych rozdziałów.

Biografię Mannerheima otwiera opis jego spotkania z Dalajlamą i rozmowy na temat Tybetu, Rosji oraz ewentualnej współpracy obu krajów. Wprowadzenie to wyprzedza jednak bieg wydarzeń. W ciągu narracji poznajemy Mannerheima i otoczenie, w którym się urodził. Clementes lokuje swojego bohatera w Finlandii, którą przedstawia czytelnikowi, umożliwiając zrozumienie rzeczywistości tego kraju. Mamy więc rodzinę szwedzkich baronów, mieszkających w Wielkim Księstwie Finlandii, cieszącym się swobodami, których dalsze istnienie wcale nie jest takie pewne. Carl Gustaf Emil Mannerheim urodził się 4 czerwca 1867 r., a jego rodzina miała całkiem niezłe i rozległe kontakty i powiązania w Szwecji i Rosji. Wychowywany po śmierci matki przez wuja, młody Mannerheim uczył się w szkole wojskowej w Hamynie, a potem

w Mikołajewskiej Oficerskiej Szkole Kawalerii w Sankt Petersburgu. Przyszły marszałek okazał się uczniem bardzo zdolnym, ale i dość krnąbrnym, przez co musiał cały czas usilnie pracować na wysoką lokatę w szkole.

Jak podaje Clementes, Mannerheim po szkole oficerskiej nie trafił do elitarnej dywizji Kawalerii Gwardii między innymi z uwagi na koszty, jakie były związane ze służbą w pobliżu cara (konieczność zakupu drogiego wyposażenia). Dostał więc przydział do 15 Aleksandryjskiego Pułku Dragonów, stacjonującego w Kaliszu. W przeciwieństwie do pozostałych oficerów, Mannerheim dbał o wyszkolenie podkomendnych, przez co narażał się tym, którzy woleli spokojnie spędzać czas w garnizonie. W 1891 r., dzięki koneksjom, rodzinie udało się załatwić przeniesienie dla Mannerheima do kawalerii gwardii, a rok później oficer ożenił się z Anastazją, córką generała Arapowa, dzięki czemu bardzo poprawiła się jego sytuacja finansowa. Kilka lat później Fin awansował na koniuszego odpowiedzialnego za carskie stajnie i zakup koni. Pozornie prosta funkcja dawała jednak prestiż i częsty dostęp do bliskiego otoczenia władcy i jego samego.

Biograf stara się osadzić działalność swego bohatera w realiach świata, Rosji i Finlandii, dlatego też dekada poprzedzająca wybuch I wojny światowej to Mannerheim – rosyjski oficer, kontaktujący się z fińską opozycją, ale i ochotnik, który zgłosił się do służby na wojnie rosyjsko-japońskiej. Wyjazd do Mandżurii miał być szansą na szybszy awans i zdobycie doświadczenia w boju. W czasie pobytu w Mandżurii, Mannerheim walczył na czele Kozaków, ale i organizował wypadki zwiadowcze, ponieważ Rosja nie miała wywiadu wojskowego i nie wiedziała, jak dużymi siłami dysponowali Japończycy.



Mannerheim. Prezydent, żołnierz, szpieg.

Eskapady dawały rozeznanie w oddziałach wroga i terenie, gdyż mapy były niedokładne lub w ogóle ich nie było.

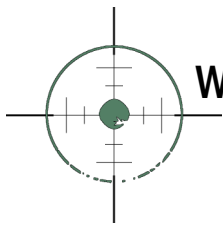
Po zakończeniu wojny z Japonią rosyjski sztab generalny polecił Mannerheimowi udanie się do Chin celem zebrania danych geograficznych i wywiadowczych. Jak zauważa Clementes, Mannerheima wybrano do tej misji nieprzypadkowo – nie był Rosjaninem, władał językiem szwedzkim, mógł udawać badacza. Pod przykryciem etnologa lub geografa oficer miał gromadzić dane dotyczące reform wojskowych w Państwie Środka, a szczególnie stanu wojsk w chińskim Turkiestanie. Dodatkową przykrywkę misji miało stanowić dołączenie Mannerheima do wyprawy Paula Pelliot, francuskiego studenta i badacza, który usiłował wówczas zdobyć zgodę na przejście przez terytorium Rosji. Opis wyprawy Mannerheima zajmuje dużą część książki i opowiada o trasie, wydarzeniach, które miały miejsce, spotkaniach z lokalnymi dygnitarzami i Dalajlamą, a także gromadzeniu informacji wojskowych. Z tych ostatnich wynikało, że armia chińska nie jest groźnym przeciwnikiem, a wręcz w wielu miejscowościach jest w rozsypce. Gdy misja chińska dobiegła końca, Mannerheima wysłano do Japonii, by przyjrzał się tamtejszym instalacjom portowym oraz flocie, choć nie był ani marynarzem, ani nie znał się na tym problemie. Jak podkreśla Clementes, raport złożony carowi przez Mannerheima rozwiął wątpliwości, co do siły militarnej Chin.

W 1909 r. Mannerheim został dowódcą 13. Pułku Dragonów Włodzimierskich w Nowym Mińsku koło Warszawy. W kolejnych latach szybko awansował – już, jako generał major objął komendę Pułku Ułanów Gwardii Przybocznej cara, a potem Samodzielnej Brygady Kawalerii w Polsce. Po wybuchu I wojny światowej Mannerheim walczył w Galicji, centralnej Polsce i Rumunii, zdobywając kolejne odznaczenia.

W dalszej części książki Clementes opisuje losy bohatera w czasie rewolucji 1917 r. Mannerheim musiał uciekać z Piotrogradu ogarniętego rewolucją lutową i wyjechał do swoich oddziałów stacjonujących w Rumunii, ale i tam sytuacja nie należała do spokojnych. We wrześniu przeniesiono Mannerheima do rezerwy ze względu na jego poglądy i pochodzenie, więc przez zrewoltowany Piotrogród wrócił do Finlandii. W międzyczasie bezskutecznie próbował porozumieć się jeszcze z rosyjską arystokracją celem stworzenia czegoś na kształt ruchu oporu wobec nowej władzy.

Po przybyciu do Finlandii, Mannerheim przekonał się, jak wiele osób działa w podziemiu niepodległościowym i przystąpił do Komitetu Wojskowego stworzonego przez fińskich oficerów. Wkrótce też Mannerheim zdominował Komitet przejmując faktycznie zwierzchnictwo nad tworzącą się armią i kierował jej działaniami w czasie wojny domowej z komunistycznymi rewolucjonistami. W czasie konfliktu, Mannerheim okrył się sławą, ale towarzyszyły mu też kontrowersje związane z utrzymywaniem porządku i stosunkiem do „czerwonych”. Choć Mannerheim nie chciał pomocy ze strony Niemiec, to – jak zauważa Clementes – po fakcie musiał przyznać, że bez niej trudniej byłoby osiągnąć zwycięstwo.

Po pokonaniu „czerwonych” Mannerheim na krótko wycofał się z życia publicznego w atmosferze kłótni z politykami fińskimi. Wkrótce jednak wybrany został regentem Finlandii, przed którym stało zadanie przekonania Zachodu do nowo powstałego kraju i udzielenia mu pomocy, by nie wpadł w ręce bolszewików. „Biały” generał i regent podpisał konstytucję Finlandii, ale wybory prezydenckie w 1919 r. przegrał i usunął się w cień. W początkach lat 30. Mannerheim wrócił na scenę jako przewodniczący Rady Obrony. Dodatkowo w 1933 r. został marszałkiem polowym, ale – jak zauważa Clementes – rząd awansował Manner-



heima z oporami, czyniąc to rok po żołnierzach Korpusu Obronnego, formacji złożonej z byłych żołnierzy Białej Gwardii, którzy nadali ów stopień honorowo.

Mało miejsca poświęcił autor pracy marszałka związanej z reformą wojska i budową systemu umocnień zwanego Linią Mannerheima, a także okresowi 1939-1940. Działalność Mannerheima i wojna zimowa zostały potraktowane po macoszemu. Clementes starał się jednak pokazać, jak Finlandia po wojnie zimowej zaczęła wiązać się z III Rzeszą. Mannerheim starał się jednak wystrzegać sojuszu z Niemcami. Jak podkreśla autor, to co dla przeciętnego człowieka jest częścią operacji „Barbarossa”, dla Finów jest wojną kontynuacyjną, konfliktem toczonym obok niemieckiego ataku na ZSRR. Dla Mannerheim, jak i dla wielu Finów, odbicie straconych ziem oznaczało wstrzymanie marszu na Związek Radziecki. Tu jednak następuje kolejny problem biografii – Clementes starał się pokazać, że Mannerheim potrafił sprzeciwić się Hitlerowi, ale lata 1942-1944 są skąpo opisane, toteż rozdzwięk na linii Berlin-Helsinki sprowadza się jedynie do kilku wydarzeń.

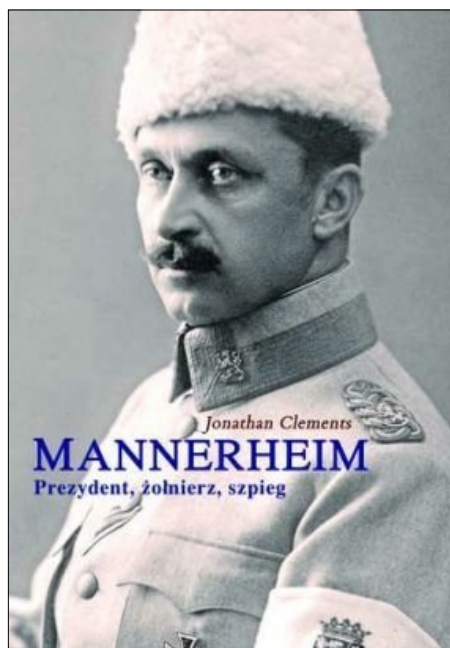
Poważny niedosyt wiadomości dotyczy również okresu od 1944 r., kiedy Mannerheim głównodowodzący siłami zbrojnymi został prezydentem. Doprowadził wówczas wojnę z ZSRR do końca, walczył z Niemcami i próbował odnaleźć się w powojennej rzeczywistości, kiedy fińska scena polityczna stała się coraz bardziej lewicowa. W 1946 r. Mannerheim ustąpił z urzędu prezydenta i wycofał się z życia politycznego. Zmusiła go do tego sytuacja polityczna i stale pogarszający się stan zdrowia. Zmarł w styczniu 1951 r.

Książka Jonathana Clementesa jest bardzo ciekawa, ale chyba nie do końca udało się autorowi przedstawić Mannerheima, jako prezydenta, żołnierza i szpiega. Ostatniej roli autor poświęcił dużo miejsca, drugiej również, choć w przeważającej mierze walki toczony bezpośrednio przez Manner-

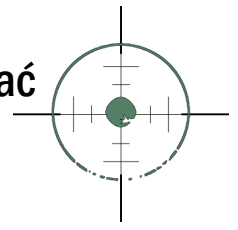
Mannerheim. Prezydent, żołnierz, szpieg.

heima przypadają na wojnę z Japonią i I wojnę światową, gorzej natomiast wygląda okres drugiego globalnego konfliktu. Z kolei Mannerheim, jako prezydent jest ukazany w sposób niewystarczający, niewiele tu informacji o jego działalności politycznej, a więcej o tle, o realiach, w których urzędował. Mimo to książka pozwala spojrzeć na fińskiego marszałka, jako bohatera wojennego, ale i zwykłego człowieka targanego namiętnościami, mającego wyraźne poglądy i twardy charakter. Biografia Mannerheima pióra Clementesa na pewno nie wyczerpuje tematu, ale pozwala przyjrzeć się mało znanej w Polsce postaci, która miała niebagatelny wpływ na losy Finlandii.

 **Robert Witak**



**J. Clementes,
Mannerheim. Prezydent, żołnierz, szpieg,
Zakrzewo 2010,
ss. 315.**



Wpływ oględzin na wykrywalność sprawców zabójstw

Literatura kryminalistyczna wzbogaciła się o kolejne opracowanie poświęcone problematyce oględzin^[1]. Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego wydało monograficzne opracowanie dr Kazimieiry Juszkii. Tytuł dzieła w pełnym brzmieniu to: **Analiza wpływu oględzin kryminalistycznych na wykrywalność sprawców zabójstw.**

Opracowanie to przestudiowałem niedawno. Po zapoznaniu się, co jest jego treścią, postanowiłem zachęcić innych żeby uczynili to samo. Tak się składa, że problematyka śledczego badania miejsca zdarzenia znalazła się w zainteresowaniu kilku moich dyplomatów. Fakt ten będzie miał wpływ na treść i sposób mojego przekazu. Na mój sposób rekomendacji. Pod drugie. Opracowanie to zostało zrecenzowane przez uznane autorytety problematyki prawnej i kryminalistycznej. I chociaż prof. zw. dr hab. Zdzisław Kegel oraz prof. zw. dr hab. Stanisław Pikulski dokonali recenzji tego dzieła, to jak się wydaje – nie będzie niestosownym z mojej strony, aby na wartość edukacyjną zwrócić, także uwagę Czytelników.

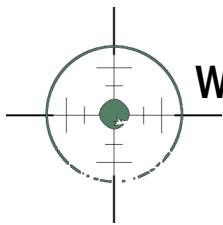
Zacznę od przypomnienia, że dr Kazimiera Juszkia jest znana czytelnikom biuletynu. W rocznicę śmierci, prof. Tadeusza Hanuska wygłosiła wykład otwarty dla studentów kierunku bezpieczeństwo wewnętrzne, zawięzła Laboratorium kryminalistyczne, z którego korzystają studenci, spotkała się z członkami Koła Naukowego Kryminalistyki, a także udzieliła wywiadu^[2]. Swoją osobowością, stosunkiem do studentów, ciekawym wykładem, skutecznie zachęciła do zainteresowania się problematyką wersji śledczych^[3]. Jest adiunktem w Katedrze Kryminalistyki i Bezpieczeństwa Publicznego, Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego. Autor wielu książek i artykułów naukowych. Wiele z nich zostało wykorzystanych w monograficznym opracowaniu na temat wpływu oględzin na wykrywalność sprawców zabójstw.

Z uwagi, że problematyka badawcza i doktrynalna oparta została na analizie przepisów prawa, bogatej literaturze różnych autorów (wykaz bibliografii s.163-183), orzecznictwie sądowym oraz wynikach badań własnych (50 śledztw o zabójstwo), to krąg zainteresowanych może być bardzo szeroki. Ja ograniczę się do edukacyjnej przydatności opracowania dla studentów kierunku bezpieczeństwa wewnętrznego.

Monografia ma 188 stron. Składa się z czterech rozdziałów. Stosunkowo szybko można ją przeczytać, bo opracowanie jest oszczędne w słowa, ale bogate w treści. Autorka precyzyjnie operuje piórem, trafnie nawiązuje do faktów, błędów, literatury, orzecznictwa itp. Aby nie gubić zasadniczego wątku rozważań, w przypisach odsyła nas do poszerzenia wiedzy. W ten sposób, treści, które są czytającemu znane, utrwalają się. Zaś, kiedy nie są, albo znane nieco słabiej, można sięgnąć po inne jeszcze opracowania.

Całe opracowanie jest interesujące i wykazuje ogrom gigantycznej pracy, jaką Autorka włożyła w jego opracowanie. Zwracam uwagę na to, z myślą o studentach przystępujących do pisania prac dyplomowych. Na przykładzie tego dzieła, także doskonale widać, że chcąc coś napisać, należy coś przeczytać. Osoby, które zamierzają pisać prace dyplomowe na tematy związane z kryminalistyką, czytając tę pozycję, z pewnością będą miały to ułatwione. Bogata i różnorodna literatura obejmująca wielowątkową problematykę w ramach tego przedmiotu, jest podana. Nie trzeba już szukać, tylko czytać i wykorzystywać, przydatne jej fragmenty. Ale po kolei.

Swoją rekomendację tego opracowania zacznę od nawiązania do wstępu. Czytając wstęp, warto zwrócić uwagę, na jego treść. Szczególnie na jego końcową część. Na jego wstępie Autorka podaje podjęty problem naukowy oraz hipotezę (s.19) *Podjęmowane*



w trakcie przeprowadzania oględzin decyzje i okoliczności procesu decyzyjnego mogą prowadzić do obniżenia wykrywalności sprawców zabójstw. Jest także zapowiedź sposobu jej weryfikacji oraz możliwości wykorzystania wyników badań (m. in. wskazanie propozycji modyfikacji ustawowej; działań zmieniających praktykę stosowania tej czynności w obowiązującym stanie prawnym). Z problemem badawczym, hipotezą oraz sposobem rozwiązania problemu badawczego, studenci mają bardzo duże trudności.

Przejdźmy dalej. Autorka poświęciła zaledwie cztery strony (s.21-24) na przybliżenie metodyki badań. W mojej ocenie zawarła wszystko, co jest niezbędne dla przybliżenia narzędzi i sposobu ich wykorzystania. Zwracam na to uwagę, gdyż niektórzy studenci przewidują objętościowo przynajmniej dwa razy tyle (na 30 stron pracy).

Rozdział drugi (s. 25-105), poświęcony jest problematyce oględzin. Jest w nim nawiązanie do składu grupy oględzinowej, czasu trwania oględzin, technicznym i procesowym zabezpieczeniu przedmiotu oględzin. Z rozdziału trzeciego zatytułowanego „Wpływ sposobu wykonania oględzin na dalszy tok postępowania oraz kształtowanie prawomocnego wyroku”, dowiemy się o notatkach pooględzinowych i kiedy były sporządzane. Notatki takie, jak wynika z praktyki śledczej, wykazują przydatność w działaniach ukierunkowanych na sprawcę oraz inne jeszcze źródła informacji. Wyniki badań Autorki nie pozostawiają wątpliwości, że dobre, stara policyjna praktyka, coraz rzadziej jest doceniana^[4]. Problematyka ekspertyz kryminalistycznych zawarta w tym rozdziale dość obszernie została omówiona. Rodzaje zasięgniętych opinii biegłych zaprezentowane zostały także graficznie (s.153).

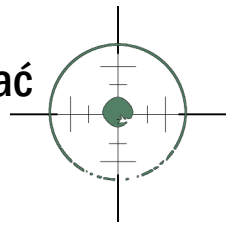
Podsumowaniu wyników badań akt sądowych wypada poświęcić osobny akapit. Rozdział ten (IV) pod względem objętości jest mały (s.157-162), lecz bogaty w spostrzeżenia, we wnioski i postulaty. Au-

torka pod adresem ustawodawcy postuluje dokonania zmian w prawie karnym procesowym. Propozycje Autorki zmierzające do zmiany dotychczasowej praktyki zawarte zostały w 42 punktach (s. 158-162). Udana konfrontacja teorii z obecną praktyką śledczą (ustaloną po analizie 50 śledztw o zabójstwo) dała bogaty plon. Aż strach pomyśleć, jaki obraz zostałby przedstawiony, gdyby dokonać, podobnej naukowej analizy, na podstawie postępowań umorzonych z powodu niewykrycia sprawcy przestępstwa. Może takiej próby doczekam się, że strony któregoś ze studentów?

 Jan Swół



K. Juszka,
Analiza wpływu oględzin kryminalistycznych na wykrywalność sprawców zabójstw,
Kraków 2013,
ss.188.



Historia Legii Cudzoziemskiej. Od 1831 roku do współczesności

Francuska Legia Cudzoziemska należy do formacji wojskowych owianych legendą i nimbem tajemniczości. Towarzyszy temu opinia o bohaterstwie i świetnym wyszkoleniu. Stosunkowo rzadko jednak mówi się o historii formacji. Pierre Montagnon postanowił opowiedzieć historię Legii Cudzoziemskiej od jej powstania.

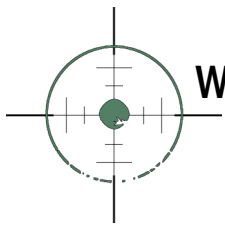
Autor książki, Pierre Montagnon, nie jest zawodowym historykiem, a weteranem Legii Cudzoziemskiej i ma na swoim koncie wiele publikacji opowiadających o losach macierzystej formacji, ale i historii wojen. „Historia Legii Cudzoziemskiej. Od 1831 roku do współczesności” wpisuje się, więc w jego zainteresowania. Jednak książka nie jest typowym opracowaniem historycznym – od samego początku w oczy rzuca się specyficzny sposób prowadzenia narracji. Montagnon snuje opowieść chronologicznie, ale język, którym się posługuje, przypomina prozę. Sama książka podzielona została na dwadzieścia rozdziałów, konkluzję i aneksy.

Jak wspomniano, autor prowadzi czytelnika od powstania Legii (1831 r.), kiedy to francuska monarchia, czerpiąc z minionych epok, powołała nową formację wojskową złożoną z cudzoziemców gotowych walczyć dla Francji. Jak pokazuje Montagnon, Legia od początku była amalgamatem narodów Europy – zgłaszali się i Polacy, i Hiszpanie, i Szwajcarzy i inni. Francja potrzebowała żołnierzy do walk poza



Fot. H. H. Deffner, commons.wikimedia.org

jej granicami, toteż wysyłano Legię szczególnie tam, gdzie Francuzi nie chcieli posyłać swoich synów. Żołnierze różnych narodów ginęli w interesie Francji w Algierii, w Hiszpanii (wojna z karlistami), w Rosji (wojna krymska), we Włoszech (wojna francusko-austriacka 1859 r.), w Meksyku (1861-1867), w wojnie francusko-pruskiej (1870 r.), Indochinach, w Dahomej, na Madagaskarze, w Sudanie, w Maroku, w I wojnie światowej, w krajach Lewantu, w II wojnie światowej (Norwegia, Francja, Afryka, Bliski i Daleki Wschód, Włochy, Niemcy), w Indochinach (1946-1954), a także w Algierii (1954-1962). Ostatni okres (lata 1962-1999), Montagnon nazywa latami odbudowy Legii po klęsce w Algierii. Odbudować trzeba było Legię kadrowo, ale i psychicznie. Nie oznacza to jednak, że formacja nie uczestniczyła w działaniach zbrojnych – prowadziła interwencje zagraniczne choćby w Kongu, Libanie i Czadzie.



Książkę opatrzone kilkoma aneksami, na które składają się noty o anonimowości legionisty i symbolice Legii, a także listy weteranów odznaczonych Krzyżem Wyzwolenia i promocje szkoły wojskowej noszące imiona legionistów. Dopełnieniem aneksów jest wykaz strat w poszczególnych konfliktach, rozmieszczenie Legii w 1999 r., a także opis inskrypcji na sztandarach i chorągwiach pułków. W publikacji zamieszczono również chronologię najważniejszych wydarzeń, fotografie oraz szkice przedstawiające umocnienia i bazy, z których korzystali legionieści.

Autor pobieżnie omawia organizację i funkcjonowanie Legii, jako formacji, a skupia się na prowadzonych walkach. Zagadnienia tak jak na przykład struktura narodowościowa, struktura wewnętrzna i jej przemiany, rozbudowa, zaciąg, wyposażenie czy umundurowanie pojawiają się obok głównego wątku, czyli walk Legii. Dlatego też można odczuć poważny niedosyt tego rodzaju informacji.

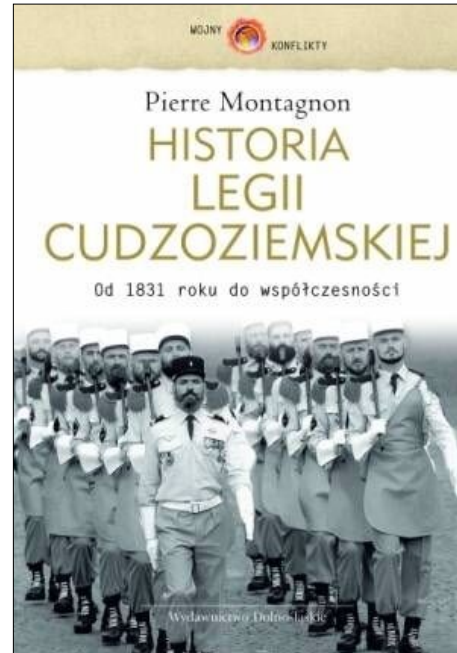
Z drugiej strony jednak Pierre Montagnon stara się powiązać napływ rekruta z wydarzeniami politycznymi i społecznymi w krajach europejskich. I tak: po upadku powstań napływali Polacy, po rewolucji bolszewickiej Rosjanie, a przed wybuchem II wojny światowej w szeregach Legii Cudzoziemskiej znalazło się wielu Niemców, Hiszpanów, Polaków czy Czechów. Autor wskazuje też, że napływ „białych” Rosjan, którzy byli świetnymi kawalerzystami, przyczynił się do powołania oddziałów konnych, swoistego novum w Legii, która była piechotą.

Historia Legii Cudzoziemskiej. Od 1831 roku do współczesności

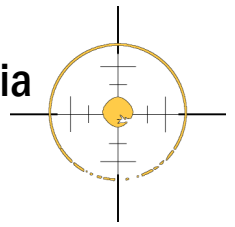
Snując opowieść o Legii, Montagnon stara się wpisać jej losy w wydarzenia na arenie międzynarodowej, ale niezbyt mu się to udaje – autor traktuje politykę po macoszemu i wydaje się, że jej opis wtłoczony został niejako z przymusu.

„Historia Legii Cudzoziemskiej. Od 1831 roku do współczesności” to książka ciekawa, ale razić może maniera pisarska autora. Bardziej przypomina ona powieść przygodową niż opracowanie historyczne. Druga sprawa, to panegiryczny ton – choć popełniano błędy wobec Legii i sama Legia błędy popełniała, to ludzie opisywani przez Montagnona jawią się niemal, jako bohaterowie, brak tu większej dozy krytycyzmu.

 **Robert Witak**



**Pierre Montagnon,
Historia Legii Cudzoziemskiej.
Od 1831 roku do współczesności,
Wrocław 2006,
ss. 414.**



Relacja z konferencji *Bojowy Stres Pourazowy w ujęciu historycznym i współczesnym*

Konferencja, zorganizowana przez Sekcję Wojskowości i Konfliktów Zbrojnych Koła Naukowego Bezpieczeństwa Narodowego UJ, odbyła się 25.02.2015 roku w Auli Wystawowej A Auditorium Maximum. Wydarzenie otworzył wicedyrektor ds. dydaktycznych Instytutu Nauk Politycznych i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jagiellońskiego, dr Paweł Ścigaj. Dyrektor podkreślił istotność zagadnienia psychologii żołnierzy powracających z misji zagranicznych.

Pierwszy prelegent, dr hab. Michał Stachura z Instytutu Historii UJ, konferencję rozpoczął od wygłoszenia referatu pt. *Psychologia boju w epoce przednowoczesnej jako potencjalny przedmiot badań historycznych*. Zwrócił uwagę na to, że zjawisko samego stresu pourazowego występowało odkąd toczono wojny. Profesor przedstawił poglądy kilku autorów dotyczące postrzegania psychologii i stresu bojowego. Dr hab. Michał Stachura nakreślił opisaną wyżej problematykę w okresie starożytności

Doktor Marcin Jarząbek, również z Instytutu Historii UJ, uzupełnił referat dr hab. Stachury o kwestie wpływu natury ludzkiej na zjawisko stresu bojowego i wprowadził uczestników do dyskusji przedstawiając kilka istotnych problemów w porównywaniu walk przednowoczesnych z nowoczesnymi. Był to ostatni referat tego panelu, po którym wywiązała się dyskusja między uczestnikami.

Po krótkiej przerwie, głos zabrała dr Magdalena Paluszkiewicz-Misiaczek, z Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polonijnych UJ. Jej wystąpienie, pt. *Ewolucja terminologiczna i zmiany postrzegania urazów psychicznych żołnierzy i weteranów* dotyczyło ewolucji myślenia o PTSD i powstawania jego definicji w XX wieku. Pani doktor Paluszkiewicz-Misiaczek opisała

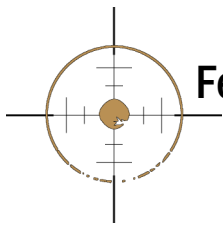


również historię instytucji, których zadaniem była pomoc weteranom, jak również nakreśliła obecne zmiany w postrzeganiu zjawiska stresu pourazowego.

Ostatnim prelegentem był ppłk dr n. med. Radosław Tworus, z Kliniki Psychiatrii i Stresu Bojowego CSK MON Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie. Wygłosił referat pt. *Stres bojowy i PTSD - Fakty, Mity, Realia Diagnostyczne*. Wystąpienie Pana pułkownika skupiło się na skonkretyzowaniu definicji PTSD oraz obaleniu mitów dotyczących owego zjawiska. Poruszonych zostało również wiele zagadnień medyczno-psychologicznych, służących do sprecyzowania, jak tak na prawdę rozpoznać PTSD. Po swoim wystąpieniu, ppłk R. Tworus odpowiadał na pytania uczestników konferencji. Wydarzenie zamknął Jakub Mistarz, koordynator Sekcji Wojskowości i Konfliktów Zbrojnych KNBN UJ i zarazem pomysłodawca spotkania.

 **Piotr Bernacki**

Koło Naukowe Bezpieczeństwa Narodowego UJ



Zapomniane miejsca naszej chwały – Powstańcza mogiła z Osjakowa

Osjaków to osada (formalnie wieś) leżąca 20 km na północny-wschód od Wielunia nad rzeką Wartą. Ma ona długą historię, gdyż pierwsze wzmianki o niej pojawiły się XIV wieku. Jej nazwę zapisywano wówczas jako Oszyakow lub Ossiakow. W XV wieku Osjaków uzyskał nawet prawa miejskie, ale nie poszedł za tym jego rozwój. Status miasta utracił w roku 1750, po rujnującym pożarze. Do dziś zachował się tam jednak miejski układ urbanistyczny z centralnie położonym rynkiem i prostopadle wychodzącymi z niego ulicami.

W 1793 roku, w następstwie II rozbioru Rzeczypospolitej Osjaków, wraz z całą Ziemią Wieluńską, przypadł Prusom, a w 1807 roku stał się częścią Księstwa Warszawskiego. Po Kongresie Wiedeńskim miejscowość, wraz z całym regionem weszła w skład Rosji (gubernia kaliska, powiat wieluński).

W czasie I wojny światowej gmina Osjaków została podzielona na dwie części. Obszary położone po prawym brzegu Warty z Osjakowem znalazły się pod okupacją austriacką i przyłączone zostały do powiatu radomszczańskiego, natomiast z części gminy Radoszewice i Konopnica, pozostałymi pod okupacją niemiecką i utworzono z nich gminę z siedzibą w Nowej Wsi.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości do 1926 roku w Osjakowie znajdowała się siedziba Sądu Rejonowego, przez cały okres międzywojenny był tu posterunek Policji Państwowej obejmujący zasięgiem swego działania rejon kilku gmin, istniała też Gminna Kasa Oszczędnościowo-Pożyczkowa, Kasa Stefczyka, poczta, restauracja oraz kilka sklepów polskich i żydowskich. Żydzi stanowili w tym czasie większość tutejszej ludności.

W wyniku agresji III Rzeszy w 1939 r. cały obszar powiatu wieluńskiego znalazł się



Uroczystość patriotyczna. Fot. osjakow.info

pod panowaniem niemieckim i został włączony do Kraju Warty (Wartheland). Latem 1942 roku kilkuset żydowskich mieszkańców Osjakowa osadzono w miejscowym getcie, a następnie wywieziono do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem i tam zamordowano.

Po wojnie, do 1953 roku Osjaków był siedzibą gminy Radoszewice, co stanowiło zaszczyt historyczną (Radoszewice były ongiś największym majątkiem na terenie gminy). Obecnie gmina Osjaków zajmuje 100,74km², z czego 50 proc. przypada na użytki rolne. Zamieszkuje ją około 4 800 osób.

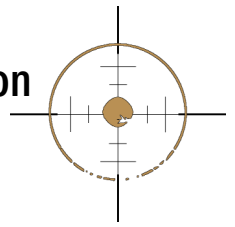
Na osjakowskim cmentarzu znajduje się mogiła powstańców z 1863 roku Powstanie Styczniowe miało bowiem na Ziemi Wieluńskiej przebieg nader dramatyczny,



Kościół, lata 30.
Fot. osjakow.info



osjakow.info



Powstańcza mogiła z Osjakowa



Uroczystość patriotyczna. Fot. osjakow.info

a jednym z większych starć była bitwa pod Radoszewicami i Kietczygłowem. Doszło do niej 27 marca 1863 roku, gdy rosyjska grupa pościgowa złożona z dwóch kompanii piechoty i sotni kozaków, dowiedziona przez majora Pisankę zaskoczyła w majątku Radoszewice oddział powstańczy pułkownika Teodora Cieszkowskiego.

Cieszkowski rozpoczął działania zbrojne kilka tygodni wcześniej przeprowadzając na czele dwóch tuzinów powstańców rajd na Radomsko, gdzie rozbroił kilku rosyjskich żołnierzy, zdobył kasę lokalnego starostwa i kilka koni. Następnie ścigany przez garnizony rosyjskie z Częstochowy i Piotrkowi Trybunalskiego wymykał się obławie przyjmując jednocześnie w powstańcze szeregi napływających w znacznej liczbie ochotników. Przekroczywszy Wartę i spaliwszy mosty w Działoszynie i Lisowicach pułkownik wiódł pięć setek ludzi, w tym stu jeźdźców.

27 marca jego oddział stanął na kwaterze Radoszewicach, których właściciel, Ludwik Niemojewski, sprzyjał sprawie narodowej. W jego posiadłości doszło do starcia powstańców z rosyjską grupą pościgową. Walka z oddziałem rosyjskim trwała od godziny 10:00 do zmroku, który przerwał batalię. Powstańcy nie tylko uniknęli rozbicia, ale skutecznie kontratakowali spychając, Moskwiczinów na bagna pod Rząśnią.



Fot. K. Kubiak



Fot. K. Kubiak

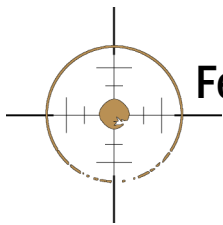
Po zachodzie słońca Cieszkowski oderwał się od przeciwnika i wycofał pod miejscowość Kamyk. Major Pisanka nie zdecydował się na pościg oczekując na posiłki, jakie miały nadejść z Wielunia. Według raportu polskiego dowódcy Rosjanie stracili 28 zabitych i kilkudziesięciu rannych. Straty powstańcze obejmowały ośmiu rannych oraz dziewięciu zabitych, których komendant wieluńskiej żandarmerii polecił pogrzebać proboszczowi parafii w Osjakowie.

O tym, że pamięć o poległych powstańcach jest wciąż żywa wśród tutejszej społeczności świadczy staranne odnowienie oraz zadbany wygląd ich mogiły.

 Krzysztof Kubiak



Związek Strzelecki. Fot. osjakow.info



Ze wspomnień emeryta

Pomysł kącika zrodził się podczas praktyk studenckich w Katedrze Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Dwie studentki kierunku bezpieczeństwa wewnętrznego, zainteresowały się felietonami „Starszego dzielnicowego”, które mają swoją historię nie tylko dlatego, że pokryte były grubą warstwą kurzu. Najpierw odkurzyły zbiór tych felietonów, a następnie utrwaliły w formie umożliwiającej ponowną ich publikację. Niekiedy sformułowały pytania, w kwestiach, które je najbardziej zainteresowały. W naszej ocenie, z uwagi na specyficzny czas, w jakim się ukazywały te felietony oraz poruszaną problematykę, poprzez fakt, że mimo upływu lat, niektóre felietony pozwalają poszerzyć wiedzę jak zwalczano przestępczość kiedyś, warto kontynuować podjętą próbę edukacji na przykładach. Materiały mogą okazać się pomocne w utrwalaniu wiedzy z zakresu szeroko rozumianego bezpieczeństwa uwzględniając dzisiejsze realia. Okoliczność, że do poruszanych kwestii, uwarunkowań prawnych i społecznych uzupełniają nieraz komentarze, do publikowania takich materiałów jeszcze bardziej przekonuje. Zatem zapraszamy do lektury, refleksji i poszukiwaniu innych źródeł informacji odnoszące się do tej problematyki. Redakcja zaprasza do współredagowania kącika, nie tylko studentów związanych z bezpieczeństwem wewnętrznym. Zapraszamy i zachęcamy także tych, którym marzy się dziennikarstwo śledcze oraz inne osoby. Czytelników zapraszamy do dzielenia się spostrzeżeniami, uwagami oraz opiniami, nie tylko w wymiarze historycznym. Zachęcamy także do zainteresowania się studentów możliwością publikacji własnego artykułu, życząc połamania pióra. Próba wypowiedzenia się w obrębie problematyki poruszanej w biuletynie, może być dla niektórych studentów doskonałym treningiem, przed większym wyzwaniem, to jest pisanem pracy dyplomowej z takiej lub zbliżonej problematyki. Miło nam poinformować Państwa, że z artykułów zamieszczonych w biuletynie, zaczęli korzystać autorzy piszący artykuły o charakterze naukowym oraz studenci piszący prace dyplomowe.

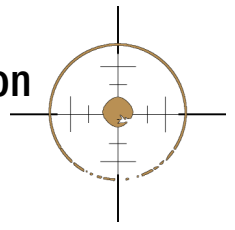
Alibi dla żony

Zdarzenie opisane w felietonie wyjaśniali policjanci. Zapraszamy do lektury. A może znajdzie się ktoś, kto podejmie próbę odpowiedzi na zaciekawionym studentkom na pytania?

- **Czy zeznania osoby pod dużym wpływem alkoholu można uznać za wiarygodne?**
- **Czy każde zgłoszenie musi zostać rozpatrzone przez policję, nawet, jeśli osoba zgłaszająca jest osobą nie budzącą zaufania i nie świadcząca o wiarygodności swej osoby?**

Zawiadomienie portiera Domu Kultury „Stomil” o napadzie rabunkowym poderwało służby dyżurne policji do działań. Na ile pozwalał stan nawierzchni ulic i leżący śnieg, na tyle szybko przybyli w miejsce zgłoszenia policjanci. Na miejscu dowiedzieli się, że nieznany mężczyzna dobijał się do zamkniętych drzwi budynku, prosząc o pomoc i wezwanie policji. Pijany mężczyzna twierdził, że zaatakowano go na ulicy Kraśzewskiego, pobito i obrabowano. Stracił ponad dwa miliony złotych. Czterech rabusiów zabrało mu także notesik, długopis z zegarkiem, grzebień i lusterko, dowód osobisty i okładki na niego.

Sam poszkodowany z wielkim trudem i skrótowo opisał przebieg zdarzenia, wiadomo dlaczego, alkohol utrudniał mu mowę. Na pytanie, jak doszło do napadu, twierdził, że: „Dwóch nadeszło stąd, a dwóch stamtąd”, poczuł uderzenie w twarz tak mocne, że upadł, a potem kopano go. Nie mógł jednak podać, kto lub który z napastników, bo zasłaniał rękami twarz. Bardzo głośno krzyczał wzywając pomocy, niestety nikt jej nie udzielił. Nie czuł, by obszukiwano mu kieszenie, nie mógł również określić kiedy napastni-



Alibi dla żony


cy odeszli i dokąd. Próby uporządkowania słownej relacji czterdziestoletniego mężczyzny kończyły się fiaskiem. Niespójny logicznie opis przebiegu zdarzenia policjanci tłumaczyli ilością wypitego alkoholu. Ślady krwi w okolicach nosa przemawiały za tym, że coś musiało się wydarzyć. Co, musieli wyjaśnić policjanci. Poszkodowanego zawieziono do lekarza, który stwierdził, że nie ma on obrażeń wewnętrznych i zewnętrznych, jedynie ślady krwi w okolicy nosa. Rodzaj doznanych obrażeń nie korespondował z tym, co twierdził poszkodowany. Nie zmienił twierdzeń mimo, że policja ujawniła jeszcze w jego kieszeniach pieniądze. Miał także kłopoty ze wskazaniem miejsca rabunku.

Wątpliwości wątpliwościami, a czynności policjanci musieli kontynuować. Z rejonu miasta nie nadeszło żadnych informacji na temat czterech sprawców, o których praktycznie nic nie było wiadomo. Dalsze czynności prowadzone bez udziału poszkodowanego, w miejscu przypuszczalnego zdarzenia, wychodząc z założenia, że bandyci zbędne przedmioty wyrzucić mogli w bezpieczne miejsce. Założenie było trafne, bowiem na początek odnaleziono grzebień, lusterko oraz zaświadczenie Obwodowej Komisji Wyborczej na nazwisko poszkodowanego. Z osób mieszkających w pobliżu nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Śladów szukano jednak dalej. Jedna z mieszanek zainteresowana gorączkowymi poszukiwaniami policjantów poinformowała, że około godziny 19 spacerowała, ale nic podejrzanego nie zauważyła. Wracając do domu około dwudziestej, obok domu znalazła czapkę, którą przekazała policjantom. Nie znalazła innych przedmiotów. Odnaleziona czapka mogła być własnością kogoś ze sprawców. Z pomocą policjantom przyszedł tu policyjny pies tropiący. Po

nawęszaniu czapki pies klucząc, kierował się do miejsca, z którego powiadomiono policję. Po drodze znaleziono długopis z zegarkiem, cztery bochenki chleba, notesik i dowód osobisty oraz pieniądze w całości. Na śniegu odwzorowane były miejscami ślady jednej osoby. Czy był to sprawca?

To pytanie towarzyszyło śledczemu, który późną nocą planował dalsze czynności na dzień następny. Nazajutrz w godzinach rannych zgłosił się trzeźwy Jarosław K. potwierdzając fakt napadu. Prosił również o potwierdzenie takiego zgłoszenia na piśmie. Chodziło o utracony dowód osobisty, dokumenty z pracy, a przede wszystkim, aby wylegitymować się przed żoną, co stało się z wypłatą. Śledczy dysponując zgromadzonymi dowodami przedstawił własny przypuszczalny przebieg zdarzenia wczorajszego wieczoru. Po wysłuchaniu tego, Jarosław K. przyznał się, że wódkę pił z kolegą na ulicy „z gwinta” bez zakąski. Być może siatkę z chlebem zapomniał zabrać z miejsca picia. Pamiętał, że idąc do domu, wywrócił się, ile razy tego nie pamięta. Po sprawdzeniu kieszeni kurtki stwierdził brak pieniędzy. Nie wie, dlaczego, skojarzył sobie, że został pobity i okradziony. Świadomy odpowiedzialności karnej za zawiadomienie o przestępstwie organu powołanego do ścigania, wiedząc, że przestępstwa nie popełniono (art.251 kodeksu karnego) nie potwierdził do protokołu wersji o rozbójnikach. Po wytrzeźwieniu zasłaniał się niepamięcią. Odmówiono wszczęcia postępowania w tej sprawie, gdyż przestępstwo nie zaistniało. Z odnalezionymi przez policję przedmiotami udał się Jarosław K. do domu, bez potrzeby zabezpieczenia alibi dla żony.

 Starszy Dzielnicy



Zapraszamy
na stronę
internetową:

www.e-terroryzm.pl

Zobacz także
archiwalne
numery

Internetowy Biuletyn
e-Terroryzm.pl
wydawany jest
od stycznia 2012 r.

Czasopismo tworzą studenci
Wyższej Szkoły Informatyki
i Zarządzania w Rzeszowie,
pracownicy Instytutu Studiów
nad Terroryzmem
i zaprzyjaźnieni entuzjaści
poruszanej problematyki